

lubko Deresz

KULT

dla zernowa

Nie zaleca się dzieciom, kobietom w ciąży
i osobom z chorobami sercowo-naczyniowymi

Napis na płycie „The Rolling Stones”

część pierwsza

amalgamat

Rozdział 1

1.

Wiele osób pytało go, czy nie jest przypadkiem *tym* Jurkiem Banzajem. Nie, odpowiadał Jurko Banzaj z uśmiechem. Nie jesteśmy nawet spokrewnieni - wyprzedzał następne pytanie. Banzaj studiował na piątym roku wydziału biologicznego. Jako jeden z najlepszych studentów został wysłany na praktykę do prestiżowego koledżu związanego z uniwersytekiem, żeby wykładać biologię w starszych klasach. Prawdę powiedziawszy, Banzaj nigdy wcześniej nie słyszał o tym miejscu. Nie podejrzewał nawet, że istnieje coś takiego jak *Miedziane Buki*. Jechał długo, ze dwie i pół godziny, do tego pociągiem, który zatrzymywał się przy każdym słupie, jak cocker-spaniel.

Banzaj przeniósł się do Miedzianych Buków pod koniec sierpnia. Wynajął kawalerkę w starym budynku. Straszna niczym wojna atomowa babcia-baptystka zmusiła go do prenumeraty pisemka baptystów oraz miejscowej gazety „Patriota”, w której redaktorem był jej syn. Gazeta nie cieszyła się oszałamiającą popularnością, ktoś jednak ją kupował. Omawiano w niej najnowsze postanowienia miejscowych władz oraz sprawy lokalne. Nie omijano również wiecznych tematów, czyli gwałtów, zabójstw, kwestii demoralizacji młodzieży i innych pieprznych kawałków, które tak kochali emeryci.

Minał właśnie tydzień, odkąd Banzaj zaczął pracę w koledżu. Rok szkolny rozpoczął się dwudziestego ósmego, co samo w sobie było złym znakiem. (Zawsze jak nie u ludzi, już nie pierwszy raz mruczeli pod nosem uczniowie). Mądrzy obywatele rąbali drewno i wykupywali świece, zanim potwornie zdrożeją po pierwszym wyłączeniu prądu. Zima zanosila się na chłodną, ciemną i beznadziejną. „Przynajmniej - przyszło mu na myśl - w Miedzianych Bukach nie wyłączają wody, w odróżnieniu od Lwowa”.

Codziennie, oprócz niedziel, Banzaj wychodził z domu z ogromnym górskim plecakiem. Chociaż na dnie *jermaka* leżało raptem kilka książek, parę zeszytów, kanapka i dwa jabłka, nigdy nie zamieniłby go na zwykłą torbę, nie mówiąc już o reklamówce. Jurko Banzaj wierzył w szczerść słów Carlosa Castanedy, a Don Juan, niezapomniany uczeń Carlosa, radził, żeby wszystko nosić wyłącznie na plecach.

A propos jabłek: Banzaj przeczytał, że - jak wykazały badania - studenci, którzy jedli dwa jabłka dziennie, czuli się o wiele lepiej pod względem fizycznym, psychicznym i

intelektualnym od studentów, którzy jabłek nie jedli. Fakty te zrobiły duże wrażenie na nieco przeczulonym na punkcie własnej inteligencji Banzaju. Troska o dobrą kondycję psychofizyczną należała do nielicznych słabostek tego skromnego chłopca. Nikt (z wyjątkiem jednej, dwóch osób) nie domyślał się głębokiej symboliki aktu spożywania papierówek.

2.

Ojciec pragnął, żeby syn poszedł w jego ślady i został prawnikiem. Syn, czyli Jurko Banzaj, chciał tego uniknąć za wszelką cenę, dlatego już w ósmej klasie potajemnie zdecydował, że o *wiele lepiej* zostać wiejskim nauczycielem biologii niż notariuszem albo innym potworem. Zdane egzaminy na wydział biologii stanowiły pierwszą *poważną* rysę w ich i b ~~e~~ tego napiętych stosunkach. Wszystkie następne pęknięcia pojawiły się w trakcie nauki, i obecnie Banzaj zamierzał pojechać do taty i babci jedynie po resztę rzeczy. A potem nie pokazywać się we Lwowie aż do Bożego Narodzenia. Albo jeszcze lepiej - do Niedzieli Palmowej.

3.

W czasie nauki na wydziale biologii Banzaj trafił na reanimację trzykrotnie.

Pierwszy raz - na pierwszym roku. Starał się syntetyzować LSD-25 z pewnego rodzaju zarodników - grzybka pleśni. Po połknięciu grzybka pojawiło się silne zamroczenie. Najlepszy kumpel - Serhij Mokosza, który wszystkim przedstawiał się jako Deszcz, znalazł nieprzytomnego Jurka w mieszkaniu. Całe szczęście, że Banzaj zapomniał zamknąć drzwi.

Następny raz zdarzył się na drugim roku, kiedy Banzaj hodował święte meksykańskie grzyby z gatunku *Stropharia*, które rzekomo miały zawierać psychotropową substancję - psylocybinę. Eksperyment nie udał się, ponieważ zamiast cudownych stropharii wyrosły blade psie grzybki. Gdy odratowano go po raz drugi, Banzaj w myślach (a często też i na głos) kłął na niechlujstwo wydziału mykobiologii, na wszystkich pedantów-doktorantów oraz na całą katedrę, nie wyłączając sprzątaczek.

Trzeci raz mógł okazać się ostatni. Tuż po Dniach Miasta Lwowa, na czwartym roku opuściła go ukochana Sołomija. Zjadł wtedy trzy przepiękne egzemplarze muchomora czerwonego, wyhodowane jak zwykle w warunkach domowych z zarodników ukradzionych z katedry mykobiologii. Wziął na poważnie słowa małżeństwa Wasson, według których muchomor jest sławną hinduistyczną somą, dlatego może się stać źródłem niezapomnianych psychodelicznych przeżyć. Ku wielkiemu rozczarowaniu, oprócz ogromnych barwnych plam,

żadnych halucynacji Banzaj nie doświadczył. Kiedy ból żołądka stał się nie do zniesienia, zadzwonił po karetkę. Kulminacyjny punkt odrucia był prawdopodobnie najgorszym doświadczeniem w jego życiu. Zawroty głowy, stawy wykręcające się w dzikim bólu, żołądek płonący toksycznym ogniem, w dodatku wszystko, co nie zdążyło zestalić się w jelitach, wylatywało z dwóch stron. Nikt z personelu ani z rodziny (a było ich raptem dwoje - tata i babcia) nie powiedział mu, jak bardzo zbliżył się do krawędzi.

4.

Jego najlepszy przyjaciel Deszcz poznawał granice rzeczywistości za pomocą napojów alkoholowych, co nie przeszkadzało mu być całkiem dobrym studentem. Obydwaj chylili czoło przed geniuszem cyklu Krebsa. Planowali nawet wydać kilka strasznie mądrych i głębokich książek na ten temat. W myślach Banzaj niejednokrotnie widział siebie otwierającego wybitnie naukową książkę i czytającego:

Wydawnictwo Naukowe przygotowuje do druku:

Banzaj J., Mokosza S. - „Ilustrowany przewodnik po cyklu Krebsa w alegoriach”

Banzaj J., Mokosza S. - „Cykl Krebsa dla opornych”

Banzaj J., Mokosza S. - „Cykl Krebsa w przysłowiach i opowiadaniach” (wydanie drugie uzupełnione i poprawione)

I jeszcze fajnie byłoby napisać stereografię (czyli pracę naukową autorstwa dwóch ludzi) na temat: „W obronie fekaloterapii”. Niech wiedzą, że nie tylko moczem można.

5.

Banzaj stał oparty o parapet naprzeciwko gabinetu dyrektora. Zamierzał dowiedzieć się kogo, gdzie i jak długo ma uczyć. Dyrektor właśnie gadał przez telefon. Sądząc z wazeliniarskiego tonu głosu, rozmawiał z żoną. Jurko zdecydował, że taktowniej będzie poczekać na korytarzu. Na drugim końcu parapetu siedziała jakaś mała, ni to dziesiąto-, ni to jedenastoklasistka, żadna piękność, ale całkiem przyjemna. Wzdychała ciężko, wysłuchując paplaniny chłopaka, który wił się u jej stóp. Chłopak uśmiechał się głupawo i opowiadał swojej sympatii cholernie nudną historię:

- No i teges, my z tym, z Andrijem włączamy to urządzenie, w jej domu, czaisz? Takie co tam takie bąbelki się zmieniają... - chłopczyzna napawał się swą opowieścią. Cały jego wygląd

świadczył niezbiecie, że z jednej strony wstydzi się całego zajścia, a z drugiej - dumny jest z własnej zuchwałości, że niby potrafi opowiedzieć taką akcję *dziewczyźnie*.

- I patrzymy na te bąbelki, nie, *i nagle wchodzi jej mama!* - chłopak dosłownie zaślinił się z wrażenia, tak go to cieszyło i podniecało. - A bąbel przybrał właśnie kształt... no wiesz, czego, a mama... No wiesz, kształt wiadomo czego...

- Członka, czy co? - beznamiętnie rzuciła dziewczyna.

W tym momencie zza drzwi wychylił się pan Andrij, dlatego Banzaj nie zobaczył reakcji chłopaka. Pewnie padł w ataku apopleksji, nie mogło być inaczej. A mała spojrzała tylko obojętnie na ciało i posnuła się apatycznie korytarzem.

Dyrektor Andrij Jarosławowycz miał żydowskie nazwisko -Waisgott, ale wygląd typowo ukraiński. W swoim drogim fotelu zasiadał z powagą, z wysoko uniesionym podbródkiem jak król hetycki Suppiluliuma I. Podali sobie ręce (Jurko zauważył, że dyrektor zrobił to z taką miną, jakby żartobliwie witał się z pięcioletnim chłopcem - „O, chłopczyk chce wyglądać jak dorosły? Daj wujkowi rączkę! Pokaż na paluszkach, ile masz latek!”); pan Andrij zaproponował panu Jurijowi („Czy może po prostu *Jura?*” -zapytał, uśmiechając się chytrze pod kocimi wąsami), żeby usiadł na fotelu, jednym z tańszych, po czym zrobił długą pauzę, naumyślnie wprawiając gościa w zakłopotanie. Pan Andrij mlasnął z niezadowoleniem, sugerując, jak ciężko wytłumaczyć jakiemuś tam *Jureczkowi* delikatne sprawy koledżu. Wreszcie westchnął i przemówił. Wyruszył w długą podróż, która rozpoczynała się w czasach założenia koledżu, nie ominął momentu ustalenia statutu uczelni, który pisano na podstawie statutów najslawniejszych przedpotopowych gimnazjów, łącznie z tym, w którym uczył się Puszkina; następnie przeszedł do tematu nietradycyjnego podejścia do dzieci, nietradycyjnego sposobu nauczania, powiedział, że jego, *Jury*, nietradycyjny wygląd sprzyjać będzie nietradycyjnie wysokiemu poziomowi, jak również doskonale pasuje do nietradycyjnych tradycji koledżu. Z nutką smutku wspominał o tragicznej śmierci poprzedniego dyrektora, ale od razu zaśmiał się lekceważąco i powiedział, że tak między nimi, z drugiej strony to i dobrze, bo poprzedni dyrektor był alkoholikiem i chorował na satyriasis. Na koniec wyraził nadzieję, że *Jura* znajdzie wspólny język zarówno z uczniami, jak i z ciałem pedagogicznym. Uścisnęli sobie dłonie (pan Andrij uśmiechnął się pod wąsem), i dyrektor zaproponował, żeby *Jura* wpadał na kawę z koniakiem w czasie przerwy. Banzaj dyplomatycznie-niejednoznacznie kiwnął głową i powiedział: „Może, może”. Poszedł zerknąć na swój gabinet.

Gabinet mieścił się na trzecim piętrze. Obok znajdowały się norki chemika i psychologa, pana Jarosława. Dyrektor mówił o pokoju Banzaja z tak patetycznym pietyzmem, że chłopak nie myślał już o nim inaczej niż jak o *Gabinecie* z trzema wentylatorami z czerwonego drewna pod sufitem, powolnie siekącymi powietrze, z olbrzymim hebanowym biurkiem oraz z futurystycznym antyhemoroidalnym fotelem, z oparciami pod łokcie i automatem do masażu wszytym w siedzenie. Nie mogło też zabraknąć wielkiego panoramicznego okna na całą ścianę.

Banzaj otworzył zamknięte na klucz drzwi i niemal natychmiast je zamknął; poszedł dalej korytarzem, zastanawiając się, jakim cudem natrafił na szafę ścienną.

Dopiero kiedy obszedł cały korytarz po raz szósty, serce odpowiedziało mu, że to ta szafa ścienna JEST jego *Gabinetem* z wentylatorami, hebanowym biurkiem i panoramicznym zaciemnianym oknem.

7.

Okno w norce bardzo szczelnie zastawiono wszelkiego rodzaju tabelami i grafikami. Był tam jeszcze maciupki stolik z lakierowanej sklejki i miniaturowa półka na książki, która w porównaniu z całą resztą wyglądała jak olbrzymka. Banzaj uchylił okno, wpuszczając do środka ostre górskie powietrze. Za szybą widniał las. Zwisając przez okno aż do pasa i patrząc w prawo, można było podglądać dziewczyny w akademiku.

Przez następne trzy godziny Banzaj porządkował swój *Gabinet*.

Rozdział 2

1.

W sąsiednich norkach przebywali psycholog i chemik. Obydwaj okazali się dziwnymi, budzącymi obrzydzenie osobnikami.

Psycholog był starym, łysym facecikiem ze skąpą mlecznobiłą bródką (Banzajowi nieodmiennie przypominał Papę Smerfa). Jego pełne imię i nazwisko brzmiało Dmytro Dmytrowycz Chorsa, ale prosił, żeby zwracać się do niego po prostu Dima. Nawet uczniowie zmuszeni byli mówić w ten sposób, bo inaczej nie reagował. Za plecami Dimę nazywano „psycha-chalogiem”, gdyż śmiał się tak donośnie, że wyraźnie dało się słyszeć każde „cha-cha-cha!”. W jego norce wisiał czarno-biały plakat Beatlesów przechodzących przez ulicę po zebrze, przy czym Paul McCartney był boso. „Nowy rok, Mirka, «Michel» i masturbacja w łazience” - podśpiewywał Dima, tęsknie wpatrując się w plakat. Za każdym razem, kiedy Banzaj wpadał do niego na kawę (zawsze to lepiej wypić kawę z Dimą i chemikiem niż z dyrektorem), w trakcie rozmowy psycholog podchodził do plakatu i stukał paznokciami w bose stopy Paula, powtarzając: „*To znak. Bardzo ważny znak, przyjacielu. Uwierz mi na słowo, Banzaj, to znak*”. Jako jedyny z dorosłych nazywał Jurka Banzajem. Do tego dopytywał się, kiedy wreszcie popelni seppuku, nie wyjaśniając przy tym, co ma na myśli.

W pokoju unosił się delikatny, acz ostry zapach trawy. Dima miał niezłą radochę, obserwując uczniów, którzy przychodzili do gabinetu i zaczynali nieświadomie węszyć w powietrzu, a potem wzdrygali się od znajomego zapachu jak psy. Szczególnie bawiła go reakcja Banzaja. Za każdym razem młody wykładowca wpadał w pułapkę, a wtedy Dima przyskakiwał do niego i tańcząc dookoła, wykrzykiwał „Aha! Aha!”

Pan Jarosław (po prostu Sławek) też był niezłe wykręconym *czuwakiem*. Chudy, z długimi smolistymi włosami i czarną brodą, w garniturze ze skórzanymi łatami na łokciach, podczas okienek praktycznie nie wyłączył z komputera, z rzadka tylko wpadał do dziupli obok, żeby posiedzieć pod Paulem McCartneyem. Twarz pokrywała mu typowa błękitnoszara komputerowa opalenizna, a okulary jak żywe drzewa, co roku odnotowywały przyrost kolejnego słoja soczewki.

Pod tabliczką POKÓJ BIOLOGICZNY czarnym markerem Dimy Jurko napisał:

BANZAJ

Niech wiedzą.

2.

Powoli, z biegiem czasu i nauki Banzaj poznał całe tak zwane „ciało pedagogiczne”.

Nawiązał znajomość z nauczycielem języka i literatury ukraińskiej, panem Polisunem, który wyglądał na stuprocentowego homoseksualistę, a także z jego małżonką, nauczycielką języka i literatury ukraińskiej, panią Polisunką, która wyglądała na stuprocentową lesbijkę. Dziwnym trafem tworzyli całkiem dobraną parę.

Poznał się również z Dzierżysławą Czerewuchą, maleńką, zasuszoną jak martwy wróbel na strychu staruszką, wykładającą kulturę światową. Kobięcina była siwa, malowała się jednak na fioletowo, żeby przypominać Malwinę z „Niezwykłych przygód pajacyka Buratino”. Na ścianie w jej klasie wisiała wielka reprodukcja, piękna, żeby nie powiedzieć cudowna. Pod reprodukcją napisano:

PSY NAD FIORDEM KANDERDLUARSSUK

I rzeczywiście - dwa psiska rozłożyły się na śniegu i leniwie spoglądały na ów zaśnieżony fiord Kanderdluarssuk. Pani Sława bardzo lubiła swoje pieski i mówiła, że ten z lewej to Erich, a z prawej - Maria. Pewnego razu Banzaj nieopatrznie pochwalił jej zbiór pocztówek różnych klasyków i impresjonistów. Pani Dzierżysławą wpadła w ekstazę właściwą jedynie najzagorzalszym kolekcjonerom i oznajmiła, że posiada 3427 pocztówek, ni mniej, ni więcej, i nigdy ich nie sprzeda, nawet gdyby w domu nie było okrucha chleba ani żadnego tomu Ericha Marii Remarque'a. Niemal codziennie przynosiła mu teczkę pocztówek i namawiała, żeby wpadł *i jutro*, to przyniesie JESZCZE WIĘCEJ nowych, *naprawdę rzadkich* kartek, których wartość potrafią ocenić tylko oni, przynajmniej w tym koledżu. I rzeczywiście - Banzaj przychodził następnego dnia, oglądał kolejną spuchniętą od pocztówek teczkę, z której na wszystkie strony sterczały toulouse-lautreki, monety, van goghi i degasy. Otrzymywał też ciekawe książeczki do poczytania w wolnej chwili. Pani Dzierżysławą miała fajnego kota - czarnego, chudego dachowca, który mieszkał podobno w koledżu jeszcze przed nadejściem

wielkich ludzi zza gór. Stara nauczycielka zupełnie poważnie twierdziła, że kiedy kot jest w dobrym humorze, rozmawia. Dachowiec nazywał się Wasyl.

Pani Sława również zapraszała na herbatkę i ciastka (na kawę to nie - ciśnienie nie pozwala). Banzaj zdziwił się po raz kolejny - każdy każdego zaprasza, a nikt do nikogo nie wpada, w samotności popijając swój napój.

Koledż miał własnego pisarza, z wykształcenia nauczyciela geografii. Całe swoje grafomańskie potomstwo (m.in. „Jej usta jak brama i oczu jej blask”, „Odchodzę, najdroższa”, hit grafomańskiego sezonu „Szukając dziewicy” oraz pamflet reakcjonistyczny, który przyniósł mu popularność „Element burżuazyjny z jaskini Cro-Magnon”) ten imponujący człowiek („Dzwin”: „Chyba najbardziej obiecujący autor, nawiązujący kontakt nie tylko ze starszym, bogatym duchowo pokoleniem, ale i z młodzieżą”, „Pleroma”: „Kiczman numer 1 na terenie Galicji i Lodomerii”) sygnował nieznacznie tylko zniekształconym nazwiskiem: Witajl Chanygin Tyczynda. Mówił z obcym akcentem, jak wujek z Kanady, co uwydatniało się w przypadku litery „R”.

Zapewne potok swoich wypowiedzi wyobrażał sobie zapisany alfabetem łacińskim, jak w starych ukraińskich czasopismach wychodzących w Polsce. Wada wymowy drażniła go, dopóki nie został pisarzem. Potem już nie. Sądził, że nadaje mu ona emigranckiego uroku. Zawsze wyrażał się kwiecistie, jak przystało na osobę, która publikuje w „Dzwinie” i nosi tradycyjną wyszywaną koszulę:

-Dzień dobhy, panie Juhiju. Jak się pan dzisiaj miewa? Czy sny miał pan przyjemne?

Z każdym kolejnym pytaniem Chanygina-Tyczyndy Banzaj miał coraz większą chęć odpowiedzieć: „Nie pana sphawa, panie Witajlu”.

Podsumowując, „ciało pedagogiczne” było nadzwyczaj malownicze. Ale i tak wypadało blade na tle obrażonych na cały świat niedoszłych ofiar aborcji, które eufemistycznie nazywano uczniami.

3.

Przed pierwszymi zajęciami Banzaj denerwował się potwornie. Ostatnio zdarzyło mu się przeżywać podobne emocje chyba przed sesją na trzecim roku. Ale po egzaminach wszystkie endokrynologiczne dolegliwości uległy nagłej atrofii.

Wykładowca biologii, Innokientij Jaryłow, świeckie imię - Kie-sza, który zrezygnował z części swoich owieczek (gdyż nie miał siły, by zapłodnić każdego ucznia świętym biosłowem), siedział w auli i uśmiechał się, oczekując fajnej zabawy. Banzaj wszedł do sali.

Wszystkie oczy wlepiły się w niego - chłopaka średniego wzrostu, z akuratnie przyciętymi włosami i niewielkimi ciemnymi, tak samo jak włosy, bokobrodami. Baczki a la Travolta w roli Tony'ego Manery z „Gorączki sobotniej nocy”. Wielki biały T-shirt z kolorowym napisem

YES

namalowanym w stylu „Mamo, ja rysuję!”. Dobra, spokojna twarz flegmatyka. Pod słowem „YES” napis „the New art-rock generation”. Ogromne spodnie z głębokimi kieszeniami i z dodatkowymi kieszeniami na kolanach.

- A więc - westchnął, przenosząc wzrok z jednej okrutnej twarzy na drugą. - Nazywam się Jurko Banzaj, zwracajcie się do mnie po prostu - Jurku.

W czasie krótkiej przerażającej sekundy uświadomił sobie, że nie ma nic więcej do dodania. Jakby wewnętrzne głosy zakrzuszyły się w końcu próżnią. Jak na zawołanie w głowie zaświtał mu szalony pomysł. Kiedyś podobny trik zastosowała w jego klasie młoda psycholożka, która przyszła zapoznać się z uczniami:

- Niech teraz każdy z was po kolei się przedstawi i powie, z czego w swoim życiu jest dumny...

Mimowolnie zahaczył wzrokiem biologa, którego sceptyczny grymas po raz kolejny wywołał w jego wnętrzu pustkę niczym w komorze próżniowej. Cisza w klasie nasiąkała jak tampax w toalecie. „Nie udało się. Ni cholery” - pomyślał, kiedy nagle usłyszał przyjemny głos swojej wybawczyni. Była to ta sama dziewczyna, którą widział dzisiaj w apatycznym stanie na korytarzu:

- Nazywam się Darcia Borges, jestem dumna z tego, że przeczytałam całego Kinga i Vonneguta. Mam również kompletną kolekcję płyt Jimiego Hendriksa.

W klasie ktoś głośno westchnął, a ktoś inny burknął: „Znowu ta kretynka”.

4.

Potem uczniowie stali się zwawsi, chwilami zachowywali się jak nawiedzeni i już każdy chciał opowiedzieć o tym, jak go ochrzczono i co go kręci. Banzaj starał się zapamiętać wszystkich, przynajmniej z imienia. Jeden gość - Andrij Samplow twierdził, że odlatuje przy elektronicznej muzyce „KMFDM”. Ktoś inny chwalił się, że miał wstrząs mózgu, złamanie żebra, nogi i palca prawej ręki, a wszystko to podczas jednego wypadku na skuterze i teraz

już niczego się nie boi. Jakaś dziewczyna, podlizuch aż po cebulki włosów, dumna była z tego, że uczy się w Skórze Jelenia (tak tu nazywali koledż) i że będzie miała *takiego* nauczyciela biologii. Jeszcze ktoś inny powiedział, że wyznaje RUN-virę* i umie grać na trąbce. Był to Romko Małajałam - najbardziej włochaty ze wszystkich chłopców w klasie. Niektórzy szczylicili się tym, że są *pacanami*, inni dumni byli z fajowej wychowawczyni, a jeszcze inni z umiejętności gry na „wiośle”. Wydaje się więc, że Banzaj uderzy! jednak we właściwą strunę. Po lekcji podeszło do niego kilkoro dziewcząt podlizuchów zapytać, co przygotować na następny dzień na zajęcia, ale Banzaj nie mógł oderwać wzroku od Darci Borges, siedzącej samotnie w ostatniej ławce i smutno wpatrzonej w okno. Po raz kolejny tego dnia oskarżył się o pedofilię.

Kiedy tłum lizusów nieco się rozrzedził, Jurko zobaczył kręcącego się koło tablicy Samplowa - chłopak najpierw mazał sobie ręce kredą, a potem oblizywał białe palce. Miał krótko obcięte włosy z wiśniowymi pasemkami i komputerową opaleniznę.

- Samplow...

Samplow podniósł głowę, najwyraźniej uradowany, że ktoś zwrócił na niego uwagę.

- A co właściwie oznacza „KMFDm”?

- „Kill Mother Fuckin' Depeche Mode” - powiedział Samplow i poszedł do stołówki, zjeść bułkę.

* RUN-vira, Ridna Ukrajins'ka National'na Vira - największa neopogańska sekta na Ukrainie (przyp. tłum.).

Rozdział 3

1.

Drogi Romanie!

Serdecznie dziękuję za Prezent, otrzymaliśmy go niedawno. Nie będę pisał jak Zdrowie moje i Brata. Myślę, że Wiesz, jak się czujemy.

Przestraszyła mnie dziwna Rzecz. Kozodoje znów gnieźdzą się koło Domu. Podejrzewam, że i w tym przypadku Wiesz o Co chodzi. Mam nadzieję, że z nadejściem zimy odprawisz Rytuał. Czy jesteś pewien swoich Sił? Próba w Miedzianych Bukach jest najbardziej obiecująca od czasu Przygód w Danvichi. Z wyjątkiem Uwea i Diabelskiego rytu, oczywiście. Ale to przecież odbywało się Tam! Nawet Innsmuth, to nic, w porównaniu z Twoim Miastem. Wciąż zachwyca mnie myśl o niesamowitości Miedzianych Buków. W pełni rozumiem, że moje słowa przestrogi nie spowodowały Twojego wahania, ale mimo wszystko... Starannie rozważ swój krok, żeby nie dopuścić do Pomyłki.

Przedmioty, które otrzymałeś w paczce, to prezent od F. Wykorzystaj je mądrze i kontynuuj analizę poprzednich prób. Strzeż się.

Twój U.

Miskatonic,

stan Pensylwania

8-14-2000 USA

PS Powiadom mnie, jeśli zauważysz pewne Znak.

2.

W grudniu 1995 roku w jednej z lwowskich szkół doszło do dywersji. W tej właśnie szkole uczył się Banzaj, w momencie omawianego wydarzenia - w jedenastej klasie.

Pod ścianą szkoły ktoś usypał wielki stos szklanych fiolek wypełnionych pigułkami - preparatem o nazwie taren. Ponieważ dywersja przypadła na św. Mikołaja, niewykluczone, że fiolki podrzucił właśnie on.

Banzaj dowiedział się, że taren wkładano do wojskowych apteczek. Kiedy na przykład żołnierzowi urwało, powiedzmy, rękę, mógł zażyć jedną tabletkę, poprawić mundur i śmiało ruszać do walki, nie odczuwając żadnego dyskomfortu. Tak przynajmniej twierdził Deszcz, autorytet w kwestii „prochów”. Taren był nadzwyczaj silnym środkiem przeciwbólowym.

Jakiś farmakolog samouk bez pudła zidentyfikował preparat i jako pierwszy zrobił zapasy, napychając nim usta, kieszenie oraz tornister. Taren powoli, ale niepowstrzymanie rozchodził się w szkole i już półtora dnia później nie było tam praktycznie nikogo przy zdrowych zmysłach, kto nie spróbowałby cudownych tabletek. Uczniowie zażywali pigułki, popijając wodą z kranu, wrzucali do kompotu najlepszym uczennicom, które oddawały się potem bez sprzeciwu na ławkach w klasie, odkładali w skrytkach na zapas i jeszcze raz łykali, łykali, łykali... Nawet nauczyciele (oczywiście potajemnie) łykali tabletki tarenu. W niewielkich dawkach pobudzał, powodował drętwienie ciała (jakby ktoś natarł cię koci-miętką) i specyficzny sposób chodzenia: tak jakbyś w nogach miał sprężyny, i nie tyle szedł, ile płynnie skakał. Uczniowie nafaszerowani tarenem sikali ze śmiechu, widząc, jak płynnymi skokami idzie do nich historyk czy geograf. Na trzeci dzień po dywersji taren gdzieś przepadł (może na przykład w szafce historyka lub geografa), ale wciąż jeszcze wiele kieszeni rozpychało coś twardego i podłużnego. Można powiedzieć, że jakaś fiołka.

Banzaj nie był zachłanny, nie rozwinął też w sobie instynktu chomika. Dlatego schował do kieszeni tylko jedną fiołkę z chemią. Zażył dwie tabletki w szkole, popijając wodą z kranu.

Wszedł na salę gimnastyczną i trafił na mecz koszykówki. Na boisku namiętności wrzały niczym składniki w kolbie, a ON po prostu wszedł. Nie zwracając uwagi na grających, lekkim prężnym krokiem przebiegł przez salę i usiadł na ławce tuż obok wuefisty. Nauczycielowi wychowania fizycznego odebrało mowę, a z ust wypadł mu zaśliniony gwizdek. Dlatego nie powiedział Banzajowi nic.

Wciąż czując się doskonale, Banzaj wpatrzył się w koło na środku boiska namalowane żarówiastą czerwoną farbą (w odcieniu oczojebnym). Po pewnym czasie koło zaczęło się obracać, do czerwonego dołączyły inne kolory, które to gasły, to rozbłyśkały. Banzaj nie mógł oderwać oczu od tego zjawiska. Raptem zrozumiał, że ogląda najzwyklejszy w świecie latający talerz. I rzeczywiście, statek kosmiczny z oświetlonym pokładem uniósł się w powietrze z cichym furkotem, przypominającym dźwięk wentylatora. Z okrzykiem „A więc to tak! UFO w sali gimnastycznej - kto by pomyślał?” Banzaj wybiegł z pomieszczenia. Tego dnia nikt go więcej nie widział.

Następne godziny pozostały czarnymi dziurami w pamięci. Ocknął się na klatce schodowej. Najwyraźniej wracał do domu.

Ojciec był jak zwykle w pracy. Babka siedziała w domu.

- Myj ręce. Będziesz jeść - wydaje się, że tak mu wtedy powiedziała, ale pewności nie ma. Myjąc ręce, łyknął trzeci taren.

W lustrze w łazience odbijał się wieszak i szlafrok ojca. Banzaj przemył twarz i spytał tatę, którego odbicie zobaczył, dlaczego jest już w domu. Ojciec odparł, że co jak co, po kim jak po kim, ale po własnym synu nie spodziewał się takich głupot, jakich ten nawyczyniał w szkole. Banzaj coś odpowiedział (coś takiego dowcipnego i trafnego, ale co? - nie mógł sobie przypomnieć), a wtedy przykuśtykała babka i zapytała, z kim on tutaj gada.

Banzaj siedział w kuchni i jadł zupę. Babka poczłapała do jednej ze swoich podstarzałych koleżanek. Rozpoczął wtedy zadziwiająco interesującą dyskusję z czajnikiem. Zdaje się, że tematem były białe groszki na korpusie czajnika.

Wróciła babka i Banzaj szeptem obiecał czajnikowi, że nie zdradzi starej ani słowa z ich rozmowy.

Zdaje się, że czajnik pochwalał tę decyzję.

4.

Z następnego dnia Banzaj zapamiętał jedynie urywki, rzec by można - notatki. Rano połknął resztę tarenu - trzy pigułki. Zupełnie nie orientując się w czasie, przegapił pierwszą lekcję - algebrę. Usiadł na schodach przed szkołą, dziwiąc się, czemu nikt nie idzie na zajęcia.

Wreszcie na horyzoncie pojawił się dyrektor i zapytał Jurka:

- Czemu nie jesteś na lekcjach, Banzaj?

- No właśnie, kurwa, czekam, na tą jebaną algebrę.

Dyrektorowi opadła szczeka. Po kim jak po kim, ale po Jurku takiej odpowiedzi zupełnie się nie spodziewał. Potem następowały wydarte strony.

Powrócił (oprzytomniał) Banzaj przed jakąś salą. Śmiało, podskakując, wpadł do środka i trafił na zajęcia z algebry w równoległej klasie. Trwała trzecia lekcja.

Uśmiechając się wesoło, usiadł w tylnej ławce. Nauczycielka próbowała dojść do siebie; wszyscy uczniowie radośnie zerkali na tarenomana.

Nauczycielka otrząsnęła się wreszcie i kontynuowała zajęcia. Otyły chłopak siedzący obok Banzaja niebezpiecznie rozbijał się na krześle. Drewniane oparcie pękło z hukiem i grubas rymnął na podłogę.

Banzaj zarechotał dziko, zerwał się z miejsca i wybiegł z klasy. Potem znajomi opowiadali, że ten szalony śmiech słychać było aż na drugim piętrze.

Później znów następowały wyrwane strony.

5.

W trzecim tygodniu nauczania Banzaj ogłosił swoim dziecinom, że we wtorek, kiedy nie mają zajęć, zrobi fakultet. I każdy, komu nie jest obojętny czarodziejski świat biologii, niech czuje się zaproszony. Serdecznie zapraszam.

Właściwie Banzaj opiekował się trzema klasami, ale *ta*

(Darcia Borges)

z niewiadomych przyczyn podobała mu się najbardziej. I tę właśnie w myślach nazywał „swoją”.

Przed pierwszą lekcją w poniedziałek odbyła się huczna i tłumna zabawa, urodziny naszego kochanego dyrektora - pana Andrija. Wszyscy uczniowie (a dziewczęta podlizuchy w szczególności) prześlicznie składali solenizantowi życzenia stu lat. A Wi-tajl Chanygin Tyczynda popełnił nawet odę na jego cześć. Została ona przyczepiona na tablicy ogłoszeń, ale wcześniej Autor odczytał ją na zabawie jako Toast Dnia (Autor stał chybotliwie, ukrywając drobne beknięcia za wydęciami ust i podczas deklamacji nie spuszczał z solenizanta zaczerwienionych, błyszczących oczu). Utwór brzmiał:

*Niech dzień Ci srebrną rosą świta,
Niech się spełni tysiąc Twoich pragnień,
Pozwól, żebyśmy w Twoje święto
Złożyli Ci życzenia z całego serca,
Szczęścia, dobra, radości w życiu,
Zapału do pracy bez liku,
Ani grama kłopotów, ani kropelki cierpienia,
Orlego polotu i labędziego wieku,
I jak najmniej nierozwiązanych problemów.
Z ROSY I Z WODY!*

Jurko nie doczekał się informacji, co z dniem miała zrobić świta pana Andrija, ale specjalnie go to nie zmartwiło.

Jakiś nieodkryty dotychczas dziecięcy talent również przyłożył swoją szkodliwą rękę do ciepłych życzeń. Żelopisem, naśladując charakter autora, ktoś dopisał:

Ani słońce, ani woda

Siły ci nie doda.

Tylko aktywny onanizm

Zahartuje twój organizm.

CAŁUJEMY!

6.

26 września, we wtorek, odbyły się kolejne zajęcia fakultatywne.

Przyszli na nie różni ludzie, w poszukiwaniu wiedzy lub żeby się podlizać.

Głównym generatorem wazelinarstwa była Ira Korkusza. Banzaj owi przypominała ona Rybę-Słońce z kreskówki o Umku. Emanowały z niej nieustanne fluidy lizusostwa. Stała się swego rodzaju guru w tej niezwykle delikatnej i zawilej materii. Wokół niej skupiła się jeszcze czwórka dziewcząt tego samego wyznania.

Młody wykładowca wszedł do klasy. Siedziało już w niej trzech chłopców, wśród nich Igorek Lei, jak go tu wszyscy nazywali, którego nieudolne umizgi do Darcia mógł obserwować. Obecna była też oczywiście Królowa Lizusostwa ze swoją świtą; siedziała w drugiej ławce - nie za blisko, żeby nie można było od razu zdemaskować jej planów, i nie za daleko, żeby nie utracić wpływu na Jurka.

Banzaj właśnie zamierzał zacząć lekcję. Stał pośrodku i przygotowywał się do wykładu o cyklu kwasu trójwęglowego, kiedy do klasy weszła Darcia Borges. Przywitała się, zdjęła lekką jesienną kurtkę, rzuciła skórzany plecak na krzesło i siadła w pustym rzędzie (jak najdalej od wszystkich). Uśmiechała się lekko, czekając, co takiego usłyszy dziś na fakultecie.

Nagle odezwała się Ryba-Słońce:

- Darcia, a ty po coś tu przylazła?

Darcia odwróciła się w jej stronę i powiedziała coś bezgłośnie, poruszając jedynie ustami. Nie było widać co, bo na twarz z jednej strony opadły jej włosy.

-Sama spadaj. Won stąd, słyszysz, *paszła!* - zamiauczała głośno Ryba-Słońce.

-No! Won! - zakrakała jedna z jej koleżanek. - Nie marnuj tlenu!

Banzaj zobaczył, jak twarz Darci się napina. Chciał powiedzieć, że chyba zajęcia są dla wszystkich, ale dziewczyna już wstała i powoli szła do wyjścia. Jej czarne, zawijające się na końcach włosy znów zasłoniły twarz, ale odgarnęła je ręką. Zauważył, że zagryzła usta. Przed wyjściem ze złością kopnęła ławkę i znikła za drzwiami. Jurko ze zdziwieniem pomyślał, że w ogóle się nie postawiła. Po prostu poddała się. Muszą ją tu nieźle gnębić.

Ryba-Słońce i jej naśladowczyni uśmiechały się z zadowoleniem.

„No dobra, *diwoczki* - pomyślał. - Zaraz wam dam... lekcję”.

- Tematem dzisiejszego wykładu... - czuł, jak spojrzenia dziewczyn obmacują mu twarz. - Temat wykładu... Sperma!

Dziewczęta zdębiały. Możliwe, że dzięki obiecującej intonacji... No, dobra.

- Sperma... - Jurko rozciągał słowo, czując jego lepkość i mineralny zapach. - Jak wiadomo, sperma to bar-r-r-r-dzo cenny produkt kosmetyczny. Obecnie wiele kremów produkuje się na bazie nasienia. Tych kremów używacie do pysków... to znaczy do twarzy. ALE... Tak, tak, każdy wartościowy kosmetyczny produkt ma wiele swoich ALE. Im bardziej wartościowy i bardziej kosmetyczny produkt, tym więcej ALE i tym groźniejsze owe ALE. Szczególnie... o... na przykład: jakie znacie hormony płciowe, które są w spermie?

- No... testosteron, androsteron... - od razu wyrwała się Ryba--Słońce.

- Świetnie, Irenko - dziewczyna aż pokraśniała z zadowolenia, a Banzaj kontynuował - te właśnie hormony odpowiadają za drugorzędne cechy płciowe. Szczególnie za owłosienie ciała. I dlatego...

W tym miejscu Banzaj ostrzegawczo uniósł palec. Wzrokiem przesłakiwał z jednego chłopca na drugiego, zastanawiając się, w kogo uderzyć.

- I dlatego u masturbujących się mężczyzn, wskutek zabrudzenia spermą, mogą na rękach rosnać - *i co najbardziej nieprzyjemne, rzeczywiście rosna* - WŁOSY.

Igorek, zupełnie zapominając, gdzie się znajduje, podniósł dłonie na wysokość oczu i oglądał je pod światło. To samo, tylko że ukradkiem, robiła reszta chłopaków.

- Ale to nie wszystko! - zadowolony Banzaj przeniósł wzrok na dziewczęta.

-Bardzo ważne jest to, że w spermie znajduje się co? - Spermatozony, spermatozoidy lub spermie, co kto woli. Jak wiecie, w główce spermy znajduje się tak zwana hialuronidaza, która rozpuszcza substancję ochraniającą komórkę jajową: kwas hialuronowy. Ale wiecie też o tym, że kwas hialuronowy jest głównym składnikiem rogówki oka. Praktyka medyczna zna

przypadki utraty wzroku wskutek dostania się spermy do oka! - Banzaj uśmiechnął się z zadowoleniem. Ryba-Słońce straciła zaś wszystkie kolory, była biała jak ściana.

- Musicie zapamiętać sobie, że hialuronidaza rozpuszcza rogówkę! Tylko przeszczep może przywrócić wzrok! - głos Banzaja przeszedł w intymny szept - ...bądźcie ostrożni, moi mili.

- A... ślepotą jest całkowita? - spytała Ryba-Słońce zaniepokojona.

- Absolutna.

- A czy jakoś... jakimś sposobem można zatrzymać spermie? I czy można to jakoś leczyć? - jej głos stawał się coraz słabszy.

- Nooo... - przeciągnął Banzaj. - Jak zapewne wiesz, Iro, spermie ulegają neutralizacji w kwaśnym środowisku. Więc jeśli kapnie ci do oka trochę spermy, możesz przemyć je kwasem siarkowym. A leczenie... Niestety, jest tylko jeden sposób. Wycięcie uszkodzonej tkanki.

Banzaj rozkręcał się coraz bardziej; chciał opowiedzieć swoim przestraszonym podopiecznym, że najlepsi europejscy seksopatolodzy zalecają używanie specjalnych okularów, najbardziej obiecujące marki to *Sex-O-Vision™* oraz *Oral-Eye™*, ale w ostatnim momencie odpuścił.

Kiedy upłynęło wymęczone czterdzieści pięć minut, Jurko uśmiechnął się szeroko do swoich ufnych słuchaczy i powiedział:

- To wszystko, zapraszam na następne zajęcia. - I wyszedł z klasy.

Jak mówił vonnegutowski Kopciuszek: „Zegar bije, kurwa mać, trzeba z balu uciekać!”.

7.

Szanowny Panie Romanie Korij,

Otrzymaliśmy Pana zamówienie na książkę „Cultus Ver-mi”. Niestety, nie możemy Panu przesłać oryginału, dlatego oddajemy w Pana ręce duplikat z 1879 roku, pod oryginalną redakcją Evansa-Ventsa. W związku z powyższym zmniejszamy również cenę z 21 000 \$ do 4995 \$ za duplikat.

Proszę wypełnić załączony blankiet i przesłać do 18 października b.r. Serdecznie dziękujemy za zamówienie, Firma „Sator, Arepo, Renet, Opera & Rotas Libromania Limited”,

Miskatonic,

stan Massachusetts

9-3-2000 USA

8.

W dniu, w którym odbyła się pamiętna lekcja z technik bezpieczeństwa w dziedzinie seksu, tydzień po początku problemów ze snami, dwa miesiące przed prawdziwym koszmarem, Banzajowi przytrafiły się dwie wizyty. Obydwie na dużej przerwie po trzeciej lekcji.

Pierwsza przybyła Ryba-Słońce, gwiazda lizusostwa, niedościgniona, jeśli chodzi o liczbę podporządkowanych nauczycieli, Jaśnie Oświecona i Wielkobiusta Ira Korkusza. Dziewczę przy kości: mocnej budowy, miękka jak domowy kulebiak, z bujnymi pulchnymi piersiami i z wygłodniałym uśmiechem spragnionej wrażeń małej kobietki. Wykazywała niezdrowy pociąg do mazistych i ciemnych kosmetyków i zawsze obrysowywała wargi ołówkiem, żeby kontury stały się wyraźniejsze. Na dodatek była wyjątkowo łąsa na wszelkiego rodzaju biżuterię, szczególnie ciężką i masywną.

- *Priwjet* - zaczęła.

- *Prywit*^{*} - odpowiedział dobitnie, uśmiechając się. Najbardziej na świecie nienawidził, jak dziewczęta mówiły *priwjet* i *diskatjeka*.

- A to... czy to wszystko prawda, co pan mówił na fakultecie?

- Zupełnie poważnie. Jeśli chcesz, mogę ci nawet książkę pożyczyć.

Banzaj schylił się i wyjął spośród innych woluminów ciężki tom, obłożony białym papierem.

Na grzbiecie jego charakterem pisma było napisane:

SEKSOPATOLOGIA

Traumy, zboczenia i inne ciekawe wypadki

W rzeczywistości była to ulubiona „Astrologia dla lochów”^{**} Stacha Perfeckiego.

- A nie-e-e-e, dziękuję... - skrzywiła się Ira, patrząc z przerażeniem na książkę.

- No jak nie, to nie... A... chyba chciałaś coś jeszcze? - beznamiętnie zapytał Jurko, z przyjemnością odstawiając seksopatologię na miejsce. Ira oczywiście nie zrozumiała aluzji i kontynuowała swój bełkocik.

- A czy pan, znaczy, ty Jurku, nie idziesz na *diskatjeka*? W piątek będzie, no i... moglibyśmy...

Banzaj poczuł się, jakby w brzuch przywalił mu jeden z braci Kliczko. Wyobraził sobie wielkie niczym śnieżynki płyty łupieżu na bluzce Irynki, błyszczące zagadkowo w ultrafiolecie dyskoteki, oraz usta grubo zatynkowane szminką pożądliwie pochłaniające Jurka

^{*} ros. *priwjet*; ukr. *pryvit* - cześć (przyp. tłum.).

^{**} ukr. *loch* – frajer (przyp. tłum.).

język. Jego twarz od razu straciła wyraz świętego spokoju. *Damn fuckin' shit-ass!* - nie wiedzieć czemu przypomniały mu się korepetycje z angielskiego: *Cocksucker-mother-fucker!!!* (tak jego lektorka lubiła mówić najbardziej). „Tylko nie to! Tylko nie to!” - zakończył w myślach.

- Hmm... Eee... Oj... No... Wiesz Irynko, sama widzisz, tyle roboty, wasze prace zaliczeniowe trzeba sprawdzić... Nie-e-e-e... boję się, że nie pójde. Nie-e-e-e... Tym bardziej że ja już z tego wyrosłem...

Irynka, czy też Ryba-Słońce, odeszła z niczym. Ze złością trzasnęła drzwiami. Zupełnie jak Darcia, którą wypędziła jednym władczyim słowem.

Myśli Banzaja popłynęły w jej kierunku. Jak łatwo się poddała! Siadła w rzędzie, gdzie nie było nikogo. Zawsze sama. Zrobiło mu się przykro, naprawdę przykro. Taka sympatyczna (sympatyczniejsza od całej reszty, sympatyczniejsza z każdym dniem) dziewczyna zazwyczaj nigdy nie bywa sama, (miedziane buki) chociaż w Miedzianych Bukach wszystko może się zdarzyć (Jeszcze nie zdecydował, jakie jest jego podejście do tego miejsca, ale był pewien, że w odróżnieniu od Darci Borges, podoba mu się coraz mniej. A Darcia...)

Niespodziewanie ktoś zapukał do drzwi i weszła ona. Darcia Borges.

Z Banzaja opadły wszystkie myśli i słowa. Jakby ktoś zastał go nagim.

- Cześć - powiedziała, ledwie się uśmiechając. Obydwie odwiedzające go dzisiaj dziewczyny miały czarne włosy, ale pierwsza zniszczyła je doszczętnie licznymi trwałymi i innymi fryzjerskimi cudami. Włosy Darci były czarne, proste, jedynie na końcach wywijały się na zewnątrz. Mniej więcej takiej długości jak miał na trzecim roku: pięć palców poniżej ucha. Odgarnęła włosy z oczu, tak że można było zobaczyć twarz. Banzaj mdlał cicho.

- Bardzo jesteś teraz zajęty? - zapytała. W Banzaju zamarło serce: czyżby i ona chciała zaprosić go na *diskatjeka*? A zdawało się, że taka równa dziewczucha...

- No trochę, a co?

- A czy mógłbyś wyjaśnić mi, no, powiedzieć, co było na ostatnim fakultecie? - oczywiście wstydziła się, że Banzaj był świadkiem jej wygnania. A może to nie było wygnanie... No Jureczku?

9.

Radośnie (ale nie za bardzo, żeby jej nie przestraszyć) powiedział, że tak, jasne, bez dwóch zdań, przyjdź po szóstej lekcji, jak zjesz w stołówce, no i możesz mi mówić po prostu „Banzaj”.

- Dobrze, Banzaj - powiedziała i wyszła. Drzwi zamykały się powoli. Jurko nie mógł oderwać wzroku od zmniejszającej się z ruchem drzwi przestrzeni. Zanim zupełnie się zamknęły, zobaczył, jak Darcia odwróciła się do niego i pomachała ręką pa-pa.

Jesteś pedofilem, Banzaj, zapamiętaj sobie raz na zawsze. Jesteś pedofilem.

Opędził się od tego paskudnego głosu i siadł, żeby zjeść jabłko i poczytać „Zamek” Kafki. Po przerwie miał okienko i zamierzał pójść do Dzierżysławy Czerewuchy, popatrzeć na renoira.

10.

Darcia rzeczywiście przyszła po szóstej lekcji z zeszytem i długopisem. A Banzaj prawie się nie denerwował.

- To o czym im dzisiaj opowiadałeś, bo te sss... - Darcia w porę, choć z niezadowoleniem ugryzła się w język.

- Suki? - zapytał po prostu. Kiwnęła głową.

- Tak. One. Nie chciały mi powiedzieć, jaki był temat. Mówiły, że jestem jeszcze za mała...

Banzaj głośno parsknął śmiechem i rechotał aż do skrętu kiszek. Poprosił, żeby nikomu (a już *diewoczkom* w szczególności) nie mówić o *tym* i powtórzył swój słynny występ. Pod koniec Darcia uśmiechała się już szeroko i porozumiewawczo.

A potem, kiedy zwykle napięcie między nieznanymi znikło dzięki historii, opowiedział jeszcze wiele ciekawych rzeczy, rysując u niej w zeszycie różne cykle, wypisując długie nazwy enzymów (Darcia przyznała się, że czuje do takich długich nazw niewyjaśniony pociąg), pokazywał naukowe książki z biochemii, wciągając się w swoją opowieść coraz głębiej i głębiej. Zupełnie oderwawszy się od rzeczywistości, Banzaj nie miał pojęcia, że ciemne oczy uczennicy biegają po jego twarzy, zauważając każde zagłębienie, z których każde było według niej dokładnie tam, gdzie być powinno.

Rozdział 4

1.

Mijają dnie, mijają noce...

Tak było i w przypadku Banzaja. Dzień gwałtownie przechodził w wieczór i zastawał Jurka leżącego w mieszkaniu na kanapie, słuchającego „Van Der Graaf Generator” lub „King Crimson”, czytającego książki, przygotowującego się do zajęć na następny dzień, myślącego o pewnej opuszczonej przez wszystkich osobie - Darci Borges. A dokładniej: jedzącego, pijącego, śpiącego, palącego, myślącego o Darci, palącego, czytającego, słuchającego „Van Der Graaf Generator” albo „King Crimson” (w zależności od nastroju - a ten był głęboko pesymistyczny, depresyjny i maksymalnie filozoficzny, więc muzyka pasowała jak ulał), patrzącego na zachodzące słońce, myślącego, że ten dzień to już na pewno ostatni pogodny dzień jesieni, myślącego o Darci, palącego, jedzącego jabłka, zastanawiającego się, czy przypadkiem nie wykorzystać swojego n/w, schowanego pod łóżkiem, w drewnianym zagłębieniu ramy, palącego i myślącego o Darci.

Od tego wszystkiego było mu ciężko, samotnie i strasznie. Na ulicach miasta - żywej duszy. Tylko blask zachodzącego słońca, zapach dymu, melancholii i chłodu. Pachniało zimą. I pustka na ulicach. I całe mnóstwo żółtych liści. Banzaj włożył zieloną kurtkę. Wepchnął do kieszeni najnowsze wydanie „Patrioty” oraz „Wiary, Nadziei, Miłości” i wyszedł w poszukiwaniu ławki, żeby poczytać te bzdury. Jak za długo jesteś w mieszkaniu, nawet w pokoju, obklejonym zapisami partytury, i palisz, palisz, palisz, to w końcu pomieszczenie zaczyna cię dusić.

Na dworze było zimno. Chłód i dym od razu przypomniały mu Solę. Spacerowali po Kaiserwaldzie jesienią.

Znalazł jakiś park. Cały żółty, z wyjątkiem kilku sosen. Za ławką, na której usiadł, tliła się kupa pożółkłych liści.

Gazeta trochę poprawiła mu humor. Przeczytał artykuły o przedsiębiorcy, którego zaciukał jego osobisty księgowy, o zgwałconej babci, maltretowanej przez sąsiada pijaka, dowiedział się, że Somerset Maugham miał ponad tysiąc dwieście kochanek i umarł na liszajec zakaźny, którym zaraził się od swojej najmłodszej trzynastoletniej kochanki. Gazeta donosiła, że pod koniec swego rozpustnego życia Maugham wyglądał jak marszczelec afrykański, cały pokryty

łuskami liszaju. Banzaj porównał swoją wiedzę z tym, co przeczytał w gazecie. Wyszło na to, że „Księżyc i miedziak”, tak jak i reszta utworów, napisany został podczas intymnych kontaktów z kolejną kurewką.

„12.30 - przygody Supermana w fant. serialu *Przygody Supermana*”,

wyróżniono w programie.

Potem następowała strona poświęcona pracy z narodem, na której informowano, że Budda i Zaratustra, jak również sam nasz Pan Bóg Jezus Chrystus, wywodzą się z Galicji. Wspominano też, że Atylla służył przez długi czas u boku księcia Jarosława. Autor wskazywał na niezaprzeczalne dowody tego faktu - nazwa plemienia Attyli, Hunowie, pochodzi od ukraińskiego słowa *hun'ka*, co oznacza ciepłą odzież wierzchnią z owczej wełny. Jurko dowiedział się również, że fakty te uznane są przez historyków na całym świecie, a sam autor otrzymał błogosławieństwo od legendarnego Lwa Gumilowa.

Takie rzeczy.

A propos, fotografii „Akt deprawacji nieletniej ob. Klio przez Autora. Fotografia Autora” nie udało mu się znaleźć. Całkiem prawdopodobne, że zdjęcie opublikowano we wcześniejszym numerze gazety.

Wywiad z mieszkańcami, którzy widzieli przybyszów z innej planety, Banzaj postanowił sobie darować i wyrzucił gazetę do śmieci. Zapach zimy. Myśli o dymie. Pamięć o Darci, wspomnienia o Soli. Zapach dymu, myśli o Darci, pamięć o zimie, wspomnienie Soli. Wspomnienie Soli.

Sola.

2.

Na trzecim roku, zaraz po połowinkach, omal nie zrobił najgłupszej rzeczy w swoim życiu. Uratowało go pojedyncze skinienie, a właściwie jego brak, gdy zapytał: „Czy nie chciałabyś za mnie wyjść?”. Adresatką pytania była jego ukochana Sołomija Lękawka.

Z Solą studiował na jednym roku. Na początku jej poglądy na świat wywoływały w nim niepojętą odrazę, potem nastąpiło zawieszenie broni, aż w końcu zakochał się na zabój. I ona też, jak sądził Jurko. Na to wyglądało.

Ale Sola była nie tylko mądrą, piękną i wszechstronnie rozwiniętą dziewczyną. Fakultatywnie udawało jej się jeszcze być wywłoką, ścierwem, kurwą i po prostu suką. Mimo to on, Jurko Ban-zaj (on, *Jurko Banzaj!*) umiał ją pokochać.

Sola odznaczała się nieprzeciętną urodą, miała idealne rysy twarzy, smukłą szyję, długie nogi i wyszukane maniery. Może właśnie to oczarowało go tak beznadziejnie i żelazobetonowo.

We wczesnym (operowalnym) stadium choroby zaczął zachwycać go sposób, w jaki Sola widziała świat (a przypomnijmy, że temu samemu *Jurkowi Banzajowi* od tych samych poglądów jeszcze rok wcześniej robiło się niedobrze). Potem w stan uniesienia wprowadzały go jej lekcje francuskiego.

No i, oczywiście, pieprzyła się jak złoto.

To, że życiowym powołaniem Soli jest bycie suką, zauważył, kiedy dała mu kosza. Poprosiła, żeby trochę poczekać. Powiedzmy, do końca roku. Propozycja ze wszech miar poprawna, gdyby nie fakt, że Banzaj jej nie zaakceptował. Chciał już, teraz, natychmiast. Dlatego odmowa zdystansowała go i częściowo otrzeźwiła. Zadumał się, czy Sola rzeczywiście jest tak idealna, jak mu się zdawało.

Banzaj słuchał głędzenia i tylko przytakiwał. Robiło mu się smutno, że właśnie ta dziewczyna zostanie jego żoną (podejrzanie, że wcale może nie zostać jego żoną, nigdy nie zagościło w Jurka głowie). Sola niejednokrotnie wskazywała na tragiczne ograniczenie Banzaj a. Zbyt wąskie horyzonty. Nudziarz. Na co kiwał w milczeniu głową.

Chciała przerobić go na swoje kopyto. Zmusić do chodzenia na dyskoteki („No, ale z ciebie nudziarz, *Jura*, tylko słuchasz tej swojej kretyńskiej muzyki, na żadne dyskoteki nie chodzisz! Ale ty jesteś nu-u-u-dny!”). Kiedyś stwierdziła, że nienawidzi zespołu „Mertvyj Piven” za to, że wykoślawił piosenkę „Francois”, Iryny Biłyk*. Banzaj wciągnął tylko powietrze nosem, żeby się opanować, i nic nie powiedział. Bo według niego za takie słowa należało od razu walić w mordę.

Na dodatek uwielbiała korzystać ze zwrotu „Nie chcę... ale...”:

„Nie chcę cię obrazić, *Jura*, ale masz zły gust”

„Nie chcę krytykować twojego wyglądu, *Jura*, ale długie włosy *no zupełnie* ci nie pasują”

„Nie chcę się czepiać, *Jura*, ale ten twój Peter Hammill - to jest muzyka dla debili, kompletna żenada”.

* „Mertvyj Niven” (ukr. *mertvyj piven* - martwy kogut) - kultowy ukraiński zespół rockowy, przerobił piosenkę „Francois” Iryny Biłyk, ukraińskiej gwiazdy pop (przyp. tłum.).

Tak właśnie. Ciągłe mówiła „nie chcę... ale...”, i zawsze *chciała*. Zawsze chciała się przyczepić. I im bardziej Banzaj biegał za nią jak piesek, tym bardziej przenikała ją *chęć czepiania się*. Mimo to biegał i biegał, bo bez niej po prostu nie mógł. I dopiero po ratunkowych połowinkach doznał olśnienia, niczym Sawa w drodze do Damaszku.

Z nadchodzącym latem Sola oddalała się od niego i coraz natrętniej wiła się wokół Deszcza. Spoks, myślał, wszystko pod kontrolą. Ale spod kontroli wymykało się coraz więcej rzeczy.

W końcu Sola zostawiła go dla najlepszego przyjaciela - Deszcza Mokoszy. Wtedy właśnie zdecydował się zweryfikować teorię małżeństwa Wasson dotyczącą muchomorów. Nie miał nic do stracenia - albo dostąpi oświecenia, albo umrze, co w tym przypadku byłoby całkiem na miejscu.

Dzięki Bogu, eksperymentatora odratowali, a Deszcz wyśmiał Sołomiję. Opowiadał potem Jurkowi, jak szlochała mu w rękaw i prosiła, żeby pocałował ją chociaż, bo zawsze kochała *tylko* jego, a nie nudziarza Banzaja, bo on naprawdę jest taki strasznie nudny, że nie ma z nim o czym rozmawiać... że ona Deszcza bardzo kocha, że go *pragnie*... Na co Deszcz roześmiał jej się soczyście prościuteńko w buzię. Przelecieć cię? Nie ma sprawy. Ale jeśli mojego najlepszego kumpla uważasz za nudziarza, to ze mną nie doczekasz zachodu słońca, umrzesz z nudów.

Po powrocie z reanimacji Jurko spotkał się po raz ostatni z Sołomiją. Powiedziała krótko, że wszystko między nimi skończone, że to był jedynie kiepski żart, chodziła z nim tylko z litości itd. Szybko i cicho wygłosiła swoje exposé, odwróciła się i wyszła bez pożegnania. Wyglądała, jakby nie spała przez tydzień. Wyglądała jak suka, którą zgwałciło stado wściekłych psów dingo.

3.

Banzaj wyciągnął drugie pisemko. Dziennik baptystów „Wiara, Nadzieja, Miłość”. Tutaj nie było nawet artykułów o gwałtach. Jego wzrok zatrzymał się tylko na jednym tytule: „Lesyk Leskiv: nagła śmierć w nierównej walce na równym terenie. Białe plamy i czarne dziury autobiograficznej szachownicy”. Sądząc z tytułu, w artykule opisano postać nie mniej charyzmatyczną niż Andy Warhol, chociaż nie było tam ani linijki konkretnego tekstu. W związku z obecnością nieobecności jakiegokolwiek treści, Banzaj zrozumiał, że nic nie zrozumiał. Dziennik dołączył do „Patrioty” na dnie kosza na śmieci.

Ciemniało i zimniało. Dłonie stały się suche i chłodne, tylko twarz jeszcze się tliła w promieniach zachodzącego słońca. Zapach palonych liści.

Banzaj wyszedł z bezludnego parku i skierował się do pustego centrum. Tam pod białą figurą, najprawdopodobniej świętej Anny, zauważył coś ciekawego. Kilkoro starych ludzi (po trzy babcie na każdy bok) coś głośno wykrzykiwało drżącymi głosami. Przysiadł na ławce obok demonstrujących. Cel spotkania odkrył jedynie dzięki transparentowi. „Moskale do domu!” - wołały krzywe litery na białej wstędze sklejonej z kartek bloku technicznego. A poniżej gromki napis „Rejonowe Towarzystwo Języka Ukraińskiego im. Tarasa Szewczenki”.

Wsluchiwał się w okrzyki

- Jak śmiecie?! Żeby nam *zdies'* nam, *Ukraińcam*, nie pozwalać *pa ukraińsku hawarić**?!! Jak śmiecie??!

- Co, śmiecie?! Jakie śmiecie?? To wy śmiecie! My jesteśmy wielki naród rosyjski! A naród rosyjski nigdy, w żadnym kraju nie był i nie będzie mniejszością narodową! Nigdy!

Banzaj zrozumiał, że przez te pięć lat, w ciągu których nie interesował się polityką, na Ukrainie zaszły poważne zmiany. Od razu zdecydował, że najlepiej nie interesować się polityką przez następne pięć lat. A może nawet przez dziesięć.

Obok demonstrantów stała smutna kobieta z Zakarpacia, w łachmanach, z wielkim tobołem na plecach. Monotonnym głosem zwracała się po kolei to do jednych, to do drugich:

- Wybaczcie Pani, wybaczcie, że was proszę, ja nietutejsza, dajcie parę kopiejek, na dziecko chore, takie chore, wybaczcie, że proszę...

Jurko wstał i poszedł przed siebie, jak najdalej od kwintesencji teatru absurdu, gdzie nigdy nie zjawi się Godot.

4.

Brnął żółtymi, pomarańczowymi ulicami, dziwiąc się czystości alej Paszy Angeliny** , Saksahańskiego, Frunzego, Dzierżyńskiego, Szczorsa. Co oni tam (tu) zgubili? Wali się stary porządek rzeczy. Bardzo silnie czuje się to w Miedzianych Bukach. W mieście praktycznie nie ma ludzi dwudziesto-, trzydziestoletnich. Starość i wynarodowienie widać jak pod mikroskopem.

Rzeczy psują się, tracą porządek i tańczą. Na pewno dlatego, że wszędzie rozbrzmiewa muzyka. I nagie pary biegają pod cichym księżycem.

* Wypowiedź w *surżyku*, mieszanca języka ukraińskiego i rosyjskiego, będącego następstwem silnej rusyfikacji, po ukr. powinno być *hovoryty ukrajins'koju* - mówić po ukraińsku (przyp. tłum.).

** Właściwie Praskowja Angelina, pierwsza traktorzystka w Rosji (przyp. tłum.).

Zastanawiał się, dlaczego wszystko się tu starzeje. Jakaś przyczyna, zewnętrzny czynnik, który odbierał wszystkiemu sprawność, coś wypełniało ulice pustką, która przemieniała się najpierw w chłodną rozpacz, a następnie w ukryty strach.

(Strach: wcześniej czy później zaczynasz odczuwać go w tym mieście. Może od zapachu z lasu albo z gór, albo mgły znad rzeki. Z wilgotnych piwnic i pustych ulic. Z zapachu samotności i rozpacz. Stąd właśnie przyszedł, przychodzi i będzie przychodził strach.

Z dalekich obcych miejsc, które w Miedzianych Bukach okazały się zbyt bliskie).

Strach sączył się w Miedzianych Bukach przez pory rzeczywistości jak opary z bagien, gdzie poruszono muł.

Tak! Wcześniej czy później każdy zaczyna czuć tę rozmytą trwogę.

5.

Znaki zaczęły pojawiać się tu i tam, w najmniej spodziewanych miejscach.

Do domu Romana Korija, marynarza na emeryturze, wleciała wielka sowa. Stało się to w nocy, kiedy palił przy otwartym oknie, zgasiwszy światło. Jego przekrwione białka połyskiwały mętnie. Sowa wleciała do domu, zahukała, wołając biedę. Korij zgasił papierosa, przepędził sowę i prędko zszedł do piwnicy, gdzie miał swój gabinet-bibliotekę.

(O tym gabinecie nie wiedział nikt, a gdyby wiedział, bardzo by się zdziwił, że pijak pokroju Korija ma taką bibliotekę; gdyby ten ktoś przeczytał tytuły chociaż kilku książek - a większość z nich była po łacinie i starogrecku, choć trafiały się również niemieckie i angielskie - to najpierw zdumiałby się jeszcze bardziej, a potem spytał, skąd Korij wziął pieniądze na tak rzadkie inkunabuły, których miejsce jest w najlepszych bibliotekach świata. I to w tych działach, do których nikogo nie wpuszczają). Korij wyciągnął ze stelaża opasłe tomisko i zaczął coś gorączkowo zapisywać.

Gdyby Banzaj otworzył czwartkowe wydanie „Postępu”, w rubryce *Kilka słów* natrafiłby na wiadomość pod tytułem „Lodowa pustynia zabiera piętnaście ludzkich istnień. Ekspedycja ginie pod górą Kadath”. W kilku słowach notatka opowiadała o grupie uczonych, którzy znaleźli obozowisko innej ekspedycji, zaginionej w niewyjaśnionych okolicznościach u podnóża góry Kadath na Antarktydzie. Podejrzewa się, że polarników zasypała lawina, kiedy natrafili na jakąś pieczarę. Śmierć uczestników ekspedycji nie budzi wątpliwości. Obozowisko przykryte było czapą zamrożonego śniegu z lodem, a prowiant zjedzony tylko do połowy.

U Ewki Nawiji z Miedzianych Buków ocielila się krowa, wydając na świat dwugłowe cielę. Cielę umarło na trzeci dzień.

Sowy, które rzadko widywano w miedzianobukowskich lasach, zaczęły się gromadzić naprzeciwko koledżu. W ciemnościach krzyczały dziko i pohukiwały. W czasie pierwszych przymrozków, o wpół do trzeciej w nocy, kiedy wszyscy w akademiku dawno spali, Darcia Borges wyjrzała przez okno. Most na rzece wymazany był bladym, chłodnym miodem światła księżyca. Na każdym drzewie Darcia zobaczyła po dwie, trzy sowy kręcące głowami i nadymające się od własnego oddechu, jak szare pulsujące płody. Księżyc odbijał się w ich miękkich bezgłośnych piórach.

O tak! Znaki były wszędzie. Wystarczyło wiedzieć, gdzie patrzeć.

I wiedzieć, co one zapowiadają.

Rozdział 5

1.

W dniu, w którym Banzaj spacerował z Darcia, było słonecznie i strasznie zimno jak na październik. Wszyscy doszli do wniosku, że to ostatni pogodny dzień jesieni. Wtedy też zaczęli wyłączać światło - we wszystkich dzielnicach, oprócz szpitala i policji, od szóstej do dziewiątej wieczorem.

Na trzeciej przerwie w korytarzu złapała go *ona*. Kiedy Banzaj zorientował się, kto go woła, temperatura jego ciała gwałtownie wzrosła. Darcia Borges. W wytartych dżinsowych ogrodniczkach i białym T-shircie. Z niewiadomych przyczyn widział ją dziwnie wyraźnie, jakby najadł się świętych grzybów, widział ją zlepioną z najdrobniejszych szczegółów. Przywitała się i spytała, czy Jurko nie wyjaśniłby jej czegoś z cyklu Calvina, może opowiedziałby *trochę dokładniej*. Jasne! Świetnie! Nie ma sprawy, po szóstej lekcji, jak tylko zjesz. Pa-pa!

Kiedy stali, rozmawiając, obok nich niczym okręt wojenny „Wielka Missouri” przepłynął psycha-chalog Dima. Niezauważalnie mrugnął do Banzaja i wydał z siebie małe „cha--cha!” za ich plecami. Zupełnie wbrew woli Banzaj zaczerwienił się.

Krótko mówiąc, Darcia pomachała mu i sobie poszła, a Jurko, zdziwiony i poruszony, wszedł do swojego gabinetu.

2.

Po szóstej lekcji wszyscy normalni ludzie szli do stołówki. Banzaj usiadł przy stole z brzegu i zaczął jeść, a raczej rachitycznie chleptać cieką zupkę. Kiedy oderwał wzrok od łyżki, zauważył, że na jego stoliku stawia talerz i chleb Irynka Ryba-Słońce.

„Ja cie...” - pomyślał Jurko. A miał nadzieję, że już się od niego odczepiła.

-*Priwjet!* - powiedziała, napychając sobie usta kaszą gryczaną.

-*Prywit* - odpowiedział Banzaj. Najbardziej nienawidził w dziewczętach, jak mówiły... zresztą nie będzie się powtarzać.

Problemy ze *śnieniem* nie mijały, jak tego oczekiwał, a wręcz nasilały się. Darcia niwelowała niewesołe myśli, ba, umiała go nawet pocieszyć i nastroić pozytywnie, natomiast przez Rybę-Słońce szalki zaraz się zrównoważa.

Irynka najwyraźniej pragnęła nawiązać kontakt.

- Jura, a masz jakieś rodzeństwo?

- Ta, siostra Morfina to moja rodzina - powiedział pierwsze, co mu przyszło na myśl.

Ryba z niedowierzaniem zmarszczyła czoło.

„Ciężki wypadek, panie doktorze. Może... amputujemy? Co? Maleńka amputacyjka przed ucztą jeszcze nikomu nie zaszkodziła, tak na apetyt... Amputacja jeszcze nikomu nic złego nie zrobiła, doprawdy, amputujmy! No ba-a-a-rdzo proszę!”.

Ale Banzaj ulitował się, westchnął ciężko (oznajmiając jednocześnie wewnętrznemu sadyście, że amputacja nie jest dzisiaj możliwa z przyczyn technicznych) i zapytał w odpowiedzi:

- A czym się interesujesz?

- No-o-o-o... - Irynka złożyła usteczka w dzióbek. - Wszystkim się interesuję, a ty?

- Aha. A jakiej muzyki słuchasz? - zapytał znowu, nie do końca nieuprzejmie.

- No-o-o-o... „Otpietyje moszenniki”... może słyszałeś „Zaprieszczionnyje baraban szczyki”?

A tak to Iryna Biłyk, „Ruki wwierch”, no i takie, a ty?

Banzaj w myślach dramatycznie klasnął w dłonie: wykapaną Sola!

- No-o-o-o... - zawył, naśladowując jej intonację i zachowując wyraz twarzy błogosławionego mieszkańca szpitala psychiatrycznego. - Dla duszy „King Crimson”, Petera Hammilla, a tak, to takie tam siostry Bajko, „Łomi-łom”, „Ruki wwierch”... te no... „Zaprieszczionnyje baraban szczyki”, no rozumiesz...

Ryba nie odczuwając żadnej dysharmonii między wymienionymi nazwami, zapytała:

- A to jaka muzyka? Ciężka, co nie? Lubisz ciężką muzykę? Bo wyglądasz jakbyś lubił ciężką muzykę...

- Ciężka muzyka??? - Banzaj udał, że nie rozumie, o co chodzi. - No nie, gdzie tam! „Łomi-łom” to nie jest ciężka muzyka!

Długo jeszcze sprzeczałyby się, co znaczy „ciężkie”, a co po prostu „dla duszy”... Banzaj poczuł się jak Marco Polo, opowiadający wielkouchym tubylcom o dziwnych morskich stworach, trzech wielorybach, które *naprawdę* widział, o prześlicznych syrenkach itd., obciążając ich łatwowierne uszy wszelkiego rodzaju makaronami: „muszelkami”, „wstażkami”, „spaghetti” i zwykłymi kluskami pierwszej klasy „extra”. Ich dyskusja, a raczej spowiedź Marca Polo trwałaby jeszcze Bóg wie jak długo, bo wszystko to, pomimo swojej

bezsensowności, upewniało Rybę-Słońce w przekonaniu, że najwyraźniej przypadła studentowi do gustu.

Dlatego Banzaj zdecydował się na użycie cięższego argumentu niż upodobania muzyczne.

- Słuchaj, Ira, a topiłaś kiedyś szczeniaki? Maleńkie, jeszcze ślepe, takie nieporadne?

Ira z obrzydzeniem ściągnęła usteczka.

- Nie, a co?

- Pomyślałem sobie, że zapytam, bo może wreszcie trafię na kogoś, kto się ze mną zgadza. Wiesz, kiedy byłem mały, mieszkalem w Stanisławowie. Babcia miała psa, Dinkę, bardzo sympatyczną suczkę. Dwa razy w roku Dinka się szczeniła. Ale sama rozumiesz, wychowanie psa to cały majątek - to znaczy, niemal. A szceniaków za każdym razem było osiem, dziewięć, bywało i piętnaście. Takie malutkie, śliczniutkie, z takimi uszkami, no nic, tylko je pieścić i brać na ręce!

Ira oczarowana słuchała jego prawdziwej historii.

- No i wtedy babcia zamykała Dinkę w budzie, wołała mnie do siebie i mówiła, żebym wszystkie utopił. Dawała mi za to cukierka. I wiesz co? Topiłem! Za każdym razem! Dwa razy w roku! Jak wasze egzaminy w koledżu! Zimą i latem. A wiesz jak? Bierzesz stare wiadro, nalewasz wody, ale tylko do połowy, żeby się potem nie wylewało... i bierzesz jeszcze jedno wiadro. I bierzesz *pieski*. Wrzucasz je do wody, one w tym wieku jeszcze nie szczekają, raczej miauczą. I przyciskasz z góry drugim wiadrem. I orientujesz się od razu - nabrałeś za dużo wody, czy w sam raz... a potem zaczynają puszczać nosem bańki... pod wodą. Jakbyś zobaczyła tę komedię, cały dzień byś się śmiała. Ale ubaw! - Banzaj ekstatycznie wznosił oczy, całym sobą okazując, jaka to była frajda.

Jego różowe wspomnienia z dzieciństwa, z tych słodkich lat na długo przed osiągnięciem dojrzałości płciowej i wysypem wulgarnych młodzieńczych pryszczy, mogłyby trwać całe wieki, gdyby koło Banzaj a nie usiadła Darcia. W dłoniach trzymała dwa kubki z kompotem - dla siebie i dla Jurka. Uśmiechnął się do niej ciepło, dziękując za napój. Ryba-Słońce zobaczyła ten uśmiech i cicho zgrzytnęła zębami.

Darcia usiadła bardzo blisko, można powiedzieć szczelnie, tak że czuł ciepło jej ręki.

- Darcia! Spadaj! Ktoś ci pozwolił *się dałanczać*? Po coś się tu przywlekła?! - zaszczekała przez zęby Irynka. Jej wymalowane na purpurowo usta krzywiły się ze złości. Błyszczały na nich kropelki tłuszczu (z mięsnego sosu z kaszy gryczanej). Darcia nic nie powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca. Podniosła do ust kubek, zasłaniając nim całą twarz, oprócz oczu, i trzymając go w obydwu dłoniach, jak dziecko. Zaczęła głośno siorbać kompot. Nie spuszczała wzroku z Irynki.

- Ogłuchłaś czy co?! - Ryba-Słońce wkurzała się coraz bardziej, że *Darcia* (tak-tak, *Darcia*!) ośmieliła się nie posłuchać. Nagle Irynka zrozumiała, że przygważdża ją nie tylko spojrzenie dziewczyny. Banzaj odłożył łyżkę na bok i siedział, podpierając brodę pięściami, żeby ukryć uśmiech. Obserwował ją uważnie, jak prehistoryczny gatunek latimerii, wyłowiony w stawie koło domu dziadka.

- Pojebańcy! - wycedziła.

Ryba-Słońce cisnęła łyżką (nikt nie jadał tu widelcami, bo widelców nie było), hałaśliwie wstała, prostując się na całą swą wysokość walkirii, i zaniósła talerz do okienka z brudnymi naczyniami.

Jurko w milczeniu skończył zupę, *Darcia* głośno dosiorbała kompot. Zza kubka widać było uśmiech.

3.

Na dworze było już naprawdę zimno jak na październik. Chodniki suche i białe od zamarzniętej wilgoci. Kałuże ściągnięte mrozem. Liście zastygły w kruche, skrzypiące pod nogami płyty. Banzaj marzł, bo włożył tylko luźną zieloną bluzę i lekką zieloną wiatrówkę. Było mu też zimno w uszy i palce u nóg, miał cienkie skarpetki, a czapki nie nosił z założenia; chociaż liczył sobie dwadzieścia dwa lata, nadal uważał, że prawdziwi mężczyźni czapek nie noszą (w szafie miał jedną, ale bardzo się jej wstydził).

Darcia, również bez czapki, ale za to w szaliku i w rękawiczkach, najpierw złapała go za rękę, chuchając na pobladłą skórę (z jej ust wylatywały kłęby mlecznej pary), a zauważywszy, że Jurko nadal mimowolnie szczeka zębami, weszła mu pod rękę, tak żeby objął ją ramieniem. Dziewczyna była o głowę niższa, a z gór dał lodowaty wicher, więc Banzaj specjalnie nie protestował. A głęboko w środku nawet się z tego cieszył.

Chociaż szczerze mówiąc, uważał się za pedofila. Wydawało mu się, że ci nieliczni przechodnie, których spotykali, odwracali się z niedowierzaniem i patrzyli w ślad za młodym mężczyzną, który szedł ulicą, obejmując jakąś niepełnoletnią dziewczynę, „małolatę”, jak mawiają w Kijowie. Kolejny pedofil, myśleli pewnie, wzruszając ramionami, następna inkarnacja Mykołky - różowej-koszulki, znanego pedofila, któremu w 1973 roku udało się rozdziewiczyć 59 dzieci w wieku od pięciu do dziewięciu lat, w tym 34 chłopców. Podobno złapano go na próbie gwałtu sześćdziesiątej, jubileuszowej ofiary.

Myślał jeszcze o lekcji, jaką dała mu *Sołomija*. O tym, że nie warto zanadto przywiązywać się do ludzi, a zwłaszcza do „małolat”, jak mawiają w Kijowie. Przypominał sobie również różne

ciekawe fakty z życia własnej rodziny: myślał o babci, która wyszła za dziadka w wieku 19 lat, kiedy dziadek miał już 27, o rodzinie swojego kumpla Deszcza: starszą siostrę jego mama urodziła, mając lat 17. A za męża wyszła, mając lat 16. Tata Deszcza miał wtedy 26 lat. Nie wiedzieć czemu, do głowy przychodziły mu również myśli o tych, którzy zaliczyli wpadkę, i nie mieli pieniędzy na aborcję. Jak na przykład jego znajomy, który odszedł z uniwersytetu po sesji zimowej. Sami wiecie czemu.

Od całej tej matni w głowie odżegnał się jednym ruchem ręki, odpychając ciało dziewczyny. Darcia szła obok, wydychając siwą parę przez nos.

Po obiedzie usiedli w jego komórce. Banzaj tłumaczył niuanse ciemnej fazy fotosyntezy. Rysował obrazki i schematy, na które patrzyła, mówił, słuchała. Kiedy doprowadził swoją wypowiedź do logicznego zakończenia, bogato inkrustując ją cytataми z „Biochemii” Alberta i „Tako rzecze Zaratustra” Nietzschego, Darcia zamiast podziękować i iść do akademika, spytała, czy nie chciałby się z nią przejść. A więc, panie i panowie... Darcia była interesującą dziewczyną. Nie dawała się łatwo zaszufładować, w odróżnieniu od albumów „Metalliki”, i to go bardzo cieszyło.

Zapytała, czy Banzaj chce, żeby pokazać mu jedno fajne miejsce. Banzajowi było już wszystko jedno (palce u nóg miał skostniałe), dlatego się zgodził.

Przeszli przez całe miasto (powierzchnia jeziora przy brzegu była usłana żółtymi zwiędłymi liśćmi, w lustrzanej tafli odbijało się chłodne niebo), wyszli na zamarzną drogę koło góry i ruszyli w kierunku koledżu. Za miastem spotkali jedynie grubą dziewczuchę, utuczoną na ziemniakach. Wyprowadzała na spacer psa bardzo rzadkiej i ekscentrycznej rasy *joecocksucker-spaniel*.

Darcia Borges opowiadała o sobie, o debilnych rówieśnikach z Nowojaworiwska, o swojej miłości do Hendriksa, Joplin i Morrisona, o wielu ciekawych i po prostu zwykłych rzeczach ze swojego życia. Zawrócili, ruszyli w górę i znaleźli się na wysokości koledżu, szli dalej ścieżką wyrąbaną na skraju lasu. Nad nimi widniały sosny z zielonymi gałęziami i czerwonymi pniami, w dole szemrał strumień. Potem wrócili na niewielką ścieżkę, minęli wysokie mrowisko i zagłębili się w las. Za kolejną sosną było kilka krzaków bylicy rocznej, paproć (nieco już zwiędnięta, wyglądała na martwą) oraz zwalony pień. Korony drzew szczelnie zamykały przestrzeń.

- Przychodzę tu, kiedy jest ze mną naprawdę źle. Przez nie. -Darcia niedokładnie pokazała głową w kierunku miasta.

- Przez te wszystkie *diewoczki*? - Banzaj rozejrzał się i usiadł na zwalonym drzewie. Darcia przytuliła się, żeby Jurkowi zrobiło się cieplej. Patrzyła w las. W odpowiedzi ze smutkiem

pokiwała głową. Apatycznie opisywała różne przykre wypadki, związane z życiem w akademiku. Dwa razy, zupełnie na poważnie prosiła kuratora, aby pozwolił się jej przenieść do części zajmowanej przez chłopców. Chłopaki przynajmniej ją szanowali. Ale oczywiście wszystkie błagania pozostały bez odpowiedzi. A kierowniczka ograniczyła się do pouczającej rozmowy na godzinie wychowawczej. Tak jakby godzina wychowawcza komuś kiedykolwiek pomogła.

Dlatego Darcia mogła jedynie wszystko ignorować.

Banzaj z uwagą wypatrywał na jej twarzy zwiastuna łez, ale nic podobnego nie znalazł. Dziwne. Chyba pierwszy raz zdarzyło mu się, że ktoś opowiadał coś *takiego* nie po to, żeby pochwalić się swoją drewnianą nogą (jak by to powiedział wujek Freud). Nie opowiadała po to, żeby ktoś jej współczuł.

Może czuła, że Banzaj jest człowiekiem, który jej nie wyśmiej?

4.

Darcia weszła mu pod rękę jeszcze głębiej. Wydychał ciepłe powietrze na jej policzek i ucho. Chwilę później bardzo ostrożnie powiedział, że lepiej się zbierać, bo dupa mu już przymarza do kory. Zeszli na dół

(zapach igliwia na zimnie, mglista wilgoć, która zamieni się w nocy w szron, szum potoku - świadomość lasu?)

aż do słupka w paski z namalowanymi skrzyżowanymi liśćmi dębu. Darcia poprosiła, żeby Banzaj pokazał jej jeszcze, gdzie mieszka. Z natarczywością dziewczynki starszoklasistki, pomyślał Jurko. I jeszcze przyszło mu na myśl, że nauczy się mówić dziewczynom „nie”, dopiero jak skończy siedemdziesiąt dziewięć lat.

Uprzedził, że nie odprowadzi jej już do koledżu, i powiódł ją na wąską uliczkę Łysenka z zamkniętą szkołą muzyczną na końcu. Zdradził nawet, jakie ma mieszkanie, i zaprosił na herbatę, ale Darcia odmówiła, bo w akademiku lada moment będzie kolacja i dlatego nie wpadnie. Pa-pa, dodała i pomachała ręką na pożegnanie.

Zawsze żegnała się w ten sposób.

Rozdział 6

1.

Ze snami było coraz trudniej. Ale Banzaj uspokajał sam siebie, że minie dzień, dwa i wszystko wróci na swoje miejsce.

Co noc miał prorocze śnienia. Z niewiadomych przyczyn zupełnie stracił nad nimi kontrolę. Co noc trafiał do Biblioteki Babilońskiej.

2.

Wykładanie w koledżu jest rzeczą dosyć prostą. Regularnie płacą, a dzieci są w miarę normalne.

W dniu, w którym uderzyły pierwsze mrozy (co prawda nazajutrz pod wieczór przyszła odwilż i wszystko ciekło błotem), do jego gabinetu zajrzało dwóch gości.

Byli to *jego* uczniowie, Małajałam i Samplowany. Żyli w dość dobrych stosunkach z Jurkiem i zupełnie nie krępowali się mówić do niego per *Banzaj*.

Samplowany był w ciuchach o dwa, trzy numery za dużych. Żeby wszystko jakoś się na nim trzymało, wykorzystywał różnorakie szelki, paski, rzemienie i dodatkowe guziki. Wiśniowe pasemka zamienił na żółte, dążące do koloru karczocha. Na zmianę pogody, pomyślał Jurko. W całym ubraniu Samplowanego było mnóstwo głębokich kieszeni. Z czasem Banzaj dowiedział się, że chłopak należy do subkultury tzw. *syntetyków*, którzy słuchają tylko syntetycznej muzyki elektronicznej, wyznają kult jazdy na rolkach i żywią się w McDonaldach. Syntetycy odznaczają się szczególną inercją w stosunku do środowiska zewnętrznego. Zastanawia ich tylko jedno - skąd pochodzą.

Małajałam miał długie włosy do pasa, tzw. hery, jak mawiają w pewnych kołach alternatywnej młodzieży, hery związywał w kucyk. Nosił zwykle robione na drutach, wytarte swetry z indiańskimi wzorkami oraz dzinsy nieokreślonego koloru. Wszędzie targał ze sobą wielki plecak, w którym znajdowała się olbrzymich rozmiarów księga pt. „Maha vira » Lwa Sylenka, biblia martwych, żywych i nienarodzonych RUN-virców na Ukrainie i nie tylko (również w Kanadzie).

Romko Małajałam, czyli Pająk Małajałam, zawsze i wszędzie nosił ją ze sobą, żeby w razie potrzeby zacytować jakąś złotą myśl lub odnaleźć odpowiedź na nurtujące go pytanie.

I teraz ci dwaj goście stanęli przed Jurkiem, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Zaczął Samplowany:

- Słuchaj Banzaj, mamy taki problem...

- Taaaaaaaaa - potakując, westchnął Pająk. - Z *pacanami*. Banzaj nastawił uszu.

- Jednym słowem, stary, *nabili nam strzałę* i to nie byle kto, bo sam Kabak.

- Sam Kabaczek - Locha Siwer - znowu jęknął Pająk. Lew Sy-lenko prawdopodobnie w takim wypadku radziłby znaleźć kilku dużych DŹIS'ów (dla niewtajemniczonych: decydentów o życiu i śmierci) i zadrzeć z *pacanami*, czyli po prostu obić im paszcze. Ale gdzie takich DŹIS'ów znaleźć? Na bazarze nie kupisz, w domu na agar-agarze nie wyhodujesz.

- A strzała... - zaczął nieco zagubiony Jurko - Kiedy? Dlaczego?

Chłopcy po kolei westchnęli.

- Powiedzmy, że... jutro... o piątej. W parku.

- ... obją nam mordy.

I Samplowany opowiedział, jak to się wszystko zaczęło. Małajałam z powodu swojego zakompleksienia zbluzgał jedną *die-woczkę*, która od dłuższego czasu wyśmiewała jego długie włosy. Pająk oczywiście zdawał sobie sprawę, że należy ona do sekty *pacanów* (dokładniej *pacanek*), ale nie ugryzł się w język i po ptakach. *Diewoczka* wszczęła straszliwy raban, od razu zleciała się banda *pacanów*, ostrzyżonych na zero, zrusyfikowanych i z komórkami. Zaczęła się przepychanka, Samplowanemu dali w ucho, Pająkowi - w nos; obydwóm *nabili strzałę* - skomplikowane zjawisko społeczne, podczas którego rozstrzygane są problemy *pacanów*, zarówno na poziomie werbalnym (właśnie *strzała*), jak i niewerbalnym (tzw. *kaczeli*).

Wśród uczniów koledżu zaznaczały się ostre podziały kastowe. Dwie główne kasty to *czuwiki* i *pacany* (można tu przeprowadzić paralelę między odłamek sunitów i szyitów w islamie). O ile kiedyś *czuwak* czy *pacan* były zwykłymi zwrotami (np. „Ej ty, *czuwak*, ostrożnie ze słowami” (Szlak.) albo „Przecież to wciąż jeszcze *pacan*, gdzie mu tam do tego” (Relan.), o tyle teraz wyraźnie wskazywały na styl życia, a nawet na światopogląd. Niektóre gwiazdy współczesnej socjologii poświęcały temu zjawisku całe lata badań (jak np. Urban Chmar z „Manifestem Krymsontów” czy Kost Zyzka Rafałowycz i jego „Satori we Lwowie” i jeszcze wielu innych, jakich uznanie i sława najwyraźniej ominęły); wszyscy oni zgadzają się co do tego, że *pacan* i *czuwak* są eufemizmami odpowiednio słów *format* i *nieformat*. Nie zważając na olbrzymią różnorodność *pacanów* i *czuwaków*, badacze umieli wyróżnić pewne

kryteria, według których względnie łatwo oznaczyć przynależność (lub neutralność) danego osobnika. Nie będziemy tu opisywać skomplikowanych testów (analityczny schemat Kleinborn-Iwanowej) ani hipnotycznej metody *manic nirvana* opracowanej przez Instytut Esaleński w Big Sur w stanie Kalifornia, USA. Zatrzymamy się na podejściu czysto empirycznym.

Ponieważ *nieformaly* (w całej swojej pstrokaczynie) są jedynie OPOZYCJĄ (wobec wszystkiego: społeczeństwa, szkoły, *formatów*, rodziców itd.), nie będziemy zaczynać od nich, lecz od ich oponentów - *formatów*. Działa tu tak zwany efekt lustra, zgodnie z którym gnębiona mniejszość trzyma się razem, nazywa *nieformalami* i robi wszystko to co *formaty*, ale dokładnie na odwrót (patrz K. Żyżka-Rafałowycz, „Ihorycz, Nemyrycz, Nirvanycz i Dobermanycz: 101 dni w Pank-klubie”, „MiM”, L., 1997 r.). (Uwaga: Gdyby *formaty* byli w mniejszości i to w dodatku gnębionej, to ONI nazywaliby siebie *nieformalami*).

A więc:

Formaly (synonimy: *hopy*, *hopniki*, sami mówią o sobie: *pacany*) noszą zazwyczaj fryzury krótkie - na jeża, džinsy z paskiem zapiętym na dwie dziurki (bardzo charakterystyczne!), obuwie sportowe oraz włożone w spodnie koszule w kratę. (Uwaga: *Formaty* tubylcy, autochtoni z Miedzianych Buków mają nieco odmienny wygląd, co wyjaśnić można nieczystą krwią. Dany obszar zasiedlony jest gatunkami hybrydalnymi: *hopnik* wsiur, *hop* podkarpacki, *hopnikobyk*. Można nawet natrafić na rzadkiego *hop-loch-sztrich-byka* - zaiste żalosne widowisko! Autochtoni preferują stroje sportowe. *Hopów* nieczystej krwi można rozpoznać po swetrze niedbale włożonym w spodnie dresowe. Uwaga: Autor tych słów nie wyróżnia pozycji Stefka Szankra, którą pokazał on w satyrycznej trawestacji „Czwarte przesłanie do sadłóżerców”, gdzie Szankr nazywa *hopów* pryszczatymi bydlakami. Autor osobiście spotkał pryszczate bydlaki również wśród *hipabłudów*, dlatego też pryszczatość nie może być kryterium przynależności). Ale drogi *hopów* z koledżu i *hopów* zewnętrznych rzadko kiedy przecinały się.

Hopnicy preferują czarne barwy z mizernymi, można powiedzieć minimalistycznymi białymi akcentami - biały pasek na czapce lub biały znaczek na adidasach. Należy jednak uważać, jeżeli chodzi o czarny kolor, jest on bowiem priorytetowy również dla tak zwanych black metalowców (*blakerów*) - adeptów *death* i *black metalu*, absolutnie obcej *hopnikom*, nonkonformistycznej subkultury. Najważniejsze *pacany* w koledżu mają własne komórki, które zazwyczaj przypinają w widocznym miejscu, najczęściej w okolicach genitaliów. („Ej, *pacan!* // znowu Anię zobaczyłeś, // czy może teraz komóre // w kieszeni nosisz?” - cyt. za W. Realnium „Akty wandalizmu na wyspie Paschy. Ontologia to kosmologia lwowskich raguli”,

„MiM”, L., 1995 r.). W noszeniu telefonów nie przeszkadzało im nawet to, że Miedziane Buki z trzech stron otaczają góry, a dodatkowo znajdują się w naturalnej kotlinie, w związku z czym żaden telefon komórkowy nie ma tutaj zasięgu.

Jednak czasami *formaty* potrafią stosować mimikrę wobec pewnych tendencji undergroundu. W takich wypadkach samo zewnętrzne skanowanie jest niewystarczające. Potrzebny jest ŻYWY KONTAKT.

Metoda ŻYWEGO KONTAKTU, pomimo całego niebezpieczeństwa, bezbłędnie odkrywa prawdziwe oblicze *pacana*.

„*Hopnicy* wypracowali własny kodeks moralno-honorowy - pisze Żyżka Rafałowycz - który opiera się na całkowitym braku honoru i braku jakichkolwiek zasad w ogóle. [...] Kodeks ten przekazywany ustnie [...] z pokolenia na pokolenie przerodził się w patologiczną formę folkloru. *Prawdziwy pacan* musi umieć w każdym momencie *abasnuwały* (uzasadnić), że jest *pacanem*, a nie *lochem*. [...] Jak ktoś tego nie umie - to żaden z niego *pacan*. Prawdziwe *pacany trudiatsja* - co w slangu oznacza *zabierają lochom pieniądze*"; *hopów* łatwo rozpoznać po ich gwarze, a jeszcze prościej po nachalnym, tępym wyrazie twarzy, który mówi „Kto tu rządzi? Ja tu rządzę!”. *Hopy* są pierwszym pokłosem nieletniej przestępczości, każdy z nich marzy o jednym - zostać *worem* w *zakonie**. Ich cel - ponadglobalny wcielony konformizm. Nienawidzą wszystkiego, co wyodrębnia z SZARZYŻNY, tej mdłej szarzyżny, którą oni właśnie są. (Cyt. patrz K. Żyżka Rafałowycz, „*Ihorycz, Nemyrycz, Nirvanycz i Dobermanycz: 101 dni w Pank-klubie*”, „MiM”, L., 1997 r.).

Pacany wszędzie (a w koledżu szczególnie) znieważały i bardzo nie lubiły *nieformalów*. *Nieformaly* natomiast nie lubiły ich. Jednak o ile ostatni byli w większości przypadków liberalnymi pacyfistami i nie zwracali na *pacanów* żadnej uwagi, tyle *hopy* uważały każdego kudłatego *czuwaka* za osobistą obrazę własnej godności. Dlatego też wynaleziono tak genialne rzeczy jak *strzała* i *kaczeli*.

Banzaj powiedział, że jasne, może im pomóc i to nawet bardzo, jeśli zgodzą się kogoś przewaletować.

- Nie o mnie chodzi. Wyluzujcie - uspokajał ich.

3.

* Doświadczonym złodziejem, o wysokiej randze w półświatku (przyp. tłum.).

Człowiek, którego trzeba było przewaletować, to Rostyk Stryba - student trzeciego roku wydziału prawa, dobry znajomy Jurka i świetnie zapowiadający się specjalista we wspomnianej dziedzinie.

W ten dzień Banzaj zadzwonił do niego z telefonu na parterze. -No to jak, Ronią? Nocleg i opłata za przejazd. No i dwie godziny w tym mieście.

- A mówiłeś, że co to za miasto? Buki-Biaki? Też mi fani Co-nan Doyle'a. Dobra, Banzaj, jak dla ciebie, to i noclegu może nie być, tylko przejazd w tę i z powrotem. A długo się jedzie?

- Dwie i pół godziny.

-Ooooooooo... - westchnął Ronią w słuchawkę. - No dobra, Jurko. Dla ciebie.

Banzaj odłożył słuchawkę. Rostyk Stryba wyrastał na bardzo inteligentnego i dobrze wychowanego prawnika. *Strzały* były jego hobby.

4.

Obok aparatu telefonicznego siedział jakiś starszy pan o wyglądzie pijaka. Banzaj wiedział, że jest to Romko Korij, nowy stróż. Rola stróża polegała na tym, żeby pilnować wejścia i nie pozwalać wszelkim wyrzutkom z zewnątrz przedostawać się do koledżu. Korij miał mlecznosiwe, jak dym z wilgotnych liści, włosy, króciutkie, schowane pod czarnym beretem desantowca. Białka oczu nabiegły mu krwią, zapewne z powodu alergii na dym. Wyglądał na pięćdziesiąt lat, nie więcej.

W czasie gdy Banzaj rozmawiał przez telefon, mężczyzna był zatopiony w lekturze. Druga książka, notesik oraz ołówek spoczywały obok. Ktoś obcy podszedł do drzwi i Korij przestał czytać, po czym pośpieszył do wyjścia. Jurko odwiesił słuchawkę i rzucił okiem na leżące na stoliku książki. Jedna po ukraińsku, druga -po rosyjsku. Pierwsza, wydana przez Instytut Psychologii Trans-personalnej, zatytułowana była „Zaśpiewy pnakotyczne i odmienne postrzeganie. Teksty R'lyeh“, autor - Jurgen von Jungst. Druga - „Wierzenia polinezyjskie oraz północne analogie w Ameryce epoki prekolumbijskiej“, praca doktorska Oleksy Karny, 1987 r.

Przez jakąś straszliwą chwilę Banzaj czuł w sercu ostre lodowe żądło.

Nazwisko.

Bez wątpienia było mu znajome. W snach czytał książkę barona von Jungsta „Niewiarygodne kulty“. Nie przypominał sobie treści, ale tytuł oraz imię autora zostały mu w pamięci. Czytał ją w Bibliotece Babilońskiej.

Banzajowi zrobiło się niedobrze. Poczuł nudności. Pobiegł do toalety, wpadł do kabiny i pochylił się nad muszlą. Próbował coś zwymiotować, ale wylało się z niego tylko trochę piekącej kwaśnej cieczy. Na ścianie błękitnym markerem ktoś namalował schemat mechanizmu przypominającego maszynkę do mielenia mięsa. Rysunek wykonano w trzech rzutach, precyzyjnie, z wykorzystaniem grubych, cienkich i kreskowanych linii. Widać było, że autor poświęcił niejedną lekcję fizyki. Obrazek podpisano:

NAUCZYCIELOSIEKARKA STATYCZNA.

Banzaj gwałtownie uniósł głowę i wyszedł z kabiny. Przed oczami przeleciała mu setka motyli i przez jakąś chwilę wydawało mu się, że widzi na ścianie ciemnoczerwone litery. Zamrugał parę razy i litery znikły.

5.

Samplowany i Małajałam bardzo się denerwowali. Chodzili bladzi i przestraszeni jak senne mary z własnych snów. Dochodziła już za piętnaście czwarta, a Rostyka Stryby ani widu, ani sły-chu. Jurko był bezsilny.

Dwadzieścia po czwartej do koledżu próbował wejść niewysoki student trzeciego roku z odpowiednią fryzurą, dobrze dobranymi okularami, schludnie ubrany. Rozsiewał dookoła siebie pewność i aromat old spice'a. Oczywiście Korij nie zamierzał go wpuścić, ale posłał jakąś dziewczynę po Jurka, do którego przyjechał gość. Student mówił miękko, wyraźnie, niezbyt głośno i bardzo przekonująco.

Kiedy Banzaj wraz z dwoma wypłoszonymi uczniami zszedł na parter, a potem wyszedł na zimnicę, która panowała na dworze, z radością ujrzał Rostyka Strybę.

Ten przywitał się ze wszystkimi, podając rękę i powiedział:

- Słuchajcie chłopcy, chodźmy do tego waszego parku. A po drodze opowiecie mi, co to za głupki.

Po drodze Rostyk spojrział na zegarek i wydał z siebie zdziwiony okrzyk (Sampel i Pająk pomyśleli, że spostrzegł, jak strasznie się spóźniają). Jednak Ronią z radością uznał, że mają jeszcze kupę czasu i mogą skoczyć do restauracji, żeby coś przegryźć. Samplowany próbował delikatnie zasugerować, że restauracja w Miedzianych Bukach to może była przed pierwszą wojną światową, a poza tym są i tak spóźnieni, ale Ronią wydał właśnie kolejny okrzyk - teraz już z pewnością radosny - bo jego oczy trafiły na szyld knajpy „Opór”.

W kawiarni Roni najspokojniej w świecie wypił trzy filiżanki kawy - zamówił cztery, ale Pająk i Sampel odmówili. Ich serca i tak były jak szalone.

Sampłowany i Pająk zupełnie na serio uważali się za ostatnich romantyków w tym gnijącym gnieździe *hopników* i pragmatyzmu. Potajemnie za swego patrona obrali znanego zabójcę policjantów Crowleya Dwa Nagany. Z duchowym bratem łączyło ich jedno. W ich piersiach były zmęczone, ale bardzo dobre serca.

Pająk i Sampłowany byli prawdziwymi marzycielami. Wierzyli w to, że milicja naprawdę ich strzeże, a jeśli zły *hopnik* zabierze im pieniądze na lody i powiedzą o tym milicjantowi, to złodzieja ukarzą, a pieniądze im zwrócą... I nikt nie będzie ci robił na komisariacie „słonika” w masce gazowej, ani „jaskółki” z wykręcaniem stawów; wierzyli w to, że milicja jest DOBRA, że ochroni ich przed złymi i strasznymi facetami, a jeśli przypadkiem złapie ich na ulicy z kieszeniami wypchanymi ziołem, to nie zabierze, nie wypali sama i nie zniszczy sporządzonego w domu z butelki „Żywczyka” kieszonkowego bulbulatora*, nie posadzi ich w areszcie na czas nieokreślony, tylko pogrozi palcem.

Sampłowany marzył o życiu pośród błogosławionych Alp, w wiosce z widokiem na jezioro oraz gankiem z widokiem na las. Marzył o czternastoletnich dziewczynach, mleczarkach o białej skórze, w białych bluzkach i czerwono-czarnych zapaskach, o dziewczątkach spragnionych uciech cielesnych, i dobrego dymania na dywanie między płonącym kominkiem a dzbankami parującego mleka, które mleczarki niedawno przyniosły...

Natomiast Pająk wyobrażał sobie ostre porachunki ze swoimi prześladowcami - tysiąc i jedną noc długich noży w *hopickim* getcie, podporządkowane mu zastępy czarnych SS „Pięści Prawdy” do niszczenia *pacanów*... Marzyło mu się, że pewnego dnia, kiedy *hopy* przyjdą odebrać daninę, wykona w powietrzu doskonałą pchłę - śmiercionośny cios bojowego *hopaka* - nogami złamie ostrzyżonemu skurczybykowi klatkę piersiową, a ktoś z bandytów krzyknie nagle w panice: *Szuchjer, pacany, spierdzielamy, on na bojowy hopak chodzi*... Wyobrażał sobie, że nosi za pazuchą wielki tasak, maczetę do ćwiartowania, owiniętą bawełnianą chustą do wycierania krwi. Ciąć będzie nim na prawo i na lewo. Marzyły mu się rzeki krwi i góry mięsa, wory mąki kostnej i wigwamy skalpów, skrzynie pełne koralu z ich członków, pale z zatkniętymi głowami prześladowców, rzędy trzy litrowych słoików wypełnionych formaliną, w której pływają zdziwione *hopickie* oczy, marskie wątroby i atroficzne jądra. Tak, to było coś dla Pajaka!

* Bulbulator - wykonana domowym sposobem fajka wodna (przyp. tłum.).

Kiedy elektroniczny zegarek Banzaja wskazał szesnastą pięćdziesiąt trzy, Rostyk uspokajająco poklepał chłopców po plecach i zamówił trzy kruche *croissanty*. Dzięki Bogu po namyśle zrezygnował z gorących flaczków.

- Chłopaki, nie martwcie się! Przecież to są zwyczajne wiejskie byki. Zmusimy ich jeszcze, żeby... hmm... jak to się mawia, *zabaszlali nam babki**.

Na szczęście Rostyk nie zaczął jeść rogalików w kawiarni. Jeden nadgryzł, drugi oddał Banzajowi, a resztę włożył do papierowej torebki (w ogóle miał lekki odchyl na punkcie słodkich wypieków, dlatego w głębi serca cieszył się, że tak dużo zostało dla niego).

Kiedy doszli na wyznaczone miejsce - a była to cienista aleja parku, gdzie bardzo wygodnie urządza się obławy na *hipabludów* - kłębiło się tam już około dwudziestu ludzi. Banzaj zauważył, że Pająk stara się oblizać wyschnięte wargi wyschniętym językiem, a Sampłowany niepewnie raz po raz wyciąga rękę, żeby nacisnąć klawisz *escape* i wyjść z tej głupiej strony.

Rostyk zatrzymał się, pogwizdując nostalgiczną melodię z „Ojca chrzestnego”. Z kieszeni wyjął torebkę, otworzył i zjadł resztę *croissantów* (wiśniowe nadzienie - marmolada, jeszcze parowała). Podniósł oczy i zobaczył, że chłopcy patrzą się na niego z niemym błaganem.

- Chcecie trochę? - zapytał z pełnymi ustami. Sampłowany popatrzył na niego oszołomiony i jedynie pokręcił przecząco głową. Wydawało się, że wpadł w trans. Pająk natomiast nawet nie ruszył głową, tylko znacząco kopnął kupę liści.

-To oni? - zapytał rozczarowany Ronia, po jakiejś minucie zucia, wciąż *ustonapchano*. Głową wskazał w stronę *hopowni*, która agresywnie (a jednocześnie dość niepewnie) patrzyła w ich stronę. Od czasu do czasu jakiś *hop* wykrzykiwał coś obraźliwego, po czym cała zgraja rechotała.

Rostyk przeżuł, otarł chustką usta z cukru pudru, podchwycił wcześniej podśpiewywaną melodię i powiedział, żeby wszyscy się zbliżyli.

Przywitał się na głos, ale nikomu ręki nie podał: tak zaczęły się *mudky*.

Na początku *hopy* wyłożyły im swój punkt widzenia w kwestii danego problemu. Operowali takimi progresywnymi pojęciami, jak *on mienia napřagaje* (czyt.: on mnie wkurwia), *my was wsiech nahipabludim* (czyt.: spuścimy wam wpierdół), *budiete nam wsim baszliat babki* (czyt.: będziecie nam wszystkim kasłać hajs) itp.

- Czy wyglądam na *hipabluda*? - miękko spytał Rostyk głównego *hopa*.

- Met.

-No to dawaj, odejdziemy, a ja ci to i owo przetłumaczę.

* ukr., slang, *zabaszlati babki* - dać pieniądze (przyp. tłum.).

Takiego obrotu sprawy *hop* nie oczekiwał. To ON przyszedł przetłumaczyć, ON przyszedł *kaczat' swai prawa* i absolutnie nie zamierzał wysłuchiwać pouczenia jakiegoś homopedanta. Mimo wszystko się zgodził. Odeszli na pięć metrów w bok, Rostyk z podniesioną brodą, z rękami złożonymi za plecami, *hop* - z rękami w kieszeniach i świętym przekonaniem o własnej wyższości nad oponentem.

Na początku była cisza. Rostyk mówił bardzo cicho, wyłącznie dla dwu par uszu. Potem w zmroku rozległ się krzyk:

- *A czego on moją dziewczkę pasylaje* (czyt.: wyzywa moją dziewczynę)?

A potem:

- Co? Pewien jesteś? *W žyzni taho nie budiet'* (czyt.: nigdy w życiu)! Jakim *hipabludem!* Ta idź ty!

Błyskawicznie po tych słowach pięść Rostyka wpakowana została w szczękę *hopa*. *Hop* upadł na kolana, przyciskając ręce do brody. Splunął na różowo. Rostyk podniósł go za łokieć i kontynuował swoją pracę u podstaw, mówiąc wciąż tym samym sugestywnym tonem. Teraz *hop*, podtrzymywany za łokieć, kiwał jedynie w milczeniu głową. Po jakichś siedmiu minutach wrócili. *Hop* podszedł do swoich kumpli i cicho przekazał wszystko w paru zdaniach. „Pięćdziesiąt hrywni?!”, nie wierząc własnym uszom, wykrzyknął ktoś z tłumu.

- No to jak? - po krótkiej pauzie zapytał Rostyk, stojący już obok Banzaja.

- *Charaszo* - cicho odpowiedział *pacan*.

- Przekażcie kasę temu człowiekowi. - Rostyk wskazał głową na Banzaja, który puszczał ustami kółka z pary, myśląc w tym momencie o Darci.

- I pamiętaj, co ci mówiłem.

Hop niechętnie kiwnął głową i poszedł. Kompania, która zjawiała się tu, żeby oklepać buzie *hipabludom*, rozczarowana powlokła się w ślad za nim.

Po dwóch dniach do gabinetu Jurka przyszedł główny *hop*. Nic nie mówiąc, dał Banzajowi dziesięć banknotów o nominale pięć hrywni. Z każdego papierka przyglądał mu się wnikliwie ojciec Chmiel.

Trzydzieści pięć odesłał Rostykowi z kartką DZIĘKUJEMY. Piętnaście - po pięć na łebka, zostawił na lody.

Rozdział 7

1.

Kimka-drzemka: co mi się śni. 19.09.2000

Cały dzień myślałem o Darci, z nadzieją, że mi się przyśni. Wykonałem wszystkie czynności, zalecane przez K. H., opracowałem scenariusz, który cały czas powtarzałem sobie w głowie. Zapamiętałem trzy sny. Pierwszy – patrz Dodatek; drugi – zamierzony sen o Darci (patrz op. cit.). Najbardziej przejął mnie trzeci, ostatni z tych, które zapamiętałem. Był on Nadzwyczaj Jaskrawy, nawet jak na świadome śnienie.

Kończył się właśnie sen o Darci, kiedy zrozumiałem, że jest to sen na zamówienie. Zdałem sobie sprawę, że jestem w ciele śnienia. Poczułem, że z podniecenia budzę się i dlatego wykonałem ćwiczenie K. H. przewidziane na podobny wypadek. To było ekstra! Zobaczyłem, jak ściany pokoju zaczynają rozmywać się i znikać. Znalazłem się w wielkim pomieszczeniu z wysokim sufitem. Bardzo wysokim. Pomieszczenie nieprzytulne. Przy ścianach stało mnóstwo półek z książkami. Przypominam: Całkowicie kontrolowałem swoje działania i byłem zupełnie pewny, że to nie jest sen. Wszystko dokładnie jak w rzeczywistości: wzrok, słuch,

(właśnie przypominałem sobie, że nie było żadnego uczucia dotyku ani smaku, może zapomniałem),

podszedł do mnie jakiś mężczyzna w prostym, niepozornym stroju i powiedział, żebym usiadł i zaczął czytać. Próbowałem zmusić go, żeby zniknął (bo czułem, że

ma nade mną jakąś władzę), jak to bywa przy śnieniu, ale ten pan powiedział: „Nic z tego nie będzie, nie kombinuj, Jura, nie strugaj wariata, siadaj i czytaj”.

????????????

Wtedy spróbowałem przetworzyć go na co innego (np. kota). Obraz mężczyzny stał się rozmyty, jakby między nami płynął potężny

strumień gorącego powietrza. Kiedy usiłowałem odzyskać ostrość widzenia, przede mną pojawiło się COŚ.

~~(Dziwne, że nie obudziłem się ze strachu. Może trzymane mnie tam umyślnie?)~~ **Bezsens!**

COŚ wyglądało jak wysoki (ok. 5m?) różowy, mięsisty stożek. Podstawa stożka stała na podłodze i przesuwiała się jak ślimak. Z wierzchołka stożka na cienkich nitkach nerwów zwisało kilka par oczu (3? 4?) Były tam również niewielkie połyskujące kleszcze, jak u kraba.

~~NIE WIERZE W TO CO ZE MN~~

COŚ powiedziało, że dla wygody mógłbym stać się taki sam, ale jeśli mnie to dezorientuje, to lepiej, żebym został we własnym ciele (???). **Do tej pory nie mogę uwierzyć, że śnienie wyszło spod MOJEJ kontroli.**

Jeśli dobrze zrozumiałem, stożek był czymś pośrednim między nadzorcą, kuratorem i wychowawcą. Wskazał kleszczami na stół i powtórzył, żebym usiadł czytać. Na stole leżały wysokie stosy książek. Kiedy to przeczytam, powiedział Stożek, Wtedy ze mną porozmawia. Sprawdzi, czy udało mi się przyswoić (!) wiedzę, dodał. I że ze mną o wiele prościej niż z innymi.

Usiadłem przy stole na ławce i rozejrzałem się. Jak daleko mogłem objąć wzrokiem, czytelnia ciągnęła się w nieskończoność, a wreszcie zbiegała się w jeden punkt, nieskończony – nieosiągalny. Możesz się śmiać, ale miało się takie wrażenie, że znika on za horyzontem. Tak samo ciągnęły się stelaże, stoły i czytelnicy. Wielu z nich robiło jakieś konspekty (?) albo po prostu pisało. Wielu z nich, jak mi się wydawało, w ogóle nie było ludźmi.

Otworzyłem pierwszą książkę. Litera, o dziwo, nie rozpływały się (a jeśli to sen płatów czołowych?). Przez jakąś chwilę milczałem, próbując zrozumieć, **ki** diabeł z tymi stronami. Były niczym białe prostopadłościany, które zanurzają się w głąb własnej płaszczyzny. Słowa przypominały łodzie podwodne, płynące czytelnikowi na spotkanie. Każdy wyraz był pojemnym hieroglifem jakiegoś nieznanego języka. A JEDNAK ROZUMIAŁEM KAŻDY ZNAK. Książka nosiła tytuł „Kult bogów góry Kadath i inne misteria Hiperborei”. Zauważyłem, że dzieją się ciekawe rzeczy z czasem. Mogłem przeczytać całą książkę w pół godziny, choć podczas czytania wydawało się to kilkoma dobami (porównaj działanie *cannabis indica*). Książka opowiadała o kresach

Hiperborei na dalekiej północy (Skandynawia? Antarktyda?) i o panujących tam wierzeniach. Wiesz co, Banzaj, naprawdę mnie to uderzyło. To, że ci Hiperborejczycy oddawali cześć lodowej górze Kadath, w której miał być uwięziony bóg S'nnhcha (?). Co roku składano mu w ofierze ośmioro dzieci. Jeśli wierzyć książce, dzieci gdzieś się podziewały. Zbyt dziko to brzmi, żeby było prawdą. Zamierzałem właśnie wziąć następną porcję lektury, gdy usłyszałem przenikliwe pipczenie radia, a chwilę później arię z „Zaporożca za Dunajem”.

Błyskawicznie przeniosło mnie w sen, w którym byłem z Darcia (?). Wszystko pociemniało i wtedy zrozumiałem, że patrzę na własne zamknięte powieki.

Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Nosi mnie.

Czy to był sen?

2.

Jedna książka kupiona na wernisażu we Lwowie za półtorej hrywny odkryła przed Jurkiem Banzajem nowe horyzonty. Książka „Szamańskie śnienie” Kathrin Gruber. Opowiadała ona o tym, jak w warunkach domowych zamawiać śnienie z potrzebnym wątkiem, jak w śnieniach szukać odpowiedzi na pytania, a także jak nauczyć się oglądać i kontrolować świadome śnienie. Nawet jeśli trzy czwarte informacji było kompletną bzdurą, to i tak książka poruszyła w Banzaju najdelikatniejsze nerwy i wyciągnęła je na zewnątrz. Właśnie od tej lektury rozrosły się korzenie jego zainteresowań: szukał literatury o medytacji oraz wychodzeniu z własnego ciała; czytał prace małżeństwa Wasson z etnomitologii; porównywał własne doświadczenie z autorytetami w badaniu snu,

książkami LaBerge'a, oceniał refleksje braci McKenna dotyczące wpływu grzybków psychotropowych na rozwój ludzkości; przeczytał wszystkie prace Grofa na temat terapii LSD oraz oddychania holotropowego. I oczywiście spróbował wszystkiego, co tylko można było wypróbować w domu, na kanapie albo w kuchni. Co zresztą trzykrotnie skończyło się reanimacją.

Ale najbardziej wciągnęło go świadome śnienie. Nawet sam Carlos Castaneda poświęcił temu osobną książkę... I właśnie w tej dziedzinie Banzaj pragnął osiągnąć sukces z całą determinacją, której nie wystarczało mu przy medytacji.

Ale *śnienie!* Na początku ni cholery, nic mu nie wychodziło. Przez jakieś cztery miesiące. Aż wreszcie przyśnił się ten sen, który sobie zamówił. I kiedy Sola oddała mu się we śnie, obudził się z cichym jękiem. Na początku prowadził poważny dziennik snów, wielką czarną grubą księgę, na której grzbiecie napisał „Moje śnienie. Refleksje”. Ale z czasem nazwa zaczęła mu się wydawać zbyt pretensjonalna. Banzaj zmienił nazwę na supertajny specprojekt „Kimka-drzemka”. To określenie podobało mu się o wiele bardziej.

Uczył się w postępie geometrycznym. Z zamawianiem snów miał coraz mniej problemów. Któregoś dnia (było to w okresie, w którym odeszła od niego Sola) zażyczył sobie sen, w którym siekierą rozplata zdrajczyni głowę. Sen przyśnił się... krzycząco realny. Kiedy Banzaj odzyskał świadomość, długo dziękował Bogu, że to był *tylko sen*. Od tamtego czasu wprawiał się jedynie w świadomych śnieniach.

W czasie praktyki od końca trzeciego roku do teraz Banzaj miał dziewiętnaście śnień. A od czasu przeprowadzki do Miedzianych Buków - praktycznie co noc. Wywoływało to rozmyty strach i trwogę.

Czuł, że powoli się do czegoś zbliża.

3.

Banzaj postanowił iść do Dimy. Nauczyciel musiał coś wiedzieć o Instytucie Psychologii Transpersonalnej. A jeśli tak, to może podpowie, co to za książka, którą czytał Korij.

Koło psycha-chaloga siedział pan Witajł Tyczynda. Pił kawę i opowiadał coś bezspornie nudnego. Kiedy Banzaj zajął, twarz Dimy nabrała cierpiętniczego wyrazu, w stylu „ratuj przyjaciela”.

- Witajł, mam klienta - zwróci! się do pana Witajła. Ten nie przestawał nachalnie siorbać kawy.

- A-a-a-a-a! Phoszę wejść, phoszę wejść, panie Juhiju. Phoszę siadać, o tutaj, na krześle. Właśnie z Dmithem rozmawiamy o poezji. A więc... Wczesny Sosjuha i późny Sosjuha to coś zupełnie innego... A phopos, czy czytał pan mój ostatni zbiorek? „Z powodu miłości”? To przede wszystkim wehlibhy... *Tak, tak, całkiem niezłe wehlibhy!!!* - Gwałtownie przeszedł na ukraiński, zauważywszy, że traci publiczność (Jurko właśnie usiłował wymknąć się niepostrzeżenie).

Banzaj skruszony pokręcił głową, przyznając, że nie, jeszcze nie czytał nowego „zbiohku”: praca, żona, dzieci - nie ma kiedy!

Dima przypatrywał się w zamyśleniu smutnej twarzy Ringo Starra i bosym stopom McCartneya, po czym przeniósł wzrok na pana Witajla. Jego spojrzenie mówiło: „Paul chciał przez to przekazać ludzkości, że picie kawy pod czarno-białymi plakatami to nie zabawa, a gabinety psychologów to nie miejsce dla takich kretynów. Proszę wybaczyć, dla takich khetynów”.

Wydawało się, że pan Witajl nagle doznał olśnienia i zrozumiał całą symbolikę bosonogiego Beatlesa. Prędyutko dosiorbał kawę (mrucząc przy tym: „A jakże! U Czechowa wszystko wszy-wszy--wszy-wszystko o tym napisano! Słowo w SŁOWO!") i czmychnął.

- Słuchaj Dima - zaczął Banzaj, kiedy za poetą zamknęły się drzwi. - Czytałeś jakieś książki Instytutu Psychologii Transpersonalnej? No Grofa, McKenna...

- Grofa. A co?

- Co według ciebie oznacza wyrażenie „zaśpiewy pnakotyczne”?

Dima wzruszył ramionami. Nie mam pojęcia - mówił ten gest.

- A kim jest von Jungst? - próbował dowiedzieć się, co ma do powiedzenia na ten temat wykładowca.

Ten znowu wzruszył ramionami.

Banzaja korciło, żeby zadać jeszcze jedno pytanie: Jak powiązać teksty transpersonalnej psychologii z kultami Polinezji i ich analogiami w Ameryce epoki prekolumbijskiej?

Ale tego też Dima pewnie nie wiedział. Dlatego Banzaj więcej nie pytał.

Bał się, że już wkrótce sam dowie się, o co chodzi. W bibliotece. Tylko jaka jest rola Korijsa?

4.

7.10.2000

Znów Tam byłem. Można to nazwać Biblioteką Babilońską, jak powiedział jeden Argentyńczyk. Tam umiem czytać praktycznie we wszystkich językach. ~~(Teraz wszystkie języki wydają się jednym i tym samym).~~

Spytałem swojego nadzorcy, czy to sen.

Starał się wytłumaczyć mi, że świadomość jest nieprzerwana i że sen to nie jest faza odpoczynku mózgu.

I w ogóle mózg do snu ~~(do snu czy do snienia to jest ważne!)~~ ma się nijak. Nadzorca powiedział, że sami sobie szkodzimy, starając się interpretować wszystko po kolei. Ważny jest **proces**, a nie **forma**. Gdyby nie nasz kaprys interpretowania, zrozumielibyśmy, że nie ma

różnicy między energią a materią. Pojmujemy rzeczy biegunowo – życie lub śmierć, energia lub materia, obecność albo nieobecność, FORMA albo PRÓŻNIA (???). Na innym poziomie – kontynuował opiekun, można wytłumaczyć to bardzo obrazowo. Chyba trochę przesadzał. Zresztą zupełnie nie o to go pytałem! Co on sugerował? Że nieuważnie słuchałem? Powiedział: „Próżnia - to ~~najdoskonalsza~~ forma”.

Czytałem o dziwnych rzeczach. Głównie książki zakazanych autorów, w większości heretyków lub wyznawców różnych zapomnianych kultów. Wszędzie wspominano dawno zapomnianych bogów, ale tak mimochodem, szeptem, jakby bojąc się choć raz napisać ich imiona. Nie mogę rozgryźć, jak powiązać WSZYSTKIE fakty. Przede mną olbrzymia mozaika, a bogowie, budzący powszechny lęk, stanowią jej centrum. To jak o seksie: wszyscy wiedzą, ale nikt nie mówi. Boją się czy co?

5.

11.10.2000

Nie wiem, gdzie byłem, ALE TO NIE BYŁ SEN. Wiesz, co dzisiaj przeczytałem?

Nadszedł czas na prawdziwy horror. Sądzą, że już dojrzałem.

Czytałem demonologię, kult Ghuli, prareligie Shambhali i Mu. Głównie opisy dogmatów różnych religii. Praktycznie wszystko to stuprocentowe bzdury, ale jedno się powtarzało: wzmianki o ~~PRASTARYCH~~ KULTACH. W skrócie wygląda to tak: w pradawnych cywilizacjach oddawano cześć jakimś dzikim bogom przybyłym z gwiazd, których imiona są przeklęte i zapomniane, dlatego temu, kto je wymawia, spopielają się usta i wargi pokrywają się gnijącymi ranami. Kulty były krwawe i straszne, i każdy boi się napisać, co to były za religie (religia?).

(później)

Właśnie przeczytałem książkę, którą widziało nie więcej niż pięciuset ludzi.

(z jakiegoś powodu drżą mi ręce)

Z tych, którzy widzieli, przeczytała może jedna trzecia.

Wszystko jest zupełnie nie tak, jak myślimy. W ogóle nie tak.

Zapamiętać. BOGOWIE ZAMIERZCHŁEJ PRZESZŁOŚCI / WIELCY PRADAWNI

Na pewno nigdy więcej nie będę spać.

Rozdział 8

1.

Niby nic nie uległo zmianie. Uczniowie, wykładanie. Dni stawały się krótsze i zimniejsze. W mieszkaniu panował chłód, bo nie włączono jeszcze ogrzewania. Brak światła. Puste ulice.

Lwowski poeta dekadent Włodko Relanium (w pewnych kołach bardziej znany jako Danko Elenium) pisał: „Nastała ta pora, gdy jest zbyt chłodno, żeby było ciepło, ale wciąż zbyt ciepło, żeby było naprawdę chłodno”.

Góry jak zawsze promieniowały wiecznością.

Tylko miasto się zmieniało. Drogi nasiąkały niewyraźnym strachem. Tak, na pewno, TO przychodziło wraz z górskim wiatrem, z lodowatymi zapachami z dalekich ciemnych gwiazd.

2.

Podczas ostatniego świadomego *śnienia* o Bibliotece (czyli w środę 19 października), niespodziewanie obudził się w środku nocy. Zrzucił z siebie kołdrę i cienki kocyk, i wyrzwał na dwór. Uliczka tonęła w eterycznym chłodzie i kruchej poświacie księżyca, wokół którego utworzył się pierścień halo, wróżący niepogodę.

Banzaj spojrzał w dół. Serce ostro zakłuło i zabiło szybciej. Na pokrytym szronem chodniku stał Korij i zadartszy głowę, wpatrywał się w niebo. Niespodziewanie wzrok mężczyzny przeniósł się z gwiazd na szybę, gdzie widniało blade oblicze Jurka. Oczy maga niemal fizycznie wczepiły się haczykowatymi pazurkami w twarz młodego wykładowcy. Banzaj oblizał usta. Pod splotem słonecznym czuł płonący ogień.

Korij powoli oderwał się od asfaltu i popłynął w górę, wprost do okna Banzaja. Zdawało się, że ciemność wokół mężczyzny gęstnieje, oblekając jego postać w czarny habit. Usta poruszały się zauważalnie, wypowiadając niedosłyszalne słowa. Zrównał się z Jurkiem i dziko spojrzał mu w oczy. Banzaj poczuł, jak jego mięśnie stają się wilgotnym włóknom. Sparaliżowało go.

Korij uśmiechnął się. Białka jego oczu pociemniały od krwi. Świeże czarne strużki biegły z uszu po szyi, aż za kołnierz koszuli.

- war'har Yog-Sothoth! SIŁA! Nareszcie moja! Hij'ja Yog-So-thoth! Hij'ja wahch'lach! Wahch'lach! Yog-Sothoth! Jeszcze wszystko przed nami! - wykrzyknął. Mrok ostatecznie oblepił go niczym pajęczyna, i zniknął w nim zupełnie. Ciemna lalka żwawo skoczyła w górę jak czarna kometa.

Banzaj siedział na podłodze, przyciskając plecy do ściany. Oddychał ciężko, nie spuszczać oczu z okna. Zaskrzypiał parkiet i Jurko cicho krzyknął. Nie mógł powstrzymać drżenia.

3.

Ostatni tydzień był bardzo napięty, ale pozytywny, ponieważ ostatnia sobota miesiąca to dzień koledżu, i dodatkowo jego rocznica - pięciolecie. Zaraz potem - Halloween. Nie wiadomo kto i nie wiadomo jakimi metodami wybłagał u pana Andrija zgodę na 3 (trzy) zabawy: popową dyskotekę, rock-session oraz elektroniczne trance'owe party dla drum'n'bassowców i syntetyków, takich jak Sampłowany.

Dzień koledżu uświetniły różnego rodzaju przedstawienia, deklamacje wierszy i inne miłe bzdury. Klasa Banzaja przygotowała własny występ. Sampel i Pająk ściśle współpracowali, przygotowując oddzielny projekt.

Darcia nie brała w tym wszystkim udziału.

A więc - ostatnia sobota rozpoczynała serię imprez: wieczorem - ogromne *disca-party* dla *hopów*, w poniedziałek tylko rock, we wtorek - Halloween i elektroniczna alternatywa. Banzaj bardzo chciał się dowiedzieć, jaki numer przygotowuje Tych Dwóch, dlatego zdecydował się pójść i sprawdzić. Osobiście nie miał nic przeciwko szokowaniu *czymś podobnym* publiczności. Sam też nosił się z pewnym zamiarem, ale na razie był to tylko zamiar.

4.

Piątek to klawy dzień. Szczególnie kiedy wszystko jest okay, następnego dnia nie ma lekcji, a zajęcia skończyły się pół godziny temu. Banzaj czuł się szczęśliwy - dla niego szczęściem było wszystko, co nie wiązało się z nieszczęściem. A na razie wszystko naprawdę było okay: sny o Bibliotece się skończyły (nawet jeśli ostatni sen o Koriju przeraził go śmiertelnie), o tym, czego nauczył się TAM, z powodzeniem zapomniał, na zewnątrz zimno, w środku ciepło, jedz keks, uprawiaj seks, jak mawiał pewien mędrzec - wszystko układa się samo. Jurko nauczył się cieszyć chwilą.

Postanowił przed powrotem do mieszkania udać się na mały spacer. Skierował kroki w stronę śródmieścia, mijając jakąś kamienną kobietkę, która siedziała w jogistycznej pozycji *wadźrasana* i symbolizowała tęsknotę matki za synami, którzy polegli w czasie II wojny światowej (lista nazwisk obok). *Adźna-czakrę* kobiety zasłaniała roślina niewiadomego gatunku, najprawdopodobniej kwiat belladonny. Wskazywał na żółty smutek parku.

Pełno było chłodnego błota, nad parkiem szarzało smutne niebo, które zdawało się promieniować depresją, melancholią i tęsknotą. Po raz kolejny pomyślał o Darci, o tym, że po wspólnym spacerze przyszła do niego tylko raz... Usiadł na twardej ławce i założył nogę na nogę. Wszystko było niemal jak w piosence „Je-thro Tuli”: Szary namiot nieba, dziewczęta (których tu nie było... w ogóle nikogo tu nie było) grające w badmintona, akwalung, mój przyjacielu, czy pamiętasz mglisty grudniowy mróz?

- Tak pamiętam - odpowiedział sobie Jurko.

Zaczął kropić drobny deszcz.

Chłopak zmęczył się i powlókł do domu.

5.

W sobotę Jelenia Skóra wrzała z podniecenia. Banzaj przepychał się pomiędzy tłumami dzieciaków w białych koszulach (czarnych skórzanych ramoneskach), wyprasowanych spodniach (podartych džinsach), które ganiały z bukietami kwiatów w rękach, targały do sali gimnastycznej, gdzie wszystko miało się odbywać, ławki i krzesła, mówił znajomym „dzień dobry” albo *prywit*, albo po prostu ścisnął nie wiadomo czyje, wyciągnięte do niego graby. Jego wzrok natrafił na Darcie, która zachmurzona stała pośród innych dziewcząt. Zobaczyła go i pomachała palcami, uśmiechając się radośnie. Tak jakby mieli teraz jakąś wspólną tajemnicę - bo właśnie mieli. Darcia ubrana była w to samo co wczoraj: sprane džinsowe ogrodniczki i bawełniany podkoszulek z długim rękawem. Banzaj wiedział z doświadczenia, że taki strój jest najlepszy: nie za zimno, nie za duszno, nie ciśnie pod pachami. Koło okna przy sali gimnastycznej sterczała grupa jego rówieśników, którzy nie wiadomo co tu robili. Możliwe, że chcieli spotkać dawnych znajomych oraz powspominać stare czasy. Banzaj podszedł do grupki gości i przywitał się z każdym z osobna. Znał ich wszystkich dobrze - Gaden, który przybył z utopijno-nierealnego Baden-Gaden - miasta poetów, darmowych heter i antykwariatów, Szkrab (czyli d'Armograj), który bawił publiczność neobitnicką liryką, Floryd Morfiński, Kasper Nesquik, Rzepa Dimoczkins oraz Skid. Dimoczkins przedstawiając się, zawsze mówił: „*Prywit*. Mam na imię Dimoczkins, napisałem WORS i łoję konopie”.

Zresztą każdy z was wie, kim jest Dimoczkins. Dimoczkinsa znają wszyscy.

Ktoś puścił plotkę, że na występ ma przybyć sam Włodko Relanium (czyli Danko Elenium).

Na wszelki wypadek fani przynieśli ze sobą po zbioru jego prozy poetyckiej na autograf.

Banzaj pogadał chwilę ze starymi przyjaciółmi i wszedł do sali gimnastycznej. Od razu przy wejściu stała banda *hopników -pacanów i pacanek*. Wśród nich była również Ryba-Słońce.

Kiedy Banzaj szukał wolnego miejsca, mimowolnie usłyszał, co mówi legendarna Ira Korkusza:

- A będą ci? - Ryba trochę odchyliła się do tyłu i zrobiła gest, który miał imitować ruchy didżeja kręcącego winylową płytą. W wykonaniu Iry bardzo przypominało to dziewczęcą masturbację. Wszedł Banzaj, zauważyli go i rozmowa od razu ucichła. Za plecami usłyszał głos Ryby-Słońca:

- Fuuuu, nienawidzę tego narkomana.

Do Jurka zamachał Dima, pokazując tym samym, że zajął mu miejsce. Chcąc nie chcąc, musiał usiąść w jednym z pierwszych rzędów, zarezerwowanych dla elity wykładowców i kujonów.

Wszystkich powoli wessało na salę. Potem wszedł pan Andrij, odkaszlnął i wymownie zamilkł.

Milczał tak długo, jakby chciał powtórzyć słynny utwór „4.33” (pianista nieruchomo siedzi przed fortepianem i wykonuje CISZE; CISZA z kolei wykonywana jest przez widzów, przez ich brzęczenie, szepty, mlaskanie, skrzypienie, szuranie itd.); ale okazało się, że czeka jedynie, aż wszyscy się zamkną.

Szum na sali ustał i słyszać było tylko, jak Dimoczkins skręca blanta gdzieś w tylnych plebejskich rzędach.

Zaczęła się długa, nudna, patetyczna, eklektyczna i zupełnie bezsensowna przemowa, która miejscami, za sprawą nieudolnej acz ostrej satyry, przypominała raczej czytelną filipikę (nauczycielki języka angielskiego, których filipika dotyczyła, jedna za drugą zrywały się z miejsc i z płaczem wybiegały z sali gimnastycznej; pan Andrij wzruszał jedynie ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Ach te baby...”).

Laureatom olimpiad wręczano koperty z ojcami Chmielami w środku, grzecznych głaskano po główkach, a niegrzecznym, jak to się mówi, nieźle dano w dupę.

Później zaczęły się mniej lub bardziej nudne występy różnych klas, które wzbudziły emocje w Banzaju tylko dwukrotnie.

Po raz pierwszy wtedy, kiedy na scenę wyszło trzech chłopców (wśród nich autor słów - znany wszystkim dobrze Jurko Rzepecki) i zaśpiewało powstańczą pieśń:

Tam pod Lwowskim Zamkiem

Stary dąb stał

A pod tym dębem

Nieformal leżał.

Leży, nie oddycha,

Tak jakby spał,

Złote włosy

Wiatr mu potargał.

Gdy byłeś małeńki,

Tatuś był hipisem,

W podartych džinsach

Wychodził na ulicę.

Miałem was, kochani,

Pięciu synów:

Pierwszy został skinem,

Drugi punkiem był...

Druga niespodzianka była raczej drastyczna niż alegoryczna. Niewielki chór chłopców prześpiewywał się z niewielkim chórem dziewcząt po rosyjsku. *Padażd'om twaju mamu?* - pytały dziewczynki. *Padażd'om. Twaju mat'...* - odpowiadały chłopaki. Banzaj zapragnął rzucić się na scenę i pogryźć śpiewaków, ilu się tylko da. Ale tak do krwi, żeby potem szwy im zakładali.

Żeby wiedzieli.

Dopóki wszystko toczyło się mdło, Banzaj wspominał poprzedni wieczór. Sprawiając wrażenie, że coś gryzie go w szyję, bez przerwy kręcił głową, szukając wzrokiem Darciego.

Wreszcie się zaczęło. Starszoklasistka z jedenastej „b”, która odwaliała konferensjerkę, zapowiedziała, że zaraz wystąpi Roman Małajałam i Andrij Samplowany. Dziewczyna zmarszczyła czoło, potem trochę przymrużyła oczy, starając się przeczytać nazwę numeru:

- Eksperymentalny... alternatywny taniec-balet „Pieśń lasu”. Następnie swój wiersz przeczyta Andrij Samplowany.

Banzaj natychmiast przestał się wiercić i wyprostował w fotelu, zamieniając się w słuch i wzrok.

Z głośników zacharczała złowieszcza muzyka. Przypominało to setki włączonych wiertarek, użytych do gry na gitarach elektrycznych. Intuicja podpowiedziała Jurkowi, że to właśnie umiłowany przez Samplowanego „KMFDm”.

Zza kulis na scenę wypłynęli Pająk i Sampl, obydwaj przebrani za mityczne postpunkowe stwory - Czychlyka Niemazmiłuj i Wużyka Ogniopalnego. Samplowany, który odgrywał Wużyka, miał nałożoną maskę gazową bez filtra. Ze złością kręcił swoją trąbą, wykrecając skomplikowane piruety. Pająk, w długiej czarnej pelerynie narzuconej na gołe ciało, po kolei nakładał na różne wystające części swojego ciała gumowego węża i udawał, że robi sobie zastrzyk brudną strzykawką wielokrotnego użytku. Potem zaczął nabierać z menzurki rozwodniony keczup i przyskać imitacją krwi na Wużyka, celując w szklane, przeciwgazowe oczy. Krążyli naprzeciw siebie w złożonym eksperymentalnym tańcu, a kiedy muzyka sięgnęła apogeum, przewrócili stoły ze strzykawkami i menzurkami i zniknęli za kulisami.

Cała sala siedziała w kamiennej ciszy. Z tylnego rzędu dał się słyszeć głos Dimoczkinsa:

- Skid, masz coś do palenia?

Powoli kolory powróciły na twarze widzów i serca zabiły w normalnym tempie. Ale na scenie znów zjawiał się Samplowany, choć tym razem bez maski gazowej i strzykawek.

- Wiersz nazywa się... - mówił, nieśmiało mnąc w ręku kartkę papieru. - mmm... Mantra portu Goa. Oda do ostatniego bitnika. H-m-m...

Samplowany nabrał powietrza w płuca i zaczął czytać na jednym oddechu:

- Rzyj po jedzeniu, jak trzmiel na grzebieniu, albo nóż w siedzeniu, ciesz się z siniaka, goryczy haka, módl się morfiną, kluj się tauryna, siną manną i dziką Hanną, co o poranku, w swym nagim wdzianku, usłuchała wezwania, do masturbowania i podglądania, krwi wspomniania o dziwnych tarenach i przestrzennych terenach, w żadnym wypadku, tylko w małym sadku, silna erekcja, to ważna lekcja, szczere pole, na Golgocie, w stodole, przy płocie, ciesz się sperma, świńską farmą, gdzie zjada się dzieci, gdzie grzyby wyrastają, wołają, latają, błakają, wykańczają siwymi soplami sennych sów. Stary, to taki różnoświat i przegląd palantów, kozaków i hopów, co hopują, pocą się, błakają, latają, i lżą, i liżą, tykają słodkie poziomki dziewczęcych clitoris.

Ciesz się dniem, pędź koniem, wściekłym szelestem, syp się prochem, hakiem-bakiem-makiem beznadziei (napelniona jest nią szafka nr 2 w końcu korytarza). Coaxil, mastodont, imbecyl, prawy front. Włókno rudych poranków od żółtej bramy i Barmy i kiepskiej karmy, od nagłej

śmierci i paskudnego żarcia, od chłodnego seksu i zepsutego keksu (nie jedz keksa; krem to zastygła bycza sperma, gorzkie i brzydko pachnie); Pragnieniem nudzenia i proszeniem siadania, siadania i stania, łowienia i łapania, miłości do rzygania i rzygania miłością i zakrzepłą krwią z zadawnionych krwotoków wewnętrznych i banalnymi ucieczkami na boki. Uważaj na robaki. Tak. Widziałem, jak kochali się w wannie, w zimnym odpływie krwi, między kafelkami jej nóg.

Porcie Goa, ratuj mnie przed paranoją.

Wy wszyscy - Anty-Noe, tylko ja Hiper-Kain.

Porcie Goa, weź mnie do siebie. Do dzikiego służi morskiej żeglugi, mającego chłice na kuse spódnice. Tam schodzą się jej kafelkowe nogi, jak nożyce cichodajki, z klasy koleżanki, nad przepaścią, senną wydrą z mokrą hydrą, z hydrami dni w wiadrach deszczu, bogatym płaszczu nocy, który mnie prześladowuje.

Porcie Goa, ratuj mnie przed tym. A od tego, kto zacichł i roz-puchł jak zatruty pampuch: polknie cię łysy pastuch o tuszy eunucha, ale skucha (to nie tak!). Pasiwól, hydroponik i marny robak

(a jednak tak!)

Porcie Goa, weź mnie do siebie!

Dimoczkins zaczął klaskać dopiero trzeci. Wyprzedził go Banzaj. A wiecie, kto był pierwszy? Genyk Breenow z jedenastej „b”.

6.

W piątek, kiedy zaczęło kropić, Banzaj znowu wpadł w melancholię. Czuł, jak kolor nastroju zmienia się z siwoszarego na ciemnoszary, a potem

(Korij, tak samo Korij)

gęstnieje w czerń. Powoli brnął pustymi, jak po dżumie, ulicami i cicho dziękował, że nikt go teraz nie rusza i nie zaczepia. Jutro będzie koncert, jutro zobaczy śliczną Darcie... ale nie wcześniej niż jutro. A do jutra może jeszcze kilka razy umrzeć.

Deszcz jakby zatrzymał się w czasie. Zamiast niego w powietrzu zawisła lepka od wilgoci mgła, która jakimś cudem gęstniała synchronicznie z melancholią.

Banzaj przystanął gwałtownie i rozejrzał się na wszystkie strony. W szarej emulsji zatoneły nawet ściany budynków. Mgła, tak jak i czas, rozpuszcza granice. Banzaj odwrócił się przez

ramię. Jakiś zbłąkany cień daleko za nim zanurkował w moką szarość. Chyba z przodu też mignęło coś ciemnego. Chodniki zdążyły się pokryć cienką siateczką osiadłej wilgoci.

Było to z pewnością złudzenie, ale Banzajowi wydawało się, że śledzą go z okien budynków. Powoli szedł dalej, nasłuchując, jak rośnie trwoga. Dookoła niego rozbrzmiewało jedynie echo uderzeń obcasów.

(obejrzyj się)

Obejrzał się. Z *tyłu* nikogo nie było, ale chyba właśnie w tym momencie coś czmychnęło z *przodu*. Banzaj obrócił się dookoła własnej osi i w którejś sekundzie serce skoczyło mu do głowy i zaczęło tłuc się w środku, waląc w błony bębenkowe. Nie mógł rozpoznać ulicy, na której się znajdował. Był zupełnie dezorientowany, jakby przed chwilą wynurzył się ze snu w obcym mieście.

Nie mógł określić, czy ulica skręca, czy wiedzie prosto. Asfaltowy chodnik nie wydawał się płaski, lecz pokryty nierównomiernymi zmarszczkami i wypukłymi falami. Jednak omamy zniknęły i Jurko rozpoznał ulicę Szczorsa. Mgłę przynosiły niewiadomo skąd nadzwyczaj niskie i dlatego trudno wyczuwalne vibracje, od których kręciło w nosie i łzały oczy. Obejrzał się ponownie.

Przyspieszył kroku i starał się zagłębić w siebie,

(wtedy nie jest tak strasznie)

skupić na poprzedniej beznadziei, ale uczucie

(Obecności)

zewnętrznej obserwacji nie mijało.

Jurko obejrzał się przez ramię, a potem błyskawicznie spojrzał przed siebie. Niewyraźne cienie popłynęły w głąb mglistej zasłony. W zapadającym mroku przepelzł lekki efemeryczny szept. Choć na pewno tylko tak się wydawało. Banzaj przyspieszył kroku (teraz niemal biegł) i gwałtownie otworzył drzwi budynku. „Echo! - pomyślał. - Odgłos kroków we mgle załamał się i zamienił w szept... prawda? Prawda, że tak?”.

Rzucił się w wystudzony korytarz oświetlony jedną kulistą lampą zwisającą z wysokiego sufitu i pobiegł kręconymi drewnianymi schodami, głośno tupiąc na dębowych deskach. Przystanął koło gotyckiego witrażu, który ciągnął się kolorową smugą aż do poddasza, i wyjrzał przez przezroczyste szkło na zewnątrz.

Mgła.

Banzaj wszedł do mieszkania i rzucił plecak na podłogę w salonie. Jedna ze ścian pokoju, który służył jednocześnie za gabinet, sypialnię, czytelnię, bibliotekę i salon, szła pod skosem - drugie piętro w tym budynku było już na poddaszu. Pochyłą ścianę pokrywała jasna sosnowa boazeria. Resztę Banzaj okleił wydrukami partytury „Holendra Tułacza” Wagnera. Potrzeba matką wynalazków. W mieszkaniu było kilka niewielkich okien (patrzac na budynek z zewnątrz, znajdowały się one gdzieś tak pośrodku dachu). Pod pochyłą ścianą stało łóżko, pod oknem - biurko. Przy trzeciej ścianie - szafa.

Banzaj poszedł do kuchni, zaparzył sobie kawę i zapalił. Zastanawiał się, czy zapalić nargile. Przemyślał i włączył płytę z „Kredensami” („Creedence Clearwater revival”), kupioną na wernisażu od starego steranego życiem melomana. Miękkie opary psychodeli lat sześćdziesiątych i starodawny rock'n'roll - tego właśnie trzeba w taką pogodę, kiedy przychodzi człowiekowi grzać się w kuchni przy zapalonych palnikach kuchenki.

Wypił kawę z mlekiem i zjadł kanapkę. Siedział. Słuchał muzyki.

8.

Kwadrans po siódmej ktoś zapukał do drzwi. Banzaj wzdrygnął się na ten niespodziewany odgłos. Ostatnimi czasy stał się nadzwyczaj strachliwy.

Na dworze wisiała przedwieczorna mgła. Ktoś znowu zapukał: w tym budynku nikt nie miał dzwonka, a co, może sam sobie miał założyć?

Banzaj podeszedł do drzwi. Otworzył i ze zdziwienia zamrugał oczami. Na progu stała Darcia Borges i przyglądała mu się spod mokrych włosów smutnym spojrzeniem, spływały z niej drobne krople deszczu. Od wilgoci włosy kręciły się bardziej niż zazwyczaj. Dziewczyna przypominała mu bezdomnego szczeniaka.

- Wchodź - powiedział.

Zdjęła buty, rzuciła plecak w przedpokoju i weszła do gabinetu.

- Kurcze, ale masz pokój! - powiedziała zachwycona i zrobiła coś, co zdziwiło i nieźle przstraszyło Banzaj a. Nie zaczęła oglądać mebli ani książek, ale od razu podeszła do okna i wyjrzała na zupełnie już ciemną, napelnioną mgłą ulicę. Jurko zauważył, jak z napiętą twarzą próbuje coś tam wypatrzeć.

- Widziałas coś na ulicy? Coś... hmm... nie tak? - zapytał, stojąc w drzwiach.

Darcia uśmiechnęła się zmęczonym uśmiechem, rozganiając jego złe myśli.

-Nieeee... po prostu ściemnia się. Nic nie widać przez mgłę. Strasznie się szło do ciebie.

9.

Kuchnię Banzaj też miał małą. Była tam kuchenka gazowa, zlew do mycia naczyń, lodówka (taka wiecie, niska, okrągława, starego typu), stół i taboret z wiśniową okleiną. I jedna szafka na naczynia, mąkę i kaszę.

Mała usiadła przy stole. Podał jej mocną herbatę, koloru kory z drzewa hebanowego. Herbata pachniała bergamotą, była gorąca i słodka, kubek był duży, specjalnie, żeby móc wypić pół litra herbaty bez dolewania wody i esencji. Kubek robiony był na zamówienie: miał kształt ludzkiej czaszki szczerzącej się ze złością, z ogromnym glinianym uchem na potylicy. Banzaj co rano pił w nim kawę z mlekiem. Darcia oglądała naczynie z ciekawością, grzejąc dłonie.

- Zjesz jajecznice? - zapytał.

Darcia spojrzała na biały płaski zegar na ścianie (wpół do ósmej) i twierdząco kiwnęła głową. Banzaj obliczył, że droga do koledżu zajmuje około pół godziny. Dziewczyna przyszła kwadrans po siódmej, czyli musiała wyjść przed kolacją. Co oznacza, mój drogi Watsonie, że właśnie burczy jej w brzuchu.

Darcia nie opowiadała, co się stało, po prostu piła herbatę, podnosząc czaszkę do ust obiema rękami, i wypytywała Banzaja o różne drobiazgi. Tymczasem on przygotowywał jajecznice „Kolt” z sześciu jaj, dodając różnego rodzaju ziół i całe garście startego żółtego sera.

Mała rozstawiła talerze i usiadła w oczekiwaniu.

- Możesz u mnie zanoć - powiedział ostrożnie Jurko, myśląc o jej plecaku i drobiazgach w nim.

Uśmiechnęła się szeroko.

- A myślisz, że po co tu przyszedłam?

10.

W połowie uczty zgasło światło. Darcia opowiadała, jakie nieprzyjemności przywiodły ją do Jurka. „Przeięły, kurwy” - starała się wyrazić to w dwóch słowach, krótko i zrozumiale, bez ozdobników, *gdyby nie*.

- *Wkurwiły* mnie - podsumowała.

Oczywiście mowa była o społeczności w akademiku.

- Zanoć u ciebie, dobra? - zapytała prosząco, wpatrując się w siedzącego na taborecie Banzaja; „Tak jakbym mógł cię wygonić” - pomyślał. Wszystko wewnątrz płonęło. Darcia szturchnęła go łokciem pod żebro, domagając się odpowiedzi.

- Uhu. - Pokiwał głową, bo usta napchane miał jajeczną
1 roztopionym serem.

Potem Darcia wzięła w ręce świeczkę i poszli obejrzeć pokój gościnny. Oglądała kasety i płyty, podeszła do półki z książkami. Kaka, Izdryk, Burroughs (co prawda William, a nie Edgar Rice) i Kerouac, McKenna i Skowroda, Grof, Wasson, Perfecki, Bach, Marquez, Vonnegut i Andruchowicz, i Beckett, i Pokalczuk, i masa innych.

Darcia usiadła za biurkiem i oświadczyła, że odrobi teraz lekcje. Banzaj wzruszył ramionami. Położył się na łóżku i napawał jej profilem w świetle świeczki. A potem postąpił skrajnie niepedagogicznie, proponując:

- Jak chcesz, to możemy zapalić nargile...

Darcia odwróciła się twarzą do niego. Jej oczy zapłonęły.

- Fa-a-aję? - upewniła się. Zeskoczyła z krzesła i usadowiła się obok na łóżku.

- No jasne, Jureczku, pewnie, że chcę. Co tam masz... haszyk? Zioło? Dawaj, dawaj.

Banzaj objął ją i potok słów momentalnie ucichł. Darcia cicho oddychała mu w usta. Zajrzał w jej ciemne oczy, oczy łani, wilgotne, błyszczące oczy, oczy bez żadnych pytań i zaprzeczeń. W jej oczach widział coś, czego nigdy nie było w spojrzeniu Soli: nie prośba, żeby wyruchać ją tak, że ciężko będzie chodzić, a jedynie pragnienie bycia z kimś, kto jej nie wyśmiej, nie nakrzyczy, nie obrazi, nie spróbuje skrzywdzić ani dopiec do żywego. Darcia podpełzła wyżej, sięgając ustami do jego ucha.

- No to dawaj, haszyk, stafik, co tam masz. Co? - szeptała uparcie, oddychając mu prosto w ucho.

Z teatralnym jękiem westchnął (niesamowicie kręciła go jej obecność), wstał, podszedł do szafy i wyjął fajkę. Darcia podniecona poszła za nim.

- To ona? - zapytała z szacunkiem.

Z zewnątrz nargile bardzo przypominały stojącą lampę. Miały około metra wysokości, kształt smukły i delikatny jak chłopczyk katamita w haremie starego pedofila, drewniane rzeźbienia na korpusie. Na samej górze znajdowała się metalowa miseczka na tytoń i węgiel, niżej - duże szklane naczynie, przypominające laboratoryjną kolbę. W kolbie (z grubego szkła) była woda, do której z drewnianej górnej części wchodziła metalowa rurka. Połowę kolby zajmowało powietrze i z tej części ciągnął się metalowy walcowaty otwór, w który wchodziła długa pasiasta rurka (fakturą przypominająca pokrycie sznura do żelazka radzieckiej produkcji). Na końcu rurki mieścił się pozłacany, ozdobiony rzeźbami ustnik.

Darcia przykucnęła i zaczęła oglądać fajkę, wodząc po niej palcem.

- Chodź do kuchni - powiedział Jurko. - Trzeba rozgrzać węgiel.

Wyciągnął z papierowej torebki węgielek, a z płóciennej - posrebrzane szczypce. W kuchni rozgrzał kawałek, trzymając go nad płomieniem w szczypcach, dopóki nie stał się wiśniowy w paru miejscach.

- Trzymaj - polecił Banzaj, kiedy znów znaleźli się przy fajce. Darcia posłusznie wzięła węgielek i zaczęła dmuchać na niego, podtrzymując żer. W tym czasie Jurko nałożył na miseczkę sre-berko z dużą ilością dziurek; wewnątrz przyklejony był do niego jakiś zlepek gęstej masy.

Kiedy sreberko szczelnie przykryło tytoń w miseczce, Banzaj powiedział:

- Połóż węgielek na sreberko, rozpalonym do dołu. Będziemy rozpalać.

Darcia położyła węgielek; Jurko tymczasem usiadł na podłodze, na szorstkim twardym dywanie, i zaczął co sił w płucach wciągać powietrze przez cybuch. Kiedy zakręciło mu się w głowie, oddał cybuch dziewczynie.

- Ciagnij.

W końcu w ciemności rozniósł się zapach cierpkiego tytoniu z jabłkami. Z węgielka snuł się dym. Kiedy mała paliła, otworzył okno.

Fajkę przestawili tak, żeby móc ją palić, siedząc na podłodze i opierając się plecami o łóżko. Banzaj wziął koc - oprócz tego, że z otwartego okna wiało górską zimną wilgocia, w mieszkaniu panował chłód z powodu wyłączonego ogrzewania. Przykrył siebie i Darcie kocem i trzymając jedną ręką cybuch, wyjaśnił:

- Nie można oddawać cybucha tak po prostu. Trzeba skręcić rurkę w kółko - tu pokazał jak - a potem dwukrotnie postukać w dłoń. O tak.

- To *serio* taki zwyczaj, czy sam wymyśliłeś? - zapytała.

- Powaga.

Darcia przycisnęła cybuch do ust i zaciągnęła się. Rozniósł się zapach tytoniowych jabłek. Wypuściła dym ustami i oddała rurkę Jurkowi.

- A skąd ją wzięłeś?

- Na uniwerku miałem jednego znajomego. Z Damaszku. Gej, rozumiesz? Startował do mnie. A jak wyjeżdżał do domu, podarował nargile. Powiedział, że zawsze będzie mnie kochać...

Darcia zmarszczyła nos. Zmarszczył nos w odpowiedzi i dał się jej zaciągnąć ze swoich rąk. Zgodnie ze słowami Faeza, homoseksualisty z Damaszku, tradycja tego nie zabraniała.

- A czy to nie kręci?

- W ogóle. Maksymalnie, co możesz poczuć, to słabość w rękach i nogach. To przecież nie haszysz.

I tak palili, rozmawiali i przesuwali się w czasie.

Banzaj opowiedział Darcie, że chciałby zrobić w koledżu niewielki performance. Mała położyła się, zabierając większą część koca, ale Jurko nie protestował. Położyła mu głowę na kolanach i oglądała oprawiony w szkło plakat Roberta Frippa na oklejonej partyturą ścianie. Banzaj gładził jej ciemne włosy, przepuszczając przez palce. (Kręciły się na końcach). Jej serce jak harfa: ledwie dotkniesz - odezwie się.

11.

Jej serce jak harfa: ledwie dotkniesz - odezwie się. Po brzęczeniu lodówki Banzaj zorientował się, że włączyli prąd. Była za pięć północ. Palili i rozmawiali cztery godziny. Darcia spojrzała na niego.

- Smutno ci?

Wzruszył ramionami. Obojętność. Położył się koło niej na rozpostartym kocu. Zsunął z jej ramion szelki od ogrodniczek. Patrzył w jej oczy, ciemne oczy, oczy łani, oczy bez dna i bez żadnych pytań. Czuł jak głośno bije jej serce. Patrzyła na Jurka i Jurko widział w niej dziecko; widział w niej swoją córkę, którą chciałoby się

(wyruchać wydymać

[nawet nie śmieć o tym myśleć nawet nie śmieć]

wydymać wyruchać)

posadzić sobie na kolana i gładzić po włosach, które kręcą się na końcach. Jurko rozpiął guziki T-shirta (czy bluzki) z długim rękawem, zielonego, jak oczy boga Pana. Darcia głośno wciągała powietrze z każdym rozpiętym guzikiem. Ciemne (czarne) włosy, kręcące się na końcach, rozsypały się na kwadracie koca. Poczuł, jak jej ciało nagrzewa się, z każdym rozpiętym guzikiem.

Rozchylił bluzkę i odkrył parę niewielkich piersi pod czarnym prześwitującym biustonoszem. Darcia leżała nieruchomo, nie odrywając oczu od jego twarzy, a Banzaj ostrożnie pocałował ją w nagie ramiona. Ściągając z nich ramiączka stanika, rozpinając go na jej plecach i uwalniając jej mlecznobiałe piersi. Ciało koloru mleka, matowobiałe i ciepłe, z ciemnymi niewielkimi sutkami, niezdolnymi jeszcze do tego, by twardnieć jak u Soli. Tak samo ostrożnie pocałował ją w dołek pod szyją i dotknął wargami jej piersi. Pragnął

(serce jej jak harfa)

jej, pragnął bardziej, niż kiedykolwiek pragnął ciała Soli, bo Sola nigdy nie miała w oczach tego co Darcia.

(jak harfa)

Wdychał jej zapach, zapach dojrzałych winogron i poziomek, zapach dymu z fajki,

(serce jej jak harfa)

mógł nadal całować ją, ściągnąć z niej ogrodniczki i całować, dopóki nie rozpali się pod jego ustami, mógł odnaleźć jej słodką poziomkę i całować ją sto wieczności do stu śmierci do wybuchów w głowie i ciele.

(serce jej jak harfa: ledwie dotkniesz - odezwie się)

I Darcia leżałaby posłusznie, posłusznie mu wierząc.

Ale

(serce jej jak harfa: ledwie dotkniesz - odezwie się)

przyszła do niego nie jak do kochanka, a jak do przyjaciela, który nigdy się nie naśmiewa, nie krzyczy, nie obraża, nie próbuje krzywdzić ani dopiec do żywego. I uwierzył, że w niej naprawdę jest harfa, z którą trzeba obchodzić się ostrożnie i delikatnie. Ostrożnie, żeby nie porwać strun. Otulił jej ciało miękką zieloną bluzką (koloru oczu wielkiego boga Pana) i lekko pocałował w usta. Darcia objęła go za szyję i przycisnęła do siebie. Bardzo cicho, tak cicho, że Banzaj ledwie usłyszał, szepnęła: „Dziękuję”.

12.

Jurko dał Darcie jedną ze swoich specjalnie za dużych podkoszulek. Bluzka była biała i sztywna od świeżości. Mała powąchała ją: pachniała Banzajem i lekką wonią, która kojarzyła jej się z latem, czystymi podkoszulkami i wypranymi dżinsami.

T-shirt miał jej służyć za piżamę. Dopóki Darcia zdejmowała ogrodniczki, bluzkę i biustonosz, Banzaj stał odwrócony plecami (choć powiedziała, że jej to nie przeszkadza, ale kolejnego niepokoju w kroku zupełnie nie potrzebował). Dokładnie ułożyła całe ubranie na jedynym fotelu w mieszkaniu i wyłączyła światło.

Banzaj, który już leżał w łóżku, poczuł, jak jej ciepłe ciało prześlizgnęło się po prześcieradle i umościło, dopasowując do niego. Potem Darcia odwróciła się twarzą do niego i poprosiła, żeby ją objął. Było naprawdę zimno na dworze i w pokoju, więc zrobił to, żeby zrobiło im się cieplej. Wkrótce zasnął, rozkoszując się ciałem jednej małej dziewczynki, która przyszła do niego jak do przyjaciela i która nosiła w sercu delikatną harfę.

Rozdział 9

1.

W sobotę *hopy* wpadły w wyśmienity nastrój. W koledżu grzmiały miłe uszom „Ruki wwierch” i jęczała Britney Sperms.

W poniedziałek święto nastało i dla rockersów. Przez cały dzień nauka szła nijak, bo wszystkie *nieformaly* z ożywieniem brzęczały: „Rockoteka! Rockoteka!”.

Banzaj oczywiście nie mógł przepuścić *czegoś takiego*.

2.

Nadciągnęła rockoteka, groźnie pogrzmiwając metalowymi riffami.

Około wpół do piątej do gabinetu weszła Darcia i powiedziała, że już *pora*. Dobra, jak *pora*, to *pora*. I poszedł lasować swój mózg i pomagać zlasować go bliźnim.

Na rockotece było strasznie głośno i tłocznie i wszystkie włochate ludziska machały kudłami tak, że hej. Ludzie szaleli maksymalnie, muzyka obiecywała wyrwać bebechy i rozmazać je przepięknymi alternatywno-awangardowymi smugami po ścianach sali gimnastycznej. Na szczęście w ciemnościach nikt nie zauważył, że przyszedł z małą.

3.

Po godzinie nieprzerwanego pogowania, Banzaj poczuł, że fajnie byłoby złapać oddech i trochę odpocząć. Oboje wyszli z sali gimnastycznej i podążyli korytarzem do wyjścia. Na dworze panowała głucha noc. Hol na parterze był okropnie długi i oświetlony w sposób charakterystyczny dla więziennych korytarzy w czarno-białych filmach o przedwojennych czasach: lampy rozdzielone dziesięcioma metrami ciemności, w której ponurzy strażnicy sprzedają więźniom bimber z pszenicy i tanie papierosy z machorką. Lampy miały wąskie metalowe klosze, każda rzucała na podłogę jedynie skąpy snop światła, tak że całe oświetlenie ograniczało się do tych żółtawych więziennych wysp. Poza granicą czarno-białych przejaśnień panowała nieprzenikniona ciemność.

Miejsce przypominało tunel kolejki. Czy jeździ tu metro? Podczas zamieci czy, powiedzmy, nocy Walpurgii... Przewozi samotne szalone zjawy znikąd donikąd.

- Spójrz. - Darcia musnęła jego dłoń. - Kto to?

Wskazywała na postać poruszającą się w końcu tunelu. Serce Jurka cicho jęknęło. Zjawy zbliżała się w ich stronę. W końcu minęła jedną z wysp i w chwilę później światło padło na twarz Korija. Zatrzymali się w ciemnościach.

Banzaj czuł narastające przerażenie. Tego, co się działo, w żaden sposób nie mógł przypisać koszmaram czy halucynacjom. Przestrzeń między Jurkiem a mężczyzną gwałtownie zmniejszyła się, a po chwili stał już twarzą w twarz z Korijem. Banzaj popatrzył na jego nawiedzony uśmiech i zobaczył, jak ręce maga migają w ciemności, silnie pchając i wypychając go w

4.

Banzaj/Azathoth

[myślisz, że możesz mierzyć się ze mną? Jesteś mały i głupi]

[co się dzieje? Gdzie jestem?]

[ho-ho-ho! I ty chcesz się ze mną mierzyć? Myślisz, że oni mogą ci w czymś pomóc? Myślisz pewnie, że pomogą ci książki, które czytałeś w ciągu jednej nocy? Że chociaż coś ci wyjaśnią? Studiowałem je przez dziesięć lat, nauczyłem się na pamięć tekstów, które tobie nawet się nie śniły]

[jesteś Korij, prawda?]

[ha! Korij! Wszyscy mówią: „Korij - stary pijak”. Nikt nie wie, kim naprawdę jest Korij. Nikt w życiu nie był tam, gdzie ja. Nikomu nawet nie śniło się to, co ja widziałem]

[pozwól mi wrócić]

[ha! Wołasz o pomoc w Azathoth, przy bramie do Azathoth, a co będzie, kiedy pokażę ci jego serce, kiedy zrozumiesz, czym jest Azathoth ? A co będzie, kiedy znajdziesz się u NIEGO w domu ? Nie chcę nawet zgadywać, co będzie, jak GO ZOBACZYSZ. Po prostu umrzesz, twój mózg utonie we krwi z tysiąca pękniętych naczyń]

[pozwól mi wrócić!!! Kim ON jest?]

[jeszcze pytasz? I ty chcesz się ze mną mierzyć?]

[on jest Azathoth ?]

[Azathoth! Ha! Azathoth - Oko chaosu. Azathoth - ziarnko piasku w porównaniu z wielkim Yog-Sothothem! Teraz Yog-Sothoth jest najsilniejszy, ostatni z Wielkich. Teraz, kiedy Cthulhu

zamknięto w podwodnym mieście R'lyeh, stałem się głównym kapłanem Yog--Sothotha. Mogę robić rzeczy, których nawet się nie domyślasz. SIŁA roztopiła się we mnie!]

[wra-a-a-cać!!! Chcę wracać!!!]

[poważnie, chłopcze, nie warto ze mną zaczynać głupich dziecinnych gier. Nie stawaj na mojej drodze! Nie żartuję i ty nie żartuj]

5.

-Banzaj, żyjesz? - zmartwiona Darcia waliła go po twarzy. Jurko otworzył oczy.

-Jak to wyglądało? - zapytał w pierwszej chwili. Rozejrzał się. Nigdzie nikogo nie było, tylko szalenie ryczała rockoteka.

Darcia zdziwiona spojrzała mu w oczy.

- Idziemy, a ty nagle *bach!* - zatrzymujesz się! I tyle. Twarz martwa, ja do ciebie mówię, biję z liścia po głowie, a ty - zero reakcji...

-A gdzie Korij?

Darcia wzdrygnęła się nieświadomie. Spojrzała w miejsce, gdzie kilka wieczności temu stała postać. Uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Nie wiem - odpowiedziała, wykazując tym samym, że nie ma pojęcia, co się działo.

Banzaj usiadł na parapecie. Ni z tego, ni z owego, Darcia spytała:

- *Wychodziłeś, co nie? Jak ci się to udało?*

- Nigdzie nie wychodziłem. W ogóle nie rozumiem, co się stało.

- *Wychodziłeś* - powtórzyła uparcie. - Powiedz, co widziałeś. Jureczku, proszę, mów.

- Skąd wiesz? Czemu myślisz, że gdzieś wychodziłem? - Dobrze, że stali w ciemnościach i nie było widać przerażenia na twarzy Jurka.

Darcia od razu spoważniała. W kilku słowach postarała się przekazać swoje doświadczenia.

6.

W Nowojaworiwsku, gdzie uczyła się Darcia, matematykę prowadziła młoda, będąca tuż po studiach, kobieta - Renata Stepaniwna, zwana panią Renią. Gdyby jakimś cudem pani Renia spotkała Banzaj a, na pewno mieliby o czym porozmawiać i przez niejedną godzinę. Okazałoby się przy tym, jak wiele ich łączy.

Po kolejnych zajęciach pani Renia zawołała Darcie do siebie i zapytała, czy dziewczynka umie TO kontrolować. Uczennica poczuła się, jakby oberwała obuchem w głowę, ale... z

jakiegoś powodu (jakiego?) powiedziała, że tak, jasne, kto tego nie umie, jasne, że umie, a co?

Wtedy pani Renia poprosiła o prezentację umiejętności oraz zapytała, czy ona, pani Renia przypadkiem nie podoba się jej jako kobieta. Dlatego że podczas lekcji Darcia w sposób kontrolowany lub niekontrolowany starała się podniecić ją fizycznie na odległość.

Darcia chciała uciec z klasy, jak najdalej od chorej nauczycielki, ale ta uprzedziła ją, chwytając za rękę i powiedziała:

- Nie jestem lesbijką, po prostu mówię, jak było. Masz zadatki, dzieciaku. Powiedz szczerze: *Ty naprawdę* umiesz TO kontrolować? Darcia musiała przyznać, że nie, nic podobnego nie było jej celem i w ogóle nie do końca rozumie, o czym mowa.

Wtedy pani Renia zabrała się do wyjaśniania kilku aspektów sprawy. Większość okazała się totalną bzdurą, co potwierdzają dalsze przykre wypadki, które przytrafiły się pani Reni.

Pani Renia z powodu swojej choroby psychicznej (inaczej całej tej gadaniny po prostu nie da się wyjaśnić... a nawet nie warto) zaczęła opowiadać o różnych dziwnych rzeczach. O praktyce wychodzenia z własnego ciała, o transcedentalnej medytacji i o cudownym katharsis, które ona daje, o lotach astralnych i o niebezpieczeństwach czyhających podczas medytacji czy też świadomego snienia.

Podobno rzadko się zdarza u małej dziewczynki taki dar (jaki dar? - nijak nie mogła zrozumieć Darcia), takie możliwości, taki potencjał...

Nauczycielka dawała jej do czytania masę literatury, ale kategorycznie zabraniała próbować *czegokolwiek*. Szczególnie w samotności. Często powtarzała, że Darcia powinna zrozumieć, co dzieje się z nią oraz wokół niej (i tu również mamy świadectwo wyniszczenia psychiki, a nawet co gorsze, ale bardziej możliwe, kompletnej szajby: Darcia nie zauważyła żadnych podejrzanych wydarzeń wokół swojej osoby). Ich rozmowy ciągnęły się przez mniej więcej półtora miesiąca ósmej klasy. Po przerwie świątecznej pani Renia nie pojawiła się w szkole. Na zastępstwo przyszedł dobrodziej w wieku emerytalnym z dzikim uśmiechem na zwiedniętych ustach, który miał głęboko w dupie wszelkie metafizyczne błąkania w poszukiwaniu siebie. Bez przerwy powtarzał, że przez beznadziejnych jełopów z ich klasy, pani Renata Stepaniwna ma obecnie problemy z sercem. „Akurat! Już ja wiem, co to za problemy z sercem” - pomyślała wtedy Darcia.

Nie wiedziała, co stało się naprawdę, ale w wieku dwudziestu siedmiu lat problemy z sercem u kobiety pokroju pani Reni raczej się nie zdarzają.

Po trzech tygodniach matematyczka ponownie zjawiała się w pracy. Ale tylko na jeden dzień. Opowiedziała Darcie, że cały ten czas spędziła we Lwowie na oddziale psychiatrycznym przy ulicy Kulparkiowskiej 95.

Około miesiąca trzymano ją w izolacie.

Po powrocie pani Renata wyglądała, delikatnie rzecz ujmując, trochę nieswojo. Twarz jej zapadła się z wymęczenia. Młoda kobieta zauważalnie się postarzała. Powiedziała, że przed Nowym Rokiem próbowała wychodzić z ciała i właśnie wtedy jej się udało. Mistrzowsko zmieniła temat, kiedy Darcia starała się dowiedzieć, jak TO wyglądało - zdradziła tylko, że teraz połowa ciała tak jakby nie należy do niej. Wszystkie odczucia sensoryczne - woda, którą pije, jedzenie, które spożywa, dotyk, ból, czuła gdzieś z lewej strony, ćwierć metra od granicy ciała. Do tego doszedł brak koordynacji ruchów.

Potem Renata wzięła Darcie za rękę i zmusiła do obietnicy, że nigdy, NIGDY niczego podobnego nie będzie próbować. Szczególnie w samotności. Dziewczynka wpatrywała się w twarz pani Reni i widziała w niej tylko strach. Przerazenie małego dziecka, które zrobiło coś nieodwracalnego.

Pani Renia miała tylko dwadzieścia siedem lat.

Następnego dnia znów nikt jej nie widział. Nie zjawiała się też kolejnego dnia. Darcia chodziła przestraszona nie na żarty, martwiąc się o zdrowie swojej opiekunki. Pani Renia powtarzała, że Darcia różni się od innych dzieci, że jest po prostu *inna*. I bardzo to po niej widać. Dlatego ma tak mało przyjaciół: dzieci przez skórę czują jej obcość, dlatego trzymają się z daleka. Dziewczynka powinna obserwować zwykłych ludzi, naśladować ich, żeby ta inność nie była tak rażąco zauważalna. Słowa te były ostatnią radą, daną ostatniego dnia. W trzecim dniu nieobecności nauczycielki rozeszły się plotki, że pani Renata podcięła sobie żyły w ciepłej kąpieli.

Jak już wspomniano, pani Renia miała tylko dwadzieścia siedem lat. |

Przez kilka miesięcy Darcia miała ciężką depresję. Bez pani Reni błyskawicznie zrozumiała, że straciła całkowicie więź ze światem ludzi. Zmieniła się w zupełnie asocjalny typ olewający absolutnie wszystkich. Znajomości i relacje z innymi ludźmi (w tym również z rodzicami) okazały się tylko formalne, były banalnymi zwyczajami, żeby uśmiechać się i odpowiadać, kiedy ktoś się do ciebie zwraca. Ze śmiercią pani Reni Darcia odgradziła się od wszystkich. Świat stał się papierowy i zupełnie niepotrzebny.

Dla Darcie świat przestał mieć znaczenie. Nie w tym sensie, że nadszedł czas, by wypić perhydrol lub podciąć sobie żyły. Po prostu inni przestali ją obchodzić. Ciepłą wiosną (prawie każdego pogodnego dnia!) wracała ze szkoły (do siódmej dom pozostawał pusty), zrzucała

ubranie i siadała goła na rozgrzanym słońcem parapecie. Obydwie nogi opierała o szeroką drewnianą framugę. Próbowwała palić albo czytała, albo po prostu siedziała i grzała się w słońcu. Tuż za oknem rosła jabłoń. Drzewo kwitło całą wiosną i w pokoju unosił się dziwny aromat. Przez całe życie Darcia wiązać będzie zapach kwiatów ze swoją nagością.

Sytuacja z tzw. rodzicami była nie najlepsza. Ewolucję relacji rodzice-dziecko można prześledzić na przykładzie zmian zamka w drzwiach jej pokoju. Do dwunastego roku życia miała taki zamek jak wszyscy, z kluczem od wewnątrz, „niech mała ma trochę osobistej przestrzeni” - mówili rodzice. Trzyznaście, czternaście lat - nowy zamek, już bez klucza - żadnego prawa do prywatności wewnątrz pokoju. Od piętnastego roku życia - zamek z kluczem na zewnątrz, umożliwiający zamknięcie małej w razie nieposłuszeństwa. Szczególnie po kilkudniowej nieobecności, gdy szlajała się Bóg wie gdzie.

Mniej więcej w tym okresie, kiedy Darcia była już pewna, że dostała się do koledżu, jej również się poszczęściło. Do tego momentu umiała jedynie rozluźniać do granic możliwości własne ciało i zatrzymywać potok myśli. Tym razem prawie udało jej się wyjść. Leżała na łóżku i wsłuchiwała się w głosy w głowie. Wpuściła je do świadomości - głośnie, rytmiczne i wyraźne kłapanie, trzask, oznaki obecności życia. Nagle poczuła, jak prawa ręka sama się unosi. Fala silnego strachu powinna przywrócić ją do normalnego stanu, ale kontakt z ciałem zanikł. Zawisała w powietrzu. Podpłynęła do sufitu, jedynie oddech przykuwał ją do ciała. Słysząc było, jak powietrze z ciężkim charkotem przechodzi przez tchawicę - ostatnia oznaka życia, które w niej zostało. Wyraźnie, jak w kryształach poczuła, że zawisa nad nią ktoś *okropnie przerażając*, co spowodowało, że otwarcie oczu stało się jeszcze straszniejsze. Darcia nie odważyła się (w odróżnieniu od swojej mentorki pani Reni) spojrzeć na obecnego. Tak właśnie było: nie świst cudzego oddechu, nie szmer erytrocytów w cudzych arteriach, tylko uczucie *obecności* czegoś obcego. Obląkańczy strach unieruchamiał, a *obecność* tępiła ostrość świadomości. Darcia bezskutecznie próbowała wymacać cienkie kółko na małym palcu. Utraciła wszelki związek z ciałem. Strach spowijał ją, od czego stawało się nie do wytrzymania zimno - nie w sensie metafory; był to ostry, mroźny i niemy chłód. Dziewczyna pomyślała, że za oknem świeci majowe słońce, przenika do pokoju przez ostatnie kwiaty jabłoni, że powinno być naprawdę ciepło i słonecznie, a nie tak śmiertelnie zimno. Wreszcie poczuła coś na palcu - daleki, zagubiony dotyk metalu na skórze. Skoncentrowała się, wyęzając świadomość. Gwałtowny impuls, jakby samochód zjechał z góry i Darcia z powrotem leżała na łóżku. Odczucie czyjejś obecności znikło zupełnie. Tylko ciałem wstrząsały chłodne dreszcze. Było jej piekielnie zimno.

7.

Znów pytająco spojrzała na Banzaja:

- Więc co widziałeś?

- Wydawało mi się, że Korij bardzo szybko podbiegł do mnie i gdzieś nas wypchnął. Nazwał to Azathoth. Była to najglobalniejsza dezorientacja, jaką tylko można sobie wyobrazić. Po prostu nie wiedziałem, co się dzieje.

- A do czego to było podobne?

- Do niczego. W ogóle z niczym nie można tego porównać. Jak tylko próbujesz czemuś się przyrzuć, od razu tracisz ostatnie koordynaty. To nie była forma. Raczej proces. Absolutny brak koordynat czasowych czy fizycznych. Gubisz nawet samego siebie - przyłapałem się na tym, że czułem w setkach punktów jednocześnie. Zapominasz, kim jesteś. Ten chaos, który jest naokoło ciebie, wlewa się do wewnątrz - Banzaj przesunął ręką od czoła do potylicy, jakby starał się zdjąć z głowy niewidzialny hełm. Oblizął zaschnięte usta. Starał się powstrzymać drżenie kolan.

Darcia uważnie wysłuchiwała treści rozmowy z Korijem. Dowiedziała się o snach z Biblioteką.

-W sumie, jaki z tego wniosek?

- Korij myśli, że ja coś wiem. A w rzeczywistości nie mam pojęcia, o co tutaj chodzi. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, do czego to wszystko prowadzi. Po prostu nie mam pojęcia.

8.

Nazajutrz miał być halloweenowy wieczór muzyki elektronicznej. Zanim poszli szaleć na Goatrance party, wypalili na spółkę legendarny nienaruszalny zapas.

Zapas okazał się nieoczyszczoną smołą zebraną z liści konopi siewu żdaniwskiego pod Mariupolem. Krótko mówiąc, gandzia albo haszysz.

Banzaj wyciągnął spod łóżka celofanową torebkę, w której przechowywał ww. zapas, a z torebki wydobyl ciemną lepka masę wielkości dwóch orzechów włoskich. Smolę położył w miejsce aromatyzowanego tytoniu, a z wierzchu przykrył sreberkiem z gęstą siatką dziurek.

- A skąd to masz? - zainteresowała się Darcia, usadowiwszy się koło fajki. Naprzeciwko jej kolan stały dwa kubki z niedopitą herbatą. W kącie pokoju, tam gdzie ściana szła pod kątem, leżał jej plecak. Zegarek wskazywał wpół do szóstej. Było już prawie ciemno.

-Trzeba znać miejsce... od takiego kumpla z południa. To niby jego hobby, ale bardzo ważne.

- Mówisz o tym geju Faezie?

-Nie. Ze Żdanowa w obwodzie donieckim, jak będzie okazja, to opowiem.

Nareszcie fajka się rozpałała. Wypełził z niej siwy dymek, a zapach tytoniu przytłumił inny silniejszy, bardziej gorzki i pociągający. Darcia wciągnęła dym nosem; od razu oczy zaszyły jej łzami i zwilgotniała błona śluzowa. Rzadkie amorficzne ciepło rozlało się w płucach. Przesunęła twarz nad węgielek, żeby lepiej poczuć aromat trawy.

- Wiesz co, ty pierwszy ciągnij - powiedziała. - Wypalimy to wszystko naraz?

Banzaj uśmiechnął się

-Wtedy trafimy nie do koledżu, a na reanimację. Serce nie wytrzyma...

- A ile wypalimy?

- Złapiemy teraz po dwa buchty, a jak będziemy mieli ochotę -możemy i po party.

- „Złapiemy buchty”?

- Czyli się zaciągniemy.

Darcia ze zrozumieniem pokiwała głową. Zaczęło ją kręcić od samego dymu.

Zaciągnęli się po trzy razy. Banzaj mruknął zdziwiony, kiedy zobaczył, jakie olbrzymie machy wciąga Darcia. Wyjaśniła, że kiedyś grała na klawecie. Po trzecim machu Darcia rozkaszała się aż do łez i musiała się wychylić przez okno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Kaszel powoli przeszedł w niepowstrzymany śmiech. Banzaj zdecydował, że wystarczy. Zgasiwszy na pewien czas węgielek, poszli na zabawę.

W drodze do koledżu szli, trzymając się za ręce i dziko rechocząc.

9.

Impreza poświęcona była muzyce elektronicznej. Z szybkimi, wysokimi, pulsującymi rytmami, które wkręcały i przyciągały.

Korytarze ledwie oświetlone, tak jak i poprzednim razem. W ciemnościach włochaty osobnik namiętnie całował się z zabójczą dziewiątoklasistką. „Czy to przypadkiem nie Pająk?” - pomyślał Jurko. Kiedy włochata osoba się odwróciła, Banzaj bez krztyny zdziwienia poznał w niej jedną z uczennic jedenastej „b”. Darcia starała się prowadzić go, trzymając za rękę, wśród ciał podekscytowanych syntetyków, szalejących w ostrym nocnym goa-trance. Wreszcie znaleźli dwa wolne miejsca przy ścianie. Od oddechów ludzi w sali gimnastycznej panowała wilgoć powodująca nieprzyjemny ucisk w płucach. Banzaj ciężko opadł na parapet i niewyraźnie wymamrotał:

-No Korba... No teraz, stary, dałeś...

Darcia przytuliła się do niego, żeby nie tracić poczucia obecności Jurka. Wydawało się, że mózg nie przyjmuje nieprzerwanego potoku czasu i dlatego z odbioru wypadają zbędne slajdy. Na ich miejscu zjawiają się nanosekundowe wyrwy w pamięci. Wydarzenia odmierzała ciepła ręka, która przytulała się do skóry na potylicy i nie pozwalała głowie za bardzo się kręcić.

Banzaj głaskał Darcie po włosach. Dziewczyna siedziała wyprostowana, rozmyty wzrok wbijając w salę, a potem nagle runęła do przodu. Jakby siły wyleciały z niej w jednym oddechu. Mała patrzyła na błyski światła zupełnie nieruchomo, bez żadnych oznak życia.

Banzaj zrozumiał, że coś jest nie tak.

- Darcia?

Wciąż nieruchomo patrzyła w przestrzeń. Jurko przetrzeźwiał i nie namyślając się długo, mocno uderzył ją dłonią w plecy. Darcia gwałtownie zadarła głowę do góry.

-Ale było... Ale było... Ale... - głęboko wciągała powietrze, powtarzając to samo.

- Co się z tobą działo? Wzruszyła ramionami.

- Siedzę, słucham muzyki, a tu bach! - wszystko zatrzymuje się. A potem znowu nabiera szybkości.

Banzaj tak samo wzruszył ramionami. Przycisnął ją mocniej do siebie i patrzył, jak w sinym świetle drgają postaci. W pewnej chwili poczuł, że jego czaszka otwiera się, a muzyka gra wewnątrz głowy, oszałamiająco wyraźna i przyciągająca. Niespodziewanie dźwięki zwolniły, aż do zupełnego zatrzymania. Stopniowo znieruchomiały też tańczące postaci. Jurko ze zdziwieniem skonstatował, że widzi całą przestrzeń dookoła siebie, łącznie z tą za swymi plecami. Nie było nawet potrzeby, żeby przesuwac oczami - wszystko widział JEDNOCZEŚNIE.

Ale postaci znów nabrały tempa, tak samo jak muzyka. Wszystko wróciło na miejsce. Skóra na plecach na wysokości serca paliła od uderzenia Darcia. Przestraszona dziewczyna patrzyła mu w twarz.

- Z tobą też ?

Kiwnął głową. Co tu się do cholery dzieje?

- Chodźmy do ciebie, zapalimy jeszcze.

Znowu kiwnął głową. Bardziej szalonego pomysłu w życiu jeszcze nie słyszał.

Wracali już bez śmiechu. Banzaj czuł lęk. Ale nie z najarania, tylko naprawdę. Strach był na ulicach, wgryzł się w ściany kamienic, wgryzł się w samą realność, jak zapach konopi wgryza się w ubrania. Strach nie był wewnątrz, był na zewnątrz. Nakłuwał skórę chłodem zaprzeczanie jego obecności było po prostu niemożliwe. Był tak sa-o realny jak pionowe

cienie pełzające w nocy naokoło nich i tak to jak to, że oboje tego dnia przeżyli wstrzymanie akcji serca.

Albo tak im się wydawało.

10.

W domu zrobili to, co i dwie godziny wcześniej: Darcia zaparzyła herbaty (ślina w ustach zgęstniała do ledwie wilgotnego lejącego śluzu), a Banzaj rozpalił fajkę. Grał (bardzo *głośno*) Peter Hammill z „Van der Graaf Generator”. Cokolwiek by Sola mówi-, to naprawdę fajna muza. Muzyka należąca tylko do niego, której nikt więcej nie wie. Peter Hammill - to było coś. Znów usiedli koło fajki, paląc i słuchając muzyki.

-Wiesz co, Darcu, tutaj... - Banzaj niepewnie ruszył głową, żeli na podłodze, bo siedzieć nie mieli już siły. - Tu właśnie... wyraźnie czuje się wpływ narkotyków... Na muzykę... Nie udało mu się rozwinąć tej myśli, bo zbyt ciężko i nieprzyjemnie poruszało się językiem i wargami. Kilka kolorowych błysków i Banzaj znalazł się w transcendencji.

11.

Banzaj w transcendencji [kim jesteś?] [a ty?]

[jestem banzaj]

[banzaj został TAM; wątpię, żebyś był banzajem]

[a ty kim jesteś?]

[jestem niczym. Po prostu tak. Późnia. Można powiedzieć, twój daleki krewny] [czego chcesz?]

[pytań]

[kim jestYog-Sothoth?]

[Wielki Robak]

[kim jest Yog-Sothoth ?]

[Twórca Cieni, Ten, Kto Splata Nieskończoność, Tkacz. Wystarczy?]

[czym jest Yog-Sothoth?]

[Wielki Pradawny, ostatni Wielki Pradawny]

[mów dokładniej]

[słuchaj uważnie]

[czy Yog-Sothoth jest bogiem ?]

[tak]

[Diabłem?]

[nie. Na twoim poziomie Diabeł i Yog-Sothoth nie mają nic wspólnego]

[ale on jest złem, tak?]

[zło nie istnieje, tak samo dobro. Są tylko przeciwne energie. Ale na twoim poziomie on jest złem]

[Azathoth też jest bogiem ?]

[kiedyś był, teraz jest po prostu oddzielną równoległą do twojego wszechświata rzeczywistością]

[nie rozumiem]

[Azathoth, jak niektórzy Wielcy Pradawni, był kiedyś bogiem, ale wskutek własnego bezmózgowia zdegradował się. Jak gąsienica na początku pełza, potem tworzy kokon, a następnie staje się motylem. Azathoth przekształcił się w oddzielną przestrzeń, zamkniętą w sobie rzeczywistość. Nazywa się to metamorfozą. To nadzwyczajna, globalna rzecz. Nie forma, tylko proces. Jest obecna na wszystkich poziomach, możliwe, że i tych najwyższych. Azathoth przekształcił się w rzeczywistość delikatnej materii, ale dziwnie prymitywną, w swego rodzaju przestrzenną pleromę. Wystarczająco rozwiniętą, żeby rządzić nieskończonością, ale zbyt prostą, żeby pomieścić w sobie czas, wymiar czy rozmiary]

[czy taki jest los każdego boga?]

[nie wiadomo, Azathoth był najstarszy, istniał bardzo długo, zbyt długo, nawet jak na boga]

[jak długo?]

[na twoim poziomie - wieczność]

[a faktycznie?]

[faktycznie? Nie ma faktyczności, nie ma obiektywizmu, jest tylko poziom odbioru; mój poziom odbioru może ci się wydawać obiektywny, ale wszystko to złudzenie]

[jak długo?]

[istniał na długo przed Wielkim Wybuchem, niesamowicie długo. Był nawet wtedy, gdy przyszedł Yog-Sothoth, Dagon i Cthulhu. Teraz został tylko Yog-Sothoth. Ale uwierz mi na słowo - żaden z bogów nie istnieje w czasie liniowo. Na twoim poziomie zrozumienie tego oznacza przeskoczenie od razu kilku szczebli. Ale nie bój się - nie jest ci to sądzone]

[i wszyscy ci bogowie stali się oddzielnymi rzeczywistościami?]

[nie, oni nie istnieli tak długo. Możliwe, że Azathoth naprawdę był tępy i dlatego się zdegradował. Możliwe, że taki jest los każdego boga]

[dlaczego więc został tylko Yog-Sothoth ?]

[Dagona zniszczyli bogowie Zamierzchłej Przeszłości, chociaż był jednym z najpotężniejszych, Cthulhu jest na wieki zamknięty w podwodnym mieście Rlyeh, inni Wielcy Pradawni żyją na wygnaniu na dalekich porzuconych i zapomnianych planetach. Ale niektórzy wciąż jeszcze mają wejścia do naszego świata]

[wejścia?]

[zjawiają się, gdy materia starzeje się w niektórych miejscach. W miejscach cienkiej rzeczywistości. Tu również odbywa się metamorfoza. Ludzie wyczuwają takie miejsca i w większości przypadków unikają ich: porzucone budynki, zbezczeszczone i niepoświęcone kościoły... cokolwiek, dowolny skrawek przestrzeni - nawet ustronna alejka w parku może się okazać niedobrym miejscem dla ludzi. Tam przepada się bez wieści. Ryt Diabła, gdzie o mały włos nie zniszczyliście wyjścia Dagona, wy, zwykli ludzie - to jedno z takich miejsc. Bardzo często są to oddalone zakątki planety, pustynie, góry, podziemne jeziora... albo jak u was - podziemia]

[jak to „u nas”?]

[w koledżu, w podziemiach znajduje się bardzo interesujące miejsce. .. prowadzi prosto na bagna Htha 'atha, gdzie istnieje Yog-Sothoth]

[dlaczego te miejsca są blisko siebie? Gdzie są te bagna?]

[przestrzeń we wszechświecie jest złożona. Ale pomiędzy wami i Yog-Sothothem jest Azathoth, wir chaosu]

[jaka jest natura Yog-Sothotha?]

[on nie ma natury, jest wiecznością, energią w czasie]

[nie rozumiem]

[żyjesz w swoim świecie, myślisz: „Świadomość przywiązana jest do ciała - lżejsza materia do cięższej, ciało do czasoprzestrzeni”. Ale to nie tak - świadomość na waszym poziomie nie jest przywiązana do ciała; ma ona podwójne właściwości: jest polem i korpuskułą jednocześnie, korpuskuła to jedynie maksymalne zagęszczone pole świadomości, to co nazywacie ciałem energetycznym, projekcją astralną; ciało składa się z materii, cząstki materii są kondensacjami pola rzeczywistości. Pole jest energią. Wszystko na świecie, nawet materia -to energia, Yog-Sothoth nie jest przywiązany praktycznie do żadnego z pól, jest na bardzo wysokim poziomie. Jest wiecznością w sobie]

[a jaką rolę pełni Korij?]

[Korija opanowała myśl, że Yog-Sothoth obdaruje go nadzwyczajną władzą i siłą, kiedy przyjdzie na twój świat. Trochę siły już posiada, ale to, co w nim jest, to jedynie krople z fal oceanu siły. Yog-Sothoth przyjdzie, aby ustalić swój porządek i prawo zupełnie obce

człowiekowi. Obce nie tylko waszym wyobrażeniom o świecie, ale i naturze rzeczywistości, czasu i przestrzeni. Inne tak bardzo, jak tylko można sobie wyobrazić]

[co stanie się z naszym światem ?]

[wiesz, co]

[dlaczego w takim razie nie uratujesz siebie i nas?]

[nie chodzi o jakąś jedną zakichaną galaktykę, i nawet nie o jeden Wszechświat. Ceną jest panowanie w waszej rzeczywistości. We wszystkich rzeczywistościach, które znajdują się w waszym makro-kosmosie]

[więc dlaczego nas nie uratujesz?]

[na twoim poziomie jest to nie do pojęcia, wszystko podporządkowuje się pewnemu mechanizmowi]

[bo tak wymyślił Bóg?]

[mówisz „Bóg” ot tak. Macie paskudny zwyczaj ubierania wszystkiego w słowa. Nie możecie żyć bez interpretacji. Bóg to o wiele więcej, niż możesz sobie wyobrazić]

[jest jak Azathoth ? Jest naszym Wszechświatem? Makrokosmosem ?]

[na twoim poziomie, w ogóle lepiej o tym nie myśleć... ale powiem - nieskończoną ilość razy więcej niż cały Byt, który mieści w sobie makrokosmosy]

[chcesz, żebym nie dopuścił do wejścia Yog-Sothotha w nasz świat?]

[tak czy inaczej, do tego wszystko zawsze się sprowadza. To wieczność: nie forma, lecz proces. To jak metamorfoza. Zawsze są ci, którzy otwierają, i ci, którzy zamykają. To podstawa makrokosmosu. Zapamiętaj: ci co otwierają i ci co zamykają. Są zawsze, możliwe, że w różnych formach; możliwe, że nie zawsze są tego świadomi. Ale tak jest i tak będzie. To proces, a nie forma. Forma przemija, proces jest wieczny]

[dlaczego ja? Dlaczego ZAWSZE ja?]

[dlatego, że obiecałeś]

[nikomu niczego nie obiecywałem, nie chcę tego robić! Nie będę! Dlaczego ZAWSZE ja?!]

[Twoje życzenia nikogo nie interesują. Zrobisz to. Wiesz jak. Obiecałeś i przyszła pora dotrzymać obietnicy]

[NIC NIKOMU NIE OBEICYWAŁEM!!! A tym bardziej nie wyobrażam sobie, jak powinienem to zrobić! Nie wiem, nie wiem, nie wiem, zupełnie nie wiem, nawet się nie domyślałam!!!]

[byłeś w Bibliotece. Musisz wiedzieć. Więcej nie mogliśmy cię tam zabierać, bo siła Koriya stała się odczuwalna i zauważalna na moim poziomie. Naprawdę nikt nigdy nie wie z wyprzedzeniem. Czekaj, a zrozumiesz]

[kiedy się dowiem?]

[czekaj, a zrozumiesz]

[nie chcę, czemu właśnie ja?! Wyjaśnij mi!!!]

[czekaj]

12.

Banzaj leżał nieruchomo w swoim pokoju, serce ledwie kołatało, wargi poszarzały; obok - Darcia, z głową na jego piersiach. Kiedy obydwójce wrócili (działanie haszyszu osłabło), dziewczyna odzyskała przytomność i zaczęła szturchać Jurka. Jego pobladłe wargi ją przerażały. Nie mogła wyczuć pulsu. Chłopak nie ruszał się. Darcia uderzała go dłonią po twarzy, czując ciekące po policzkach łzy. Nie przestawała bić, dopóki oczy Banzaja nie zaczęły drgać pod powiekami. Trzy minuty później Jurko oprzytomniał.

Banzaj zdecydował, że tej nocy nie będzie spać. Darcia zaproponowała, że z nim zostanie. Słuchali Petera Hammilla aż do świtu, starając się rozwiać strach. Kilka razy chciała opowiedzieć mu, co *ona* widziała, ale w końcu się nie odważyła. Banzaj czytał jej swój dziennik snień, opisy wizyt w Bibliotece. Znowu nie wiedzieli, co się dzieje.

Ostatni zapis o Bibliotece dotyczył najważniejszej książki - „Księgi Martwych Imion”, czyli „Necronomiconu”, napisanej przez szalonego Araba Abdula Alhazreda. W książce opisano widzenia Araba: szalone światy, które podobno zostały mu pokazane; tekst podsumowywał wiedzę Banzaja zdobytą *tam*. O pradawnych potworach, które przybyły z dalekich gwiazd - o bogach czegoś absolutnie obcego i przeciwnego nam. O wojnach między nimi i bogami Zamierzchłej Przeszłości, inną wielką rasą rozwijającą się w naszym makrokosmosie. Kompletnie brednie, ale wszystko zbiegało się ze snieniami i halucynacjami! Starodawne protocywilizacje i dzikie plemiona uprawiające ich krwawe kultury, przetworzywszy obce potwory w dzikie nieodgadnione bóstwa.

Nad ranem, kiedy teoretycznie powinni ledwie trzymać się na nogach, Banzaj i Darcia odczuli nowy przypływ sił i szaloną energię.

W koledżu Banzaj poszedł na przerwę do łazienki. Na wyłożonej kafelkami ścianie czerwonymi literami napisane było:

YOG-SOTHOTH PH'NHLU'IN'HLACH

Usta Jurka wyschły na piach. Chłopak, który stał pod napisem, czytając wymiętą ściągę, zauważył jego bezmyślny wzrok i sam spojrzał w górę.

- Rzeczywiście, niezły pajak, takiego jeszcze nie widziałem - powiedział, wskazując pajaka na jednej z czerwonych liter.

Banzaj poszedł na zajęcia. Po lekcji ukradkiem zaprowadził Darcie do męskiej toalety i pokazał jej zakłęcie. Tak, widzę je, powiedziała, przełykając ślinę.

Wszystko to da się logicznie wyjaśnić. Po nieprzespanej nocy nie takie rzeczy mogą się przywidzieć.

13.

W drodze do domu, w gęstniejącym mroku, Banzaj dostrzegł znajomą postać Korija - mag stał, obserwując chłopaka. Banzaj obejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Gdy odwrócił się z powrotem, nie zauważył już nikogo.

Bez wątpienia wszystko to były smutne następstwa palenia haszyszu.

Po powrocie do domu Banzaj włączył muzykę i położył się na łóżku. Poduszka lekko pachniała Darcia. To dodawało otuchy. Mimo to po raz pierwszy w życiu pusty pokój napełniał go strachem.

Wkrótce Jurko zasnął.

14.

O siódmej trzydzieści cztery wieczorem Banzaj wciąż jeszcze spał, dlatego nie widział, jak na sekundę do okna przylgnęła blada twarz. Błyszczące oczy przyjrzały się pokojowi i równie bezdźwięcznie jak się pojawiły, znikły w mroku nocy.

część druga

zacmienie świadomości

Rozdział 1

1.

W piątek, 24 listopada na tablicy ogłoszeń pojawił się dziwny afisz. Powieszono go w sposób szczególny. Tak, aby nie rzucał się w oczy żadnego nauczyciela, lecz został zoczony tylko przez niektórych uczniów. Wyglądał następująco:

KICZ-DESTRUKCJA: KONSUMPCJA KAŁU Początek o 19.00 w sali widowiskowej

Performance odbywa się przy wsparciu następujących organizacji:

MO „Agresywna Młodzież Chrystusowa”

(Rzepetski und Sempl GmbH)

Polsko-ukraińskie towarzystwo anarchistów „Niespodzianka” (Borges)

Lwowski klub nihilistów i bojowników o legalizację marihuany

przy otwartym uniwersytecie Magariszi (Banzaj)

Galicyjska brygada śmierci „Rzis” (pajouky w małajalami)

OSTRZEŻENIE

- planowane zrywanie klepek

- niemożność powtórnego umocowania piątej kleпки gwarantowana

I faktycznie - nikt z nauczycielskiej bandy nie zauważył afisza. Tym bardziej że został zerwany na pamiątkę po dwóch godzinach od momentu przyklejenia.

Wiecie, kto to zrobił?

To byłem ja we własnej osobie.

2.

Pojawienie się ogłoszenia poprzedziło wiele ważnych i niezbyt ważnych wydarzeń z życia miasta i koledżu.

Nikt nie mógł zrozumieć, co wabi sowy do lasów za miastem. Ptakom po prostu odwalalo. W nocy knieje pulsowały cichym złowieszczym pohukiwaniem.

Któregoś z tych dni - między wyjściem z własnego ciała a pojawieniem się afisza - Banzaj zajrzał do Dimy. Ten siedział całkowicie rozbity w swoim miękkim fotelu, jakby podłapał hongkońską grypę. Nie kryjąc się, sącył koniak prościuteńko z flaszki. W normalnym stanie Dima ograniczał się do uszlachetniania kawy absyntem.

- Jest mi niedobrze - wyjaśnił psycha-chalog. - Nie wiem, jak tobie - ale tylko nie mów Sławciowi, tak między nami! - czy nie zdaje ci się, że tu, w koledżu, u nas w „Skórze”, dzieje się coś nie tak? Nie całkiem hm... powiedzmy tak, pozytywnie?...

Banzaj w odpowiedzi lekceważąco się uśmiechnął, ale stęzał wewnątrz. Kto, jeśli nie on, miał wiedzieć, jacy podstępni bywają psycha-chalogowie.

Następnego dnia Dimę zawieziono do Skole na reanimację. Przedawkował środki uspokajające. Po odtruciu bez zbędnych rozmów wysłany został do zakładu psychiatrycznego. Zwidywały mu się potwory i straszliwe, ogromne robaki.

„Nasłuchiwał się cudzych koszmarów - jak od tego nie zwariować” - myśleli wszyscy.

Banzaj nie odważył się odwiedzić Dimy, swojego najlepszego kumpla. Po prostu śmiertelnie bał się tego, co może usłyszeć.

Właśnie w te burzliwe dni zaczęła tu i tam wybuchać grypa i zdarzały się pojedyncze zachorowania na odrę. Na razie nic groźnego - pięć, sześć przypadków, ale pani Polisunka ze swoją najlepszą przyjaciółką - młodziutką pielęgniarczą z punktu medycznego (w tym czasie zaczęły odczuwać do siebie przemożny pociąg) - doszły do wspólnego wniosku, że może przytrafiła się, tak jak w zeszłym roku: *prawdziwa pandemia*.

Banzaj tymczasem odbywał tajemne próby ze swym oddziałem - Darcia, Pajakiem i Samplem. Nikt nie miał pojęcia, do czego się przygotowywali. Na jednej z prób w sali widowiskowej Samplowany niespodziewanie zapytał:

-Słuchajcie, a nie wydaje się wam, że dzieje się tu coś nie tak, jak być powinno?

Była to prawie kopia słów nieszczęśnika Dimy. Banzajowi szczeka opadła ze zdziwienia. Szybko popatrzył na Darcie, ta wzruszyła ramionami. Sempel powiedział: nie, nic nie wiemy, a co? *Rzeczywiście* coś nie tak?

Banzaj zauważył, że Pajak ostrzegawczo spojrzał na kumpla. Ten zamilkł. W kolejnych dniach nie wracali już do podobnych tematów.

Te dni wyróżniały się również znaczącym zmniejszeniem liczby ulicznych psów i kotów. *Znacznym zmniejszeniem*.

Również wtedy przepadły bez wieści trzy dziewczyny. Spakowały rzeczy, żeby pojechać na wolne dni do domu, i poszły wieczorem na dworzec. Ich rodzice ze Starego Sambora zupełnie nie spodziewali się ujrzeć swego potomstwa wcześniej niż na katolickie Boże Narodzenie. Dziewczęta ruszyły mroczną ulicą, wypełnioną lepką i wilgotną mgłą, i przepadły bez wieści. Po prostu rozplynęły się we mgle. Tak się złożyło, że chyba nikt oprócz stróża Korija nie znał przyczyny ich szybkiego wyjazdu. Zgodnie z regulaminem koledżu to wystarczyło. Same dziewczęta wyjaśniły to tak: w pokojach wszyscy mieszkają parami (właśnie dlatego swego czasu nie pozwolono Darcii przeprowadzić się do chłopięcego internatu), sąsiadka jednej z dziewcząt zachorowała na gripę; Korijowi powiedziały, że „pracy domowej nie ma”, więc po prostu można „skoczyć do domu na weekend”.

Poszły w ciemność i nie wróciły. Rodzice zwąchali coś dopiero po 25 grudnia.

Na pytanie pana Andrija, dlaczego Korij zwolnił dziewczęta, nie powiedział nikomu ani słowa, ten w zadumie podrapał gojące się ukąszenia i zadrapania na rękach. Odparł, że według niego, dziewczęta wyjaśniły wszystko przekonująco. Zaraziły się gripą od koleżanki, zadzwoniły do mam, mamy kazały niezwłocznie przyjeżdżać. Słowo daję.

Korij, oczywiście, mógłby przypomnieć panu Andrijowi, *kto* tu jest najważniejszy; mógłby napomknąć, że ta pielęgniareczką, wobec której pan Andrij pod nieobecność czujnego oka małżonki rozwinął niezdrowe popędy, ma zupełnie *przeciwnie skłonności*. Mógłby. Ale... nie warto każdemu przy stole od razu pokazywać, że masz wszystkie asy, z kierowym włącznie, i jeszcze osiem do dziewięciu zapasowych w rękawie.

Siedmiu młodych ludzi rodem z Miedzianych Buków w wigilię Dnia Wszystkich Świętych siedziało za koledżem, pijąc wino marki „Złota Jesień” (bardziej znane w narodzie niż „Zosia”) i gwizdząc pod oknami dziewczęcego internatu. Jeden z młodzieńców miał wojskową lornetkę: panowie chcieli czegoś z pieprzem. Kiedy myśleli, że wreszcie któraś z licealistek postanowiła przebrać się przy włączonym świetle i niezasłoniętych oknach, dał się słyszeć niski szum, zbyt niski i przygniatający, aby być naprawdę słyszalny - zawibrowały błony bębenkowe. Gdzieś z okolic Skóry Jelenia unosił się gardłowy śpiew, pojękiwania i recytaty-wy. W jednej chwili wszystko zamilkło - śpiew, głosy z internatu, pijackie gaworzenie. Słyszeć było tylko chóralne pohukiwanie sów, które zgromadziły się na pobliskich drzewach, potem znowu zaśpiewy szamana - potok niezrozumiałych dźwięków, przerażających martwych litanii. Na ceglanej ścianie kłębiły się cienie, tak jakby ktoś za chłopakami trzymał pochodnię.

Tylko że nie było żadnej pochodni. Z lasu w ogóle nie płynęło żadne światło. I nie było żadnego powodu do najmniejszego ruchu cieni.

Wibrowanie narastało i ktoś z towarzystwa przemówił: -Nie wiem, jak wy, ale ja spadam. Nikt nie powiedział, że jest tchórzem, ciulem i w ogóle żaden z niego gość. Wszyscy cichutko wstali i poszli. I nikomu jakoś nie zrobiło się wstyd, kiedy marsz płynnie przerodził się w bieg.

Dwójka starszoklasistów - para, która włóczyła się po górach, trzymając za ręce - natrafiła w lesie na przesiekę. Dziewczyna specjalnie zorganizowała aparat, żeby zrobić sobie zdjęcie z kawalerem (do kolekcji w albumie). Przesieka wyglądała tak, jakby przejechał po niej czołg cyklopów, który po prostu wgniótł ziemię, łamiąc drzewa po bokach tak, iż okolica przypominała gigantyczne okopy. Bez wątpienia przyczyną było coś ogromnego. Dziewczyna sfotografowała przesiekę, a po wywołaniu filmu podarowała odbitkę chłopcu na pamiątkę. Wujek, który przyjechał do niego na Boże Narodzenie, ujrzawszy widoczek z przesieką, powiedział, że widział coś podobnego, kiedy na las spadł nieduży samolot.

A poza tym - wszystko było okay.

Tylko ludzie trochę się denerwowali, czy dokładniej mówiąc, bali się.

Tylko Banzaj wzdrygał się, słysząc przenikliwe dźwięki i prawie krzyczał, gdy niespodziewanie zaczęły do niego mówić.

Tylko Darcia bała się wieczorem sama chodzić do toalety po słabo oświetlonych pustych korytarzach. Ale ponieważ oprócz Banzaja nie było nikogo, kto mógłby ją wesprzeć, Darcia zostawała ze swoim strachem sam na sam.

Tylko Samplowany i Małajalam, mieszkający w pokoju, gdzie w '76 powiesiła się dziewczyna i naprzeciwko pokoju, gdzie mieszkał Genyk Brjewnow, sąsiad, który w '98 wpadł pod kolejkę Mukaczewo-Lwów, sądzili, że stopniowo tracą zmysły. Wszystko przez paskudne sny i paskudne dźwięki, dające się słyszeć nocami w ich pokoju.

A ogólnie było w porządku, jeśli można to nazwać porządkiem. W mieście panowała swego rodzaju Idylla-po-dżumie: puste, schludne uliczki, czyste skwery, bezludny wysprzątany park...

Tylko nie radzę spacerować tymi uliczkami po zmroku: na przykład można zabłądzić.

Jak trafiło się to już nieraz.

3.

Przygotowywali się do akcji w bardzo specyficzny sposób: z jednej strony rzetelnie obmyślili dekoracje i akcję performance, a z drugiej - nawet sam Banzaj nie całkiem wyobrażał sobie, co konkretnie będą robić na scenie.

Małajałam nie wiadomo skąd przytaszczył stary telewizor, tę diabelską skrzynię, jak pisał o niej W. Relanium (on to przecież D. Elenium). Samplowany zdołał zorganizować kamerę i projektor wideo. Resztą zajęli się Banzaj i Darcia.

Ten akt wymierzony w szarość i banał miał wstrząsnąć koledżem, poruszyć nim i zaszokować, aż do archetypowych głębin podświadomości.

W piątek na performance przyszło niespodziewanie dużo ludzi - nie tylko i nie tyle z internatu: byli tam Szkrjab, Gaden i Fłojd, i nawet nikomu nieznany poeta - dekadent Włodko Relanium (zwany też Danko Elenium), który rozsiadł się, zarzuciwszy nogi w czarnych wojskowych butach na zapiecek fotela w rzędzie przed nim i palił podejrzenie wyglądającego papierosa. Czarną skórzaną sakwą, wypchaną poezjami, czarną skórzaną kamizelkę a la Jack Kerouac, te niezmiennie atrybuty powszechnie niedocenionego, przez wszystkich zapomnianego i przegnanego lidera lwowskiego undergroundu, miał, jak zawsze, w wyposażeniu.

Światło pojawiło się kwadrans po siódmej - Jurko przekonał się, że grafik jego wyłączania istnieje tylko w niezdrowej fantazji kilku psychicznie chorych, których z akademickiej ciekawości dopuszczono do wyłączników. Publiczność pragnąca zadać gwałt dziewiczej świadomości waliła do maleńkiej, niewiele większej od zwykłej klasy, sali widowiskowej i rozsiadała się na połączonych w traumatyczne triady fotelach lub ławkach, ustawionych w półkolu, niczym w amfiteatrze. W odległym mroku pomieszczenia stały olbrzymie głośniki, które z rzadka na dyskotekach radowały *hopowskie* uszy popem.

Banzaj spoglądał na publiczność zza dekoracji: zauważył swoich uczniów, kumpli z uniwerku, po prostu znajomych (jak na przykład Genyka Brjewnowa - jego i to zielone nieszczęście, rude dziewczynisko, które ostatnio nie odstępowało go na krok). Była tam także Ryba-Słońce o wykrzywionym obliczu. Podekscytowani widzowie szumieli i głośno rechotali.

Niespodziewanie zgasło światło, i zaczął się spektakl.

4.

I wszystko było tak:

Zgasło światło i prawie od razu dały się słyszeć pierwsze przymilne tony „Voodoo Kid” Jimiego Hendriksa. Dźwięki, początkowo ciche, powoli narastały do takiego stopnia, że kiszki widzów, którzy przyszli, nie zważając na przestrozę, zaczęły drżeć. W całkowitych

ciemnościach na suficie sali pojawił się mętny rysunek, który wraz z głośnością muzyki stawał się coraz wyraźniejszy i jaśniejszy. Na całym suficie wyświetlano klip Hendriksa.

Tak samo niespodziewanie zapłonęły cztery jaskrawe kwarcowe jupitery, zamazując scenę bolesnym białym światłem. Oprócz nich był jeszcze czerwony projektor i wielki włączony stroboskop. Na zawalonej różnymi kłopotami scenie stali oni - Banzaj, opierając się tyłkiem o ławkę, Małajałam ze swoją trąbką w dłoniach, jak

Miles Davis w młodości, i Samplowany z gitarą basową. Na starym telewizorze, który umieszczono po prawej stronie, stała Darcia Borges. Nieśmiało złożyła przed sobą ręce; była ubrana w wąziutkie szorty i cienką kraciatą bluzeczkę, pod którą *było nic* (dokładnie, pod którą *nie było niczego*). Z czasem włączyli pudło: Darcia zaczęła na nim plastycznie tańczyć, niemiłosiernie podniecając wszystkich chłopców na sali. Zgodnie z koncepcją widmowego spektaklu, miała być (i zresztą była) symbolem chuci, seksu i pożądania. Tancerka na telewizorze symbolizowała świętej pamięci Jima Morrisona - jako znak erotyzmu w kole śmierci.

Jimi Hendrix przycichał, ale inicjatywę przejęli chłopcy: grali „Pieśń Solweigi” Griega pod partię bębnów samego Johna „Bonzo” Bonhama, przesławnego perkusisty „Zeppelinów” (delikatna aluzja do poprzednika kultury masowej); wychodziło dosyć ostro, ale ciągle jeszcze melodyjnie.

Banzaj, który rozsiadł się na ławce, trzymał w ręku tomik i czytał na głos wiersze. To był jego pieśczołoch - biedaczysko Tyczyna, a dokładniej późny Tyczyna, którego już zmiażdżyła jedynie słuszna metoda, przetworzywszy wyrafinowany impresjonizm na żer dla sowieckiego bydła. Na sali rozdawano nieduże ogłoszenia:

ŁONTYD:

Tyczyna Pawło Hryhorowycz

(„Tyczynka”)

młody utalentowany poeta impresjonista

Wyszedł z domu i nie wrócił.

Nagroda - w granicach rozsądku.

HELP!!!

SHUKANO:

Tychyna Pavlo Grygorovych

(„Tychynka”)

a young talented poet-impressionist.

Had left his house & didn't return

Reward – sensible

DOPOMOZHTT!!!

Przy nogach Jurka stała porcelanowa muszla klozetowa, którą znaleźli na śmietniku. Na sąsiedniej ławce - kasetowy magnetofon-jamnik, wśród ludu zwany „Międzynarodowym”, i kasety ułożone w porządne stosiki. Jeszcze dalej wielkie pudła po lodówkach, meblach i innych dużych rzeczach. Na kartonowych dekoracjach wisiały stare obrazy, które mogłyby być sprzedawane na wernisażach. Nieco poza zasięgiem wzroku piętrzyły się góry makułatury, leżało kowadło i potężny ciężki młot.

Niepostrzeżenie zgasł jeden z jupiterów, dzięki czemu błyski stroboskopu stały się wyraźniejsze.

Chłopcy zaczęli grać, tworząc nieznaczny dysonans; Darcia lekko muskała rękami swoje ciało, jej ruchy rzucały urok. Banzaj zamilkł i wrzucił książeczkę Tyczyny do muszli klozetowej. Z szuflady stołu wyciągnął zapalniczkę i kupę gazet; po kolei podpalał i rzucał do kibla różnego rodzaju „Fakty”, „Nostradamusa”, „Ukraiński Szlak”, „Bjelażu Kałduniu”, „Wysokij Zamok”, „Wanga” i inne pożółkłe bulwarowe czytadła, które płonęły nad podziw jaskrawym płomieniem.

Zanim Banzaj ponownie wziął się za poetykę i poezję, Darcia zeskoczywszy z telewizora, po cichu podpalała i wyrzucała skrawki czasopism dla kobiet gospodyń domowych i ślusarzy-inżynierów-pracowników-służby-społeczno-sanitarnej-hydraulików i innych robotów (albo dzieci, które wkrótce się nimi staną): „Lizę”, „Atdachni”, „Wot tak!”, „Tielieniedielju”, całe pokolenie czasopism „Kuł” („Mamy klawe szmaty i dziewczynki niczego sobie, a co u ciebie?”). I wreszcie w ostatniej kolejności poddała kremacji wrogi bastion - obronną ziemiankę, czyli „Natalie”. Zgasł następny jupiter, zjawił się obrazek na *gapidle* telewizora (do którego w niezauważalny sposób podłączono odtwarzacz wideo): widać było zmontowane przez Sampla surrealistyczne buñuelowskie programy-sny „Polje czudes”, „Uhadaj melodiju”, „CB--szoł”. Darcia znowu zaczęła powoli wyginać się na pudle.

Poezja robiła się coraz ostrzejsza, ale teraz nie lądowała już w muszli. Banzaj recytował z pamięci Pokalczuka, Antonycza i Andruchowycza, nawlekając ich wszystkich na nitki Rimbauda. *Czuwaki* z instrumentami grali teraz absolutnie sprzeczne melodie, głośno, przenikliwie i irytująco. Banzaj włączył „Międzynarodówkę” (na kilka sekund zamilkło wszystko - Samplowany, Pająk, Joe „Bonzo” Bonham) i z jamnika pociekły dźwięki

„Otpjetich maszennikow", następnie „Zaprieszczionnych baran-banszczykow" i „Ruki wwierch".

(Po sali przetoczył się pochwalny szept).

Banzaj zrobił głośniejsze i ludzie (z wyjątkiem nielicznych) wreszcie poczuli, że łapią prawdziwy odłot. Jurko niepostrzeżenie wziął wielki młot i z całych sił wałnął w magnetofon. Na wszystkie strony poszybowały iskry i drzazgi czarnego plastiku. Skrzynka zazgrzytała, ale nie zamilkła.

Zdechła od następnego uderzenia, a po chwili wylądowała na podłodze w postaci zdewastowanego kłębaka drutów, taśmy i plastiku.

Wyłączono następny projektor. Teraz, kiedy świecił się tylko jeden jupiter, dobrze widoczne były czerwone płomienie projektora i błyski stroboskopu. Chłopcy grali gorący nawiedzony szum, przywracając ludzkiej pamięci zapomniane, ale nieśmiertelny *noise-art*. Małajałam eksperymentować z dźwiękiem, zasłaniając otwór trąbki mokrą gąbką; Sempel bezlitośnie darł struny. Darcia znowu zeskoczyła z pudła i razem z Banzajem zrywali obrazy z kartonowych ścian, rzucali je na podłogę i rozdeptywali w proch. Na suficie wyświetlano slajdy z kolekcji pani Dzierży-sławy.

Zgasł ostatni jupiter. Jurko wziął do ręki młot. Salę rozpierał i zatapiał szum, który chlustał z głośników jak lawina. Na *gapidle* przewijały się kawałki różnych mydlanych oper i głupich programów. Od czasu do czasu widać było także wizerunki autorów performance'u. Te kadry sfilmowali podczas prób. Banzaj nadszarpniętym głosem wykrzykiwał wersy z Jamesa Douglasa Mor-risona, poety

*A mole i ateści podwójnie są święci
w śmierci.*

*Żyjemy i umieramy,
lecz śmierć nie jest końcem,
głębiej wnikamy we własny koszmar
rozgniatamy o życie
kwiatki namiętności,
przypadłszy do clitoris i członków beznadziei.
Ostatnia chwila przynosi zrozumienie
w pachwinie Kolumba,
wypełnionej zieloną śmiercią.
Chcę widzieć kurewski błysk łez*

*w twoich oczach.
O wielki Aniele-kurwo, byleś
dla mnie dobry.
Nadzy przychodzimy
I odchodzimy cali w siniakach.
Ty paskudniku, wielka zaszra dupo,
brudny zboczeńcu, który posuwa
własną matkę.
Wiesz, że kontroluje nas TiVi,
księżyc - zwierzę, spragnione krwi...*

I tak dalej. Pozostał tylko samotny stroboskop - oko cyklopa na sekundę przed śmiercią. Głośniki szalały od agresywnej muzyki, przelewającej się przez ich paszczęki. W strachliwych błyskach było widać Darcie, która groźnym ostrzem na kawałeczki rozdzierała obrazy. Banzaj zamachnął się ogromnym młotem i rąbnął w ekran akurat wtedy, kiedy pojawił się kadr z ich spektaklu. Miriady błyszczących igiełek poleciały na wszystkie strony, a z rozbitego *gapidła* wysypały się białobłękitne iskry (nie bez powodu Jurko ustawił krzesła tak daleko od sceny). Jeszcze jedno uderzenie... i korpus telewizora poległ. Nawet jeśli sala w jakiś sposób zareagowała, przez cały ten zgiełk nie było nic słyszeć. Wreszcie zgasł i stroboskop, a muzyka rozpuściła się w ciemności. Nastąpiło absolutne zaćmienie świadomości, jak po ciemnej stronie księżyca.

Nagle zabłyśły jupitery - wszystkie naraz, i widzowie ujrzeli pustą scenę. Bez aktorów. Pozostała tylko muszla klozetowa, z której wydobywał się siwy dymek. I kartonowe dekoracje. Drzwi wyjściowe otworzyły się bez niczyjej pomocy.

Po sali przetoczyła się fala wulgarnych przekleństw.

W ciągu dziesięciu minut pomieszczenie opustoszało. Aktorzy wyleźli zza kartonów, pogratulowali sobie oszałamiającego sukcesu i powoli zaczęli sprzątać.

Rozdział 2

1.

W stołówce Banzaj przysiadł się do pana Jaryłowa, biologa, i pana Lisuna od ukrężyka. Co prawda jeszcze jedno wolne miejsce znajdowało się koło pana Andrija, ale ten akurat zalecał się do pielęgniareczki.

Innokentij „Kiesza” Jaryłow opowiadał Lisunowi kolejny tłusty dowcip. W ogóle z natury miał skłonność do podobnych tematów. Rzekłbyś o nim: „boży wypierdek”.

- A ten tego pyta: „Grasz w oczko?” - zabawiając Lisuna, ciągnął Kiesza. - A ten: „Jasne! A czemu by nie!”, a ten tego wtedy: „A w pokera grasz?”, a tamten: „A to, gdzie jeszcze?”. Zrozumiałeś?

Sąsiad przepełniony towarzyską miłością do żartownisia szeroko się uśmiechnął.

- Albo jeszcze takie: koleś dzwoni telefonem i się pyta: „Halo, to pralnia jest?”. A jemu na to: „Aha, kurwa, jebalnia!.. tu jest MINISTERSTWO KULTURY, PALANCIE”.

Lisun głośno się rozrechotał, rozsiewając wokół drobinki gryczanej kaszy.

- Albo jeszcze takie... Myją się dwaj homo w łaźni, i tu raptem jednemu wypada mydło...

Ogólnie rzecz biorąc, skonstatował Banzaj, ci dwaj to całkiem niezli goście. Jednak, jak śpiewał minstrel, okazali się zbyt młodzi, żeby umierać, zbyt starzy, żeby tańczyć rock and rolla.

-Albo coś w tym stylu: podchodzi jakiś stary do młodego na ulicy i mówi: „Chłopcze, chcesz, dam ci cukierka, nazywa się «Asik»”. A chłopczyk na to „Lepiej byście, dziadku, poszli z tym swoim «Asikiem» dalej. Już mnie od tych twoich cukierków dupa boli”. Niekiepsko, nie ...? Albo taki żarcik. Polityczny moskalski dowcip. Zagnieździły się w lesie dwa brodate zające i zaczęły wykańczać wszystkie zwierzaki, do lwa, cara zwierząt, się podkraść...

Banzaj usiadł naprzeciwko Kieszy. Ten zaś ciągnął: -Wtedy Leoś zebrał co większe sztuki i poszli na te brodate zające. Zające ich wszystkich umoczyły, a lwa związały i trzymają nad przepaścią. A ten mówi: „Słuchajcie, braciszku, wypuście mnie, ja tutaj niby jestem carem zwierząt”. A one mu na to: „*Zamknij mordę*, głupie bydle! Tu carem jest Szamil Basajew!”... Niezłe, co?

Lisun, rechocząc, pokiwał głową. Kiesza jeszcze trochę pomieszał łyżką w rzadkiej zupie, oparł na dłoni szczękę i przeniósł strapione spojrzenie z odtłuszczonej wody na nowego

sąsiada, a potem na pana Andrija, który ciągle jeszcze smalił cholewki do pielęgniareczki. Pielęgniareczką miała jasne blond włosy, drobno zwinięte, niczym liście walisnerii spiralnej, renuarowsko bladą cerę, kusy, sprężysty zadek, a na imię Aliska. Aliska była anielsko miłym dzieckiem i właśnie wesoło wymawiała się od pana Andrija namawianki do przespanki.

- Ale stary daje - ni to pochwalnie, ni to sarkastycznie przemówił Kiesza.

W milczeniu przysiadł się do nich Chanygin-Tyczynda, burknąwszy sam do siebie: „Smacznego”.

- M-ta-a-a... Przytaknął sobie i Lisun. Jego rozmarzony wzrok błdził po piersiach Aliski. - A tak nawiasem mówiąc - raptownie przerzucił wzrok na Banzaja - to dawny gebista, donosiciel, konfident i podwójny agent Zbisek...Tak-tak.

Banzaj z niedowierzaniem popatrzył na Kieszę, czy ten aby nie podśmiewa się z pomówień Lisuna. Ten zaś z mądrym wyrazem twarzy na potwierdzenie pokiwał głową.

- Ta... kapuś śmierdzący... Dokładnie-dokładnie. Przeszedł przez łapy Ka-Ge-Be, macki eN-Ka-Wu-De...

- eM-Ge-Be^{*} ... U-Ha-Wu-eR^{**} ...

- Trawił się w żwaczu^{***} Smiersza^{****} ..., był w kotle eS-Be, dziady też go tam, wiecie... ten tego, donosiciel ... naszych kablował. Był najlepszym kumplem międzynarodowego szpiega Kuznieco-wa, śmierdzący kapuś ... a patrz-patrz-patrz! Jak koło Aliski się kręci, skubany czarci lokajczyk.

- Andriucha nasz koło Aliski - jak ryba w wodzie - z nie byle jakim podtekstem dodał Lisun i na potwierdzenie kiwnął głową.

Kiesza aż nie zdołał donieść łyżki do ust. W tej pozycji zamarł:

^{*} MGB (Ministerstwo Gosudarstwiennoj Bezopasnosti) - Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego, organ bezpieczeństwa działający w Związku Radzieckim w latach 1946-1953 (przyp. tłum.).

^{**} UHWR (Ukraińska Hołowna Wyzwolna Rada) - Ukraińska Główna Rada Wyzwoleńcza - zjednoczenie ukraińskich organizacji politycznych, utworzone w 1944 roku (przyp. tłum.).

^{***} Żwacz - pierwszy i największy odcinek czterokomorowego żołądka przeżuwaczy. Odbywa się w nim fermentacja (przyp. tłum.).

^{****} Smiersz (skrót od *smiert' szpionam* - śmierć szpiegom) - radziecki kontrwywiad wojskowy, powstały w 1943 r., oficjalnie rozwiązany krótko po wojnie (przyp. tłum.).

- Jak larwy w gównie - wycedził i wepchnął łyżkę do paszczy. A potem burknął, przełknąwszy zupę (znowu mając na uwadze coś pieprznego): - *Szczi*^{*}, chociażbyś płukał w tym bycze prącie.

Pan Witalij tylko odsunął się na skraj ławki i lękliwie strzelał wzrokiem to na jednego, to na drugiego sąsiada.

- Posłuchajcie - wtrącił się Banzaj, wykorzystując chwilę ciszy w tej strzelaninie replikami. - Jak sądzicie, co się stało z Dimą?

Biolog wzruszył ramionami.

- A co, co? Odwaliło mu. Mózg mu się zlasował. Czemu by nie? Codziennie tyle bzdur się nasłuchać. Jak dziad przeleciał licealistkę... Też mi coś. Hm.

Jeszcze raz hmmmknąwszy, Kiesza zamilkł, pijąc kompot. Widać było, że przypadły mu do gustu własne słowa i że w tym momencie sam byłby gotów wysłuchać kilku historyjek o licealistkach przelecianych przez dziadów... Dopiwszy kompot, dodał:

- Dziwne to by dopiero było, jakby mu nie odwaliło. Tyle gówna, aż się do głowy nie mieści... - niespodziewanie Kiesza kichnął, nie zdążywszy zasłonić ust. Podniósł do góry kciuk i wyraźnie kiwnął:

- O, prawdę mówię... faktycznie.

- Ale wie pan - wtrącił Witalij - teraz rzeczywiście jest w koledżu inna atmosfera. Nieprzyjemna taka, jakaś taka zaghożona, wie pan...

Banzaj zrobił się czujny. Podniósł oczy i niespodziewanie dla siebie dojrzał w twarzy Lisuna ukryty strach. Strach zrozumienia?

- Może na zmianę pogody? No... burze magnetyczne, kto go tam wie... - Jurko zaproponował własną wersję.

Pan Witalij spojrzał na sąsiada tak dzikim wzrokiem, jakby ten chciał na dziesięciolecie tzw. Niepodległości wystawić musical o historii Ukrainy z Wicynem, Nikulinem, Morgunowem w rolach odpowiednio Kyja, Szczeka oraz Chorywa^{**} i Borysa Moisiejewa w roli siostry ich Łybid.

- Nie wiem, ja tam nic nie czuję - z lekceważeniem w stosunku do wszelkich tam fikcyjnych przeżyć powiedział biolog. - Ot, słuchał Dimka wszystkich bzdur i mu odwaliło... M-ta-a-a... dziad i córkę. Jak mówił jeden mój absolwent, „nie trzeba ogarniać nieobjętego”...

-Błok. Albo Puszkina - niepewnie wtrącił się pan Witalij.

^{*} *Szczi* - tradycyjna rosyjska zupa warzywno-mięsna.

^{**} Kyj, Szczek, Choryw, Łybid – legendarni założyciele Kijowa (przyp. tłum.).

- Czyje?

-Tak powiedziałem... - pan Witalij z trudem przełknął ślinę. Biolog wywoływał w nim zabobonny strach. - No... tak, według mnie, pisał w jakimś wierszu Błok... albo Puszkina.

-Proszę *kanieszno* wybaczyć, Towarzyszu Inteligencie, ALE TO NIKOGO *NIEJEBIOT!*

Chanygin Tyczynda głośno uderzył łyżką o talerz, podniósł się z hukiem i odszedł. Lisun pytająco spojrzał na kumpla.

- A ty co się na mnie gapisz? On jest przecież taki psychiczny... on, rozumiesz, niebezpieczeństwo czuje. Skąd się, taki zdol-niacha, u nas wziął?

Lisun bezradnie wzruszył ramionami, wstał i odniósł brudny talerz. Za chwilę znikł też Kiesza. Pozostał tylko Banzaj. Sam na sam ze swoimi kiepskimi przeczuciami.

2.

Banzaj przypomniał sobie, że wielki przysiółek Żdanowo nie bardzo różnił się od Miedzianych Buków. W obu wypadkach wysiadającego na peron Banzaja witał zgarbiony dziadyga, który mocno ścisnął w prawicy swój członek i wylewał na ziemię jadownicę żółty mocz. W obu wypadkach był straszliwy upał i uryna praktycznie natychmiast wysychała. Odlawszy się, w obu wypadkach dziady chowały do rozporka swoje martwe kawałki mięsa, porządkowali ubranie, oglądając się i poochując, i obserwowali rozżarzony wagon Jugo-Zapadnoj Żelieznoj Darogi.

Rok wcześniej (biorąc za punkt odniesienia czas, kiedy to Banzaj pojechał do Żdanowa, czyli rok Pański 1995) w mieszkaniu Jurka osiedlili się chłopcy spod Mariupola. Doszło do tego w ramach programu wymiany uczniów: dzieci ze Lwowa jechały do Izmaïła, Doniecka, zaś uczniowie stamtąd - do nas. Ojciec Banzaja, pierwszy raz od siódmej klasy wybrał się na wywiadówkę i przepełniony Duchem Oświecenia, postanowił przygarnąć dziecię z Południa do swego domu.

W ten oto sposób Banzaj zapoznał się z Arkadijem „Kobrą” Swarożycem, znanym mieszkańcem *wielikawo* przysiółka Żdanowo.

Po roku Banzaj razem ze swoim kumplem Deszczem zostali zaproszeni przez Kobrę do jego miłego, małego, rodzinnego miasteczka Żdanowa, gdzie czekały ich niezapomniane dni.

Banzaj i Deszcz wyszli na peron, który był wyludniony (jeśli nie brać pod uwagę przygarbionego dziadygi) i straszliwie gorący. Pociąg natychmiast odjechał, jakby się bał dłuższy czas pozostawać na tej stacji.

- I co teraz, stary? - zainteresował się Deszcz. Jego włosy zlepił pot, a twarz buchała czerwienią. Banzaj czuł się nieco lepiej. I raptem...

Właśnie tak, raptem. Kobra pojawił się na horyzoncie jak kreskówkowy cowboy Lucky Luck, wypełził z mirażu, niczym wschodzące słońce. To był Kobra we własnej osobie i nikt inny, dlatego że nikt inny nie nosiłby porwanych džinsów, takiej wyświechtanej, starej džinsowej kurtki i takich długich tłustych włosów jak on. W rozedrganym upale przypominał demona undergroundu, niebacznie wypuszczonego z butelki na świat rękami jakichś punków.

Nie podali sobie rąk. Oni się objęli, bo, cholera, naprawdę tęsknili za sobą. Kobra nosił na szyi błyszczącą stalową pacyfkę. Jurko od razu poznał: rok temu Kobra wymienił ją z Deszczem na plakat, który po dziś dzień wisi na ścianie w pokoju przyjaciela. Są na nim disnejowskie zwierzątka, które wesoło ganiają się między drzewami Dobrego Lasu, a pod jakimś rozłożystym dębem naga Śnieżka ujeżdża Księcia w porywie chuci, odrzuciwszy głowę ku niebu. Pod plakatem disnejowskie litery pytały:

Kto zabił Bambi?

Sławne to były czasy... Kobra zaprowadził ich do domu, gdzie mieszkał sam z dziadkiem. Dziadek był bezrobotnym matematykiem, zarabiał, udzielając lekcji wszelkiej maści debilom. W czasie wolnym pasjonował się kulturą Ninja. Jego ciało władało zaiste nieeuropejską plastyką. W malutkiej pracowni toczył dla siebie miecze, noże, gwiazdki do rzucania i trójzęby do przebijania aorty. Kobra powiedział, że w jesienne wieczory jego dziadek wbijał się we własnoręcznie uszyte spodnie, zakładał maskę, przywiązywał do pleców miecz i szedł na spacer z Shiwą - ogromnym czarnym nowofundlandem. Kobra powiedział, że kiedyś jego dziadkowi przepali się niewłaściwa synapsa i wówczas wyrżnie całe miasto. Zresztą nie było tu nawet specjalnie kogo wyżynać - wszyscy młodzi ludzie wyjechali do Mariupola na zarobek, a zostali tylko starcy i dzieci. Te ostatnie bez problemu można policzyć na palcach: Warja, Ania, Masza i Julia. Pierwszych dwoje miało po dziesięć lat, Masza -dwanaście, Julia - trzynaście. Kiedy Deszcz zainteresował się, jak Kobra sobie tu radzi bez dziewcząt, ten lekceważąco rzucił, że Julka jest zawsze. Deszczowi odechciało się dalszych pytań.

A jeszcze dziadek lubił zieloną herbatę i medytacje ze spoglądaniem w błysk słońca odbity na ostrzu swej broni.

Jednak najciekawsze nie wiązało się ani z Julcią, ani z dziadkiem-Ninją-matematykiem. Najciekawsze okazało się to, co było za miastem. Ogromne, bujne, dziewicze plantacje konopi samosiejki. Nieogarnięte marzeniem łąny konopi.

Zajarli już pierwszego dnia. Przypalali potem przez cały następny miesiąc i jeszcze jeden dodatkowy (który Banzaj wyprosił u ojca w rozmowie telefonicznej), gwizdząc: „Przyzwyczał się, żuraw, do babcinych konopi”.

Dzień w dzień.

Używali trawy na wszelkie możliwe sposoby: smażyli, gotowali w mleku, ucierali z cukrem i palili, palili, palili. Upalali się tak bardzo, że znosiło ich na niezbadane poziomy percepcji. Banzaj tak się uspawał, że widział raj palaczy: ogromne czerwone słońce zachodzi za horyzont, oświetlając sylwetki konopi. Wysokie i postawne, nęcące i proszące, by ich zakosztować. I głośna gra na cytrze. Boskie dźwięki, niewiarygodnie przenikliwe wschodnie dźwięki cytry.

Było jeszcze mnóstwo bardzo ciekawych jazd, ale jedna z nich pod koniec lipca zmusiła Banzaja do gwałtownego zerwania z trawą i wyjazdu do domu.

Kiedy się raz upalił, miał dziwną wizję:

Jakiś człowiek w białych spodniach, z brodą i długimi hipisowski-mi włosami podawał mu krzak konopi - cały, z korzeniami, Ustkami i „szyszeczkami”. To była żeńska roślina, która daje „smołę”. Człowiek w bieli wręczał ją Banzajowi i mówił: weź, ona jest cała twoja.

Początkowo Jurko pomyślał, że to Chrystus.

Potem odkrył absurdalność takiego przypuszczenia i skuł go strach. Człowiek w bieli, zachęcając łagodnym uśmiechem, natarczywie podawał mu konopie. Oczy pana w bieli błyszczały radością, prosiły i rozkazywały.

A potem Banzaj zaczął zapadać się w wieczność. I gdzieś w głębinach wieczności, po kilku stuleciach lotu, wpadł w olbrzymie bagno, niczym w pierwsze morze Thetis. Leżał z twarzą zwróconą ku niebu, czując jak go wsysa. Pamiętał czerwony firmament nad głową i zaduch błota, ciężkie miazmaty wydobywające się z cuchnących wód. I wtedy przyszedł do niego po tym grzęzawisku inny pan - młody, smagły, wyczerpany dalekimi bojami, ubrany w podarte desantowe moro. Nachylił się nad Banzajem i wyciągnął do niego rękę. Człowiek był bardzo silny. Życiowa energia biła od niego falami. Banzaja zasysało coraz głębiej i głębiej.

I głębiej.

*Człowiek mógł się nachylić niżej, żeby Jurko miał szansę dosięgnąć jego ręki, jednak tego nie robił. Na rękawie jego munduru znajdowała się bezsensowna naszywka: Pokojowe siły ONZ, oddział specjalny **International Northern Rescue Initiative**.*

-Proszę mnie wyciągnąć! Proszę mnie wyciągnąć, ono wsysa!

-Pomyśl, czego chcesz. Kogo wybierasz - jego czy mnie?

-Pana! PANA! Proszę mnie wyciągnąć!!!

Trzęsawisko prawie wessało Banzaja, ale wojskowy nie śpieszył się z podaniem ręki.

-Przysługa za przysługę. Wchodzisz w taki układ?

- Tak! Czego pan sobie tylko życzy, ale proszę mnie wyciągnąć!

Młody wojskowy z Sił Pokojowych nachylił się niżej, żeby Jurko złapał wyciągniętą doń rękę.

Wojskowy bardzo silnie go pociągnął (Boże, jaka ulga, niewiarygodne ukojenie!) i

Banzaj skoczył z miejsca i zaczął się miotać po bezludnej plaży, w pobliżu której palili.

Krzyczał na całe gardło, strasząc mewy i śmietnikowe koty.

Kiedy już mu przeszło, spakował rzeczy, objął Kobrę, wziął maksymalnie uspanowanego

Deszcza pod pachę i pojechał Jugo--Zapadną Żelazną Darogą do Lwowa.

Od tego czasu, aż do niedawna, trzymał się od trawy z daleka.

3.

To, co widziała Darcia, było godne uwagi. Przynajmniej jeśli chodzi o znaczenie. Jej wizja była tak samo ważna, jeśli nie ważniejsza od banzaj owej.

Widziała na własne oczy stworzenie świata.

Z malujących się przed zamkniętymi oczyma fantasmagorycznych arabesk formowała się przestrzeń. Darcia wyczuła, że otwiera się przed nią próżnia. W próżni

(Próżni?)

ujrzała starego siwobrodego człowieka w znoszonym ubraniu z grubej tkaniny, pomalowanej w pstre wzory. Człowiek z długimi siwymi włosami i brodą wykonywał jakiś' archaiczny taniec z przytupami i podskokami. W rękach trzymał ogromne dudy z czerwonej skóry. Tańcząc, wygrywał na nich dziwne, cudaczne melodie, które wciągały Darcie w otchłań próżni.

Próżnia była białą mgłą.

Stary dudziarz wygrywał, tańcząc po obwodzie koła. Do dźwięków dud doszły huczne uderzenia bębnów. Dzięki arytmicznym, urzekającym melodiom rozwiewała się mgła.

(Darcia tańczyła razem ze starcem. Krążyli w pradawnym tańcu po zamkniętym kręgu)

i naokoło nich zajaśniało Bycie, błyszczące od mokrej niebieskiej ciemności.

(niech się stanie światło)

Stało się światło. Przenikało do najgłębszych komórek, na wylot przeświecało oddalone neurony, uwalniając świadomość. Melodia narastała, potężniała i stawała się wszechogarniająca. Przed oczami Darci rozbłyskiwały dziwne zjawy wykonujące ruchy synchronicznie z muzyką.

Widziała stworzenie tysiąca wszechświatów, ciemności, galaktyk, formowanie się gwiazd i systemów.

Ujrzała wieczność. Kiedy muzyka osiągnęła apogeum, kiedy stała się potężną apoteozą wszystkich melodii, Darcia poczuła, że zaraz stanie się coś niezmiernie ważnego.

Z nicości wybuchło w nasz Byt Światło, które wszystko zatopilo bielą.

Widziała dudziarza przy wrotach Gwiazdy.

4.

Pan Andrij niespodziewanie zwołał zebranie. Obecność obowiązkowa. Poprzednia lekcja napiętnowana była straszliwą nudą. Kiesza zawołał Banzaja, żeby ten posiedział z jego dziećmi na lekcji i *kontrolował pracę kontrolną*. A potem biolog osobiście miał wyjaśnić dzieciaczkom kilka sprawek.

I chociaż klasówka była szczególna, miała bowiem postać złożonych, niejednoznacznych tekstów formatu „Wpadka - 6.0”, po trzydziestu minutach pierwszej lekcji praktycznie wszyscy skończyli. Zostało blisko półtorej godziny siedzenia, nudnego obserwowania Kieszy, który pociągając nosem, wypełniał dziennik lekcyjny.

Jurko usadowił się w ostatniej ławce, która sama w sobie była bardzo interesująca. Na podrapanej fornirowej powierzchni wyryto igłą od cyrkla długaśny panegiryk. Zaczynał się od słów wkradających się w łaski: „Drogi druhu prabellum, // przez Boga twój przykład dany”, a kończył się szaleńczo-optimistycznym „Przez łąki, przez brody// Kurwa dresiarzka uciecze!!!”. Części mieszczącej się między tymi dwoma cytatami nie warto przytaczać, choć ostatnia nosi otwarcie faszystowskie zabarwienie i przeciążona jest ekstremistyczno-wulgarnymi przekleństwami. Obok panegiryku znajdowały się także lakoniczne perły artystycznego konceptu, jak na przykład: „Panki brały, panki chlały, panki wszystko w dupie miały”, czy na przykład coś takiego: „Nie pankowy, nie hipiski, my jesteśmy aktywistki, uprawiamy seks lesbijski”.

Banzaj podparł głowę rękoma (była ciężka i próbowała boleć) i lustrował swoje dzieci uważnym spojrzeniem:

Niski albinos, którego nie bez kozery uważano za czciciela szatana, głęboko pochylił się nad klasówką, przytulił do ust złożone w czółenka dłonie i szeptem modlił się: „Wujku Szatanie, *zrób tak, żebyśmy napisali dobrze klasówkę*”...Początkujący lowelas Ihorczyk w sennej zadumie miażdżył tępy koniec ołówka zębami, regularnie spluwając na parapet zaślinionymi drzazgami.

Ira Ryba-Słońce Korkusza wybieliła swoje loki. „Nic tak nie upiększa kobiety jak perhydrol” - Banzaj przypomniał sobie stare porzekadło.

Darcia podparła głowę i smutno patrzyła przez okno. Od czasu do czasu ukradkiem oglądała się przez ramię, szukając oczu Banzaja.

Pająk Małajałam w zadumie poczytywał książkę, na której grzbiecie widniał tytuł: „Kota Mrucysława poglądy na życie”. Czasami tak ciężko wzdychał, że nasuwały się wątpliwości co do tego, iż lektura „Kota Mrucysława” wprawia Pajaka w taką estetyczną ekstazę. Tak naprawdę pod atlasową superokładką przyczytał się zbiór erotycznych nowelek Jurka Pokalczuka „To, co na spodzie”.

Samplowany, którego włosy zdążyły już nabrać soczyste fioletowych tonów, gryzł twarde publiczki, rozpylając okruszki po całej ławce. Potem przez przypadek wyjątkowo suchym kawałkiem skaleczył się w dziąsło i spluwał czerwoną od krwi śliną na ostatnią stronę zeszytu do literatury, zabawiając się tworzeniem dziwacznych, spienionych od bąbelków powietrza wzorów.

Jego niechęć do literatury miała głębokie korzenie - kiedyś Jurko miał okazję zobaczyć dziennik pracy twórczej Andrija Samplowanego, ucznia klasy jedenastej „g”. Na pierwszej stronie, pod słowami:

Praca domowa

Utwór na temat jesieni

były równo trzy linijki utworu, wszystkie dokładnie pokryte czerwonymi nauczycielskimi poprawkami. Pod utworem była maleńka epikryza (powtórny kryzys w przebiegu choroby), taki *bonus track* od Sampla:

Wybacz ma nauczycielko, Że napisałem tak maleńko.

O ocenie nawet jakoś nie wypadało mówić.

Raptem w klasie zaczęły się ruchy Browna. Po kilku minutach do Banzaja dotarł wielce interesujący arkusik, na którym ktoś napisał:

„Napiszcie, co chcielibyście teraz robić, i przekazcie dalej” Każdy w zauroczeniu powypisywał swoje marzenia. Kiedy arkusik doszedł do Banzaja, cały był zalany różnymi nitkami charakterów pisma i gatunków atramentu:

Chcę być teraz w domu

Chcę francuskiego masażu w ciepłym pokoju w wykonaniu francuskiego masażysty

Chcę leżeć w łóżku 4 na 4 i spać

Chcę pizzę koktajl i Genyka

Chcę się najarać, nabuchać, najebać pograć na gitarze

Chcę willę, przejechać się HamMerem, przespać się Z fajnym pacanem

Chcę was wszystkich!!!

Chcę seksu, śniegu, spokoju, pizzy, fajnej książki, deszczu, spokoju, seksu, seksu, seksu.

Chcę leżeć na łóżku pośrodku Oceanu Spokojnego. Tylko, żeby przyroda tam była CICHO

Chcę zapalić, jeśli ktoś ma, to niech przekaże zapalniczkę

Chcę: czarnego kotka z internatu, słoneczka, lata

Chcę wielki kufel piwa, posłuchać muzyki, wakacji, i spać. I jeszcze chcę spierdolić do mamy do Włoch

Chcę wyruchać Mariankę z 11 B. A ty, Sempel?

A ja chcę siku

Chcę psa (sukę świętego Bernarda).

Bardzo chcę do domu.

A potem zadzwonił dzwonek i dzieciaki się rozbiegły.

A w głowie Banzaja zrodziło się nieprzeparte pragnienie, by upaść na kolana i wyć z rozpaczy. Cokolwiek by zrobił, wszystko wyglądało nierealnie. Jakby wypadł z rzeczywistości.

Na dużej godzinnej przerwie wszyscy nauczyciele skupili się pod drzwiami dyrektora i w napięciu oczekiwali nieprzyjemności.

Na dworze padał śnieg. Po raz pierwszy i tylko w jednym miejscu na całej Zachodniej Ukrainie. Puchate śnieżynki ciężko padały na ziemię i od razu topniały, jak poobiednie sny. Banzaj stał obok rozmarzonego pana Jarosława, mruczącego do białego koloru na dworze.

- O, pójdę na emeryturę i pojadę na Antarktydę, do jakiejś bazy, gdzie jest dużo śniegu - marzycielsko przemówił do Jurka. - Będę hodować polarne krokodyle... Ale nie dla ciebie!...

Zdechną gady!

Banzaj niezauważalnie skrzywił usta. Strach wczepił się w niego jak rzep i nie opuszczał go nawet na chwilę. Wrażenie, że wszystko wokół jest tylko kolejnym niespodziewanie realnym snem, było nie do wytrzymania. Strach wlewał się ciemnym gęstym miodem w serce, potem przeciekał i zamazywał wszystkie wnętrza. Ciężki i niezwykły.

Zebranie się opóźniało, masywne, opancerzone drzwi z izolacją dźwiękową nie chciały się otworzyć. Ciekawe, co *tam*, za nimi robi pan Andrij? Melancholijnie spogląda na śnieżynki, z pamięci gra na altówce „Skrzypka na dachu” i przypomina sobie łagodne, pełne ciepła spojrzenie Aliski, jego Jedynej Prawdziwej Miłości? Czy może z dzikim wyrazem twarzy masturbuje się nad grudniowym numerem czasopisma „Miodowi chłopcy”? Kto to może wiedzieć...

Drzwi otworzyły się. Wszyscy weszli do środka. Zamiast oczekiwanego zapachu spermy Banzaj wyczuł aromat przepalanej kawy. Lud pedagogiczny rozsiadł się na wolnych fotelikach za wielkim stołem w sąsiadującej z gabinetem sali. Pan Jarosław dalej spoglądał w okno, nauczycielki angielskiego tuliły się do siebie jak płochliwe kurki, a poważny stary Hiszpan - rasowy chasyd z dobrą twarzą Szolema Alejchema trzymał wskaźnik zakończony dłonią. Kiesza opowiadał Polusunowi dowcipy o blondynkach.

Pan Andrij zaczął w swoim stylu. Czyli nie po prostu z daleka, ale z BARDZO daleka. Przez to BARDZO, i bez tego przestraszone, lektorki angielskiego złapały się pod stołem za ręce i co sił wciskały się w dermowe oparcia krzeseł.

A pan Andrij się nakręcał. Jego głos nabierał głębi, wielość odcieni intonacyjnych Przemowy zabijała nawet profesjonalistów, zaś profanów rozdzierała na kawałeczki. Dziś był szczególnie zły, dzięki czemu jego artyzm zyskiwał na sile.

I to wszystko nie było na niby.

-Wszyscy jesteście tacy khm... mądrzy, ta? Myślicie, że ja khm..., nie wiem, czym wy się zajmujecie, wy wszyscy, tylko by khm... nie wykładać, jak ma być! A wy... - Dyrektor zrobił wirtuozerskie pas i spojrzał na Jurka. Nachylił się tak blisko, że wyglądało na to, iż zaraz spróbuje Banzaja pocałować. Czy raczej pochwycić porządny kawałek nosa jednym potężnym kłapnięciem szczęk. Kiedy Banzaj zajął mu w oczy, jego serce zlodowaciało i dziko zadrapało w przeczuciu nieprzyjemności.

- ...a PAN, Jura, khm... to w ogóle! Upadł w moich oczach khm... poniżej *wszelkiego poziomu!* Po co mówi pan ósmoklasistom, że mycie rąk jest szkodliwe?

Taki eksces rzeczywiście miał miejsce, ale Jurko nie poczuwał się do winy:

-No, ... khm... kiedy myjemy ręce, zmywamy nie tylko chorobotwórcze bakterie, ale także te przydatne... Prawdopodobieństwo złapania grzybka czystymi rękami jest znacznie większe...

Kiesza głośno się rozrechotał, aż odchylił do tyłu głowę i poklepał stół. „Grzybek! Oj, nie mogę, grzybek!” - omal nie zachłysnął się śmiechem.

- Cicho! - pan Andrij ze złością uderzył w blat biurka. Biolog wzdrygnął się i natychmiast zmilkł. Po sali przetoczyło się echo. Nawet Banzajowi zrobiło się nijako; płochliwe anglistki gotowe były siusiać wrzątkiem.

-A czy zalecał pan także obsianie działki konopiami? Nie jakiejś tam przyzagrodowej działki, a SZKOLNEJ GRZĄDKI!

-No, zasadniczo khm, tak. Bo z konopi można otrzymać nie tylko to, co pan myśli, ale także papier wysokiej jakości, włókna, z których można utkać cudowny materiał, sznurki i...

-Ale mało khm... tego! - dyrektor jak narrator zrobił dłuższą pauzę. - Pan jeszcze i zalecał się khm... do swoich khm... UCZNIÓW!!! *Khm!..* a to już w ogóle KHM!.. czort wie co! To nie są khm... zabawy! To ... khm... po prostu KARYGODNE!!!

Banzaj cały zdrętwiał - od koniuszka nosa aż do małych palców u stóp.

-Co pan ma...

Biolog znowu wybuchł szaleńczo radosnym śmiechem. „*Karygodne!* Oj, nie mogę, *karygodne!*”.

- CICHOO-O-O! - rozniósł się ogłuszający trzask od uderzenia po lakierowanym drewnie. Zrobiło się cicho-cichutko, nauczyciele jakby przenieśli się do innego świata, zabrawszy ze sobą wszystkie, aż do ostatniego dźwięki.-Cisza absolutna! Sądźcie, że wy wszyscy jesteście tacy khm...mądrzy tu, żeby mi przerywać? Ja was, khm... khm... ot pan, *Jura*. Ja na ten przykład mam khm... *zapasowy aerodrom*, pan ma? He? Czy ktokolwiek z was ma *zapasowy aerodrom*? Co wszyscy jesteście tutaj tacy mądrzy? Żeby mi przerywać?

Zapadła martwa cisza. Słyszać było, jak u sekretarki cicho szumi komputer, wyśpiewując swoje krzemowe kolędy w dialekcie Java-ńskim. Któraś z nauczycielek języka angielskiego gwałtownie chlipnęła.

- A nas nie trzeba straszyć - niespodziewanie przemówił pan Jarosław. - Wszyscy mamy *zapasowy aerodrom*. Nie tylko pan jeden. Wszyscy. O tam - chemik kiwnął głową w stronę miedziano-bukowego cmentarza.

Zrobiło się jeszcze ciszej, cicho-cicho, jak w uchu umarłego. Nie mógł temu zaprzeczyć nawet dyrektor. Zadzwoił dzwonek na lekcję.

-Na lekcje! Z panem, khm... *Jura*, jeszcze sobie porozmawiamy... po tej lekcji... khm. Zrozumiano?

Banzaj wyszedł z gabinetu na miękkich nogach. Nie odstępowało go poczucie, że wszystko wokoło jest snem. Szczególnie, kiedy zamknie się oczy.

Dopiero to nie było snem. Jak na razie.

5.

Banzaj ostrożnie zapukał, otworzył drzwi i wszedł. W razie czego: nie wiem, nie było mnie, nie brałem. I w ogóle, panie An-driju, co pan ma do mnie, mojego libido i do moich upodobań. Hołub pan sobie swoją Aliskę - na przerwach cichcem wal pan konia, a mnie proszę zostawić w spokoju.

Takie rozważania pomagały tylko na krótko. Banzaj dokładnie wiedział, że nie będzie miał siły, żeby powiedzieć coś *takiego* panu Andrijowi.

Dyrektora nie było w gabinecie.

-Przepraszam, panie Andriju?... - Wizja odroczenia nieco podniosła go na duchu.

- A-a-a, Jura - dało się słyszeć z sali obok. - No-no, proszę wejść.

Jurko wciągnął powietrze i przeszedł kilka kroków do sąsiedniego pokoju. W dyrektorskich apartamentach pachniało papierosami i drogimi japońskimi perfumami. Ostrożnie zajrzał do sali. W końcu stołu stał odwrócony do ściany fotel z wysokim oparciem. Tam zapewne siedział pan Andrij. „Niezdrowy pociąg do teatralizacji” - zanotował sobie Banzaj.

- Proszę, proszę, Niech pan siada.

Fotel odwrócił się i pokazał swój kałdun. W jego miękkich, zacisznych wnętrznościach pogodnie usadowił się Korij. Dziki grymas jak zwykle wypełził na jego twarz. Z oczami było już lepiej - zeszyły krwawe obrzęki. Korij radośnie zarechotał. Reakcja Banzaja najwyraźniej mu się spodobała. Położył nogi na stół. Banzaj śledził te wydarzenia jak zaczarowany. Na podeszwach saperskich butów zaschło czarne błoto. Kilka płytek brudu odlepiło się i upadło na wypolerowaną powierzchnię.

- Nie spodziewałeś się, co?

Banzaj przecząco pokręcił głową. Zadrapało go w płucach i ścisnęło w kroku.

-Rozumiesz, tu wyszła taka delikatna sytuacyjka... panu Andrijowi trafił się pewien problemik... Z własną żoną. Jakaś suka doniosła jej o Alisce. Rozumiesz? Jednym słowem Andrij poprosił, żeby go zastąpić i przeprowadzić z tobą wychowawczą rozmowę. Tak powiedział: „Pogadaj z tym Jurą, bo mnie już wkurzył”. Tak powiedział, słowo honoru.

Jurko zbity z tropu ściągnął brwi.

- Sam rozumiesz - no nie może człowiek... Musi pokazać w domu, kto jest gospodarzem. Bo bez tego do niczego się nie dojdzie... Tak-tak, każdy musi znać swoje miejsce... Moja stara zapomniała - i masz tobie. Pomyliła, rozumiesz, puszki. Jedna była z kawą, a druga z trutką na chrabąszcze. Ale, to tak. W życiu, Banzaj, jak na długiej niwie, wszystko się może zdarzyć.

Banzaj powoli odwrócił się, żeby wyjść. Drzwi okazały się zamknięte.

-Tak-tak. Przede wszystkim, jak to mówią, znać swoje miejsce. Nie nażerać się. Słyszysz, Banzaj? Jeśli wiesz, gdzie jest twoje miejsce w świecie, unikniesz wielu nieprzyjemności. I nie śpiesz się tak bardzo, bo wszystko jedno, jak to mówią, „życie snem”. Słyszałeś takie powiedzenie?

Banzaj w milczeniu kiwnął głową. W towarzystwie Korija robiło się coraz nieprzyjemniej. Od starego wiało chorobą. Coś toczyło jego świadomość, jak kornik drewno. Banzaj zamknął oczy i bardzo, bardzo mocno próbował się obudzić.- Co , n ě wyspało się? A może to wszystko - SEN? - zapytał Korij, teatralnym gestem pokazując gabinet, i wesoło zachichotał. - A jeśli mamy już szczerze pogadać, to przyszedłem tu załatwić własne interesy. Między tobą i mną. *Wiesz, a propos czego.* Pamiętasz, jak wtedy lataliśmy w *Azathocie*, hę? To były, kruca fuks, dni... A teraz, kiedy możesz wszystko, jakoś nawet nie jest ciekawie, jak się wydawało... brakuje romantyzmu. Nudnawo... Ale, kłamię. Kłamię, to jest ciekawe i wcale nie jest nudno. Przysięgam.

„On oszalał, jak szczur w schronie przeciwlotniczym” - pomyślał Jurko.

- Tak, ot, coś zaszedłem nie tam, gdzie chciałem. Miałem cię zapytać: po jaką cholere ty tu jeszcze jesteś? Przecież cię niby ostrzegałem - nie spuszczaaj mi się do mózgu. Nie graj w głupie gierki. Ale nie. Ty musiałeś słuchać tego, co ci różni durnie mówią.

-Skąd pan może to wiedzieć? I w ogóle, po jakiego diabła... to wszystko... ta cała komedia? Słyszałem głos dyrektora, gdzie on jest? - wreszcie odważył się zapytać Jurko.

Korij znowu się tylko rozrechotał.

- Nieważne. W mojej obecnej sytuacji WIEDZIEĆ - to tak, jak oddychać. Andrij jest tam, gdzie był, a tu mam pytanko na oblanko - gdzie ty jesteś? Ale przyjemności na potem. Teraz interesy, bo czas nie czeka. Długo się zastanawiałem, jak cię tu lepiej kopnąć w dupę, żebyś tylko nogami zafurczał do swojego Lwowa. Miasto mamy nieduże, ale bez odchyłeń. Każdy każdego zna. Nikogo zbędnego nam nie potrzeba. A ty niespodziewanie pokazałeś coś *takiego* -

Korij w udawanym zdziwieniu pokiwał głową:

- ...że się aż nie spodziewałem. I pomyślałem: „Niech se mały ze mną przed śmiercią pogania”. Także postanowiłem dać ci szansę. *Wiesz, jakie są stawki w tej grze, prawda?* Wiesz, wiesz; widać po tobie. One *wszystkim* mówią... są jak wy włoki, to pewne. Powiem ci coś takiego - dla ciebie, to już koniec. Nic tu nie poradzisz, choćbyś pękl. Już się nie wypłaczesz.

Banzaj przełknął ślinę, jednak w opróżnione miejsce nie napłynęła nowa. Musiał coś odpowiedzieć Korijowi, żeby nie przypuszczał, że zwycięstwo jest po jego stronie.

- Ciągłe blefujesz. Mówili mi, że masz siłę, ale ten, którego chcesz wypuścić, wypiął się na ciebie.

- Ha! Tak mówiły te stare pierdziele z Zewnątrz? Oni wszyscy już pograżyli się w marazmie. Nazywają się Bogami Zamierzchłej Przeszłości, a naprawdę są tylko gromadą sklerotycznych przestarzałych miazmatyków, którzy kiedyś nauczyli się latać poza granicami swoich ciał. Słowo, Banzaj, żadnych Bogów Zamierzchłej Przeszłości nie ma. Jest tylko coś na kształt astralnego Rothary Club. Tani szpanerzy. Ja ci tak wszystko mówię, żebyś się za bardzo nie rozczarował, kiedy zobaczysz tych swoich niby przyjaciół. Uwierz, że kiedy bliżej się z nimi zapoznasz, zrobi ci się wstyd i poczujesz wstręt. To stare pierdziele, nie boję się tego powtórzyć. Przecież są tacy starzy, że już nawet zapomnieli, jak się puszcza gazy. I wszystko, co wygadują na mojego Mistrza Leonarda - to brudne i mało śmieszne insynuacje. Jak mówił nasz gorąco ukochany Garant, sytuacja *otliczajet'sja* na sto osiemdziesiąt procent. A mój pan i Mistrz Leonardo to, jakby tu powiedzieć, jagódki z jednego pola. Mówią, że oni się dobrze znają na wyższych poziomach. Można powiedzieć, duchowi bracia. Ale widzisz, MÓJ *pan* bardziej harmonizuje z moim wewnętrznym światem... I w ogóle, dlaczego ja się przed tobą usprawiedliwiam. Jeśli zechcę, to zdechniesz na moich oczach na prostatę, za jakieś pół godziny - raptem agresywnie powiedział Korij. - Chcesz tego?

- Nie-e. Miałeś jeszcze powiedzieć, gdzie jest dyrektor. Słyszałem jego głos...

Korij przewrócił oczami i głośno cmoknął językiem:

- Boż-że, Boże... *jakie głupie dziecko*. Powiedz Banzaj, zatrzymałeś się w rozwoju umysłowym, zgadłem?

I raptem przemówił głosem pana Andrija: -No to jak, Juro, pójdziemy znowu posuwać Aliskę, jak wtedy? Czy teraz może twoją Darcie? Z niej też już niezła sztuka.

Banzaj owi zmiękły nogi, i cicho spłynął po ścianie. Na pewno spał, to na sto procent, nie ma żadnych wątpliwości, wszystko *_kay*, ja śpię, a skoro śpię, oznacza to, że to nie dzieje się naprawdę, a skoro nie dzieje się to naprawdę, to znaczy niech się dzieje, co się dzieje, a ja mam was wszystkich głęboko w dupie i róbcie sobie, CO CHCECIE, bo olewam to śnienie.

-No-o-o, Banzaj, ale jesteś cienias... a jeszcze tak się wypin-drzasz: „*Moje śnienia. Refleksje*”... - sarkastycznie rzucił Korij. -Wszystkie te twoje refleksje są do dupy, gdy refleksy odmawiają posłuszeństwa przy jakiejś tam tępej, banalnej, *prostackiej* IMITACJI. Gównio warte te twoje zapiski. Naprawdę. Robota głupiego. O, czy na przykład wiesz, co my teraz razem śnimy?.. Hej, co ty?.. Halo-o-o!!!

Raptem Korij podszedł tak blisko, że aż go dotykał - Banzaj właśnie na próżno próbował utracić świadomość. Ale w ogóle się nie udawało. Korij przyłożył mu do czoła dwa palce, wtedy po ciele Jurka przebiegł potężny impuls elektryczny. Prawie podrzuciło go w powietrze, po skórze przeszarżowały mrówki. Dał się poczuć zapach spalonych włosów.

Korij wziął go pod ręce,

(niech sobie robi, co chce, mam to gdzieś i tak śpię) powlókł do stołu, usadził w fotelu, a sam pobiegł i znowu zajął pozycję przewodniczącego.

- No i rozbawi-i-iłeś mnie! Oto przed wami Banzaj, którego nie znaliście! Dusza towarzystwa, rozbawi każdego do śmierci!.. Tak więc, Banzaj: *teraz sobie śpimy i widzimy jeden i ten sam sen*. Super, prawda? To znaczy ja go widzę, a ciebie przyciągnąłem tu za potrzebą. Bo podobasz mi się jako mężczyzna.

Banzaj bezsilnie podniósł oczy na Koriję, nie dziwiąc się już niczemu. Ten siedział grzecznie naprzeciwko, ułożywszy ręce na stole, niczym pilny uczeń, i zabawnie mrugał rzęsami. Jego twarz była absolutnie szalona, radosna i dziko rozedrgana.

-No dobrze, żartuję. Trzeba jakoś przyciągnąć twoją uwagę. Bo, prawdę mówiąc, jesteś moim jedynym słuchaczem na całej ziemi. Moja dusza zmęczyła się samotnością - z fałszywym patosem zagaił stary. - Jeśli mam być szczery, chce mi się od ciebie rzygać, o! I w ogóle! Chciałem się pochwalić swoimi osiągnięciami mi. *ŚPIMY, kaziot!* Reaguj jakoś, a nie gapisz się w sufit. Zachwyć się, tępy baranie, i tego nie możesz? Nikt tego nie może! Nie słyszę okrzyków zachwyty! Nie widzę bukietów róż! Gdzież one, Banzaj? Gdzie orkiestra grająca tusz i walc „Bez”? Gdzie, pytam?

Banzaj zamamrotał coś bardzo niewyraźnie.

- Zbudowałem w swoim śnie kopię *całych Miedzianych Buków*, czy ktoś jeszcze tak potrafi? Jestem tu panem nad panami, mogę teraz stworzyć setki kopii całego świata w rozmiarach jednego-jedynego miasta. Wyszedłem za granice rzeczywistości! Jeśli zechcę, przetopię je w jedną całość. Co, nie wierzysz? Banzaj poruszył głową i wyprostował się w fotelu.

-Nie wierzysz? No to sobie śpij! - i z tymi słowami Korij znowu dotknął jego skroni,

6.

od czego Jurko natychmiast się obudził. Krzyczał bez przerwy około siedmiu sekund, co w koledżu uważano za wyjściowe minimum do gabinetu psychologa. O ile jednak psycholog sam potrzebował pomocy, o tyle Jurkowi nikt w niczym nie mógł pomóc. Kiesza podniósł głowę, żeby popatrzeć, co z tym wariatem, owy uczniów jak słoneczniki odwróciły

się w kierunku krzyku, Minęło pół godziny lekcji, pierwszej z dwóch biologii przed nara-w gabinecie pana Andrija. *Narady więc jeszcze nie było.* -Przepraszam, bardzo przepraszam. Palec... ja go właśnie ten... no...

Kiesza krytycznie spojrział na Banzaja i pokornie pokiwał głową.

- Popiło się wczoraj, co?

Banzaj energicznie pokręcił głową. Po klasie przetoczyły się mieszki.

- Nie, no co pan, palec... o ławkę. No właśnie... przytrzasnąłem. Uczniowie milcząc, patrzyli, jak Jurko pokrywa się zimnym

potem. Zrozumiawszy, że na tym koniec komedii, odwrócili się do tablicy.

Banzaj ledwie odetchnął od koszmaru. Jednak to był sen, ale *jaki!*

Samplowany z fioletowym pasemkiem na głowie odwrócił się do niego, przekazując karteczkę.

- Trzymaj. To od Darci. -I mrugnął przekłęty.

Banzaj lekko się skrzywił i wziął skrawek papieru. Rozwinął i przeczytał:

Prywit, Banzajczyk!

No, jak ci się podobało śnienie? Teraz wierzysz, że to był SEN? Jeśli nie, to zajdź do mnie na przerwie. Jestem na dieżuri, jak zawsze.

Cmokam ze śliną,

Twój Romuś Korij

PS Przy okazji, jak sądzisz - SEN to wszystko, co jest teraz, czy NIE? Masz trzy szanse.

R.K.

PPS I jeszcze jedno. Popatrz-no kto tam, taki malutki, szary i puchaty, siedzi w szafie.

R.

Przeciagnąwszy ręką po włosach, Banzaj przekonał się, że głowy mu jeszcze nie urwało. Dlaczego dookoła jest omam? (A może jesteś chory, Banzaj, może masz haszyszowe delirium albo oniryczną schizofrenię, albo ostrą niewerbalną halucynację, albo wszystko razem, hę?).

Przechylił się w bok i otworzył pomalowany białą emalią zamek na drzwiach szafy. Uchylił je. W głębi trumny na odzież między kurtkami, kożuchami i płaszczami siedział Korij, podciągnąwszy kolana pod brodę. Niemo rechotał, boki zrywając ze śmiechu. Po szczeciniastych policzkach spływały łzy, a Korij ciągle się jeszcze śmiał.

Jurko zerwał się z miejsca, przewracając stół, i odskoczył od szafy. Korij rechotał już nie do siebie, ale głośno, nie kryjąc się.

„No, to by było na tyle. Żegnaj, zły świecie, zwariowałem”

Teraz, oczywiście, patrzą na niego zdziwieni uczniowie, a Darcia chowa twarz w dłoniach, żeby nie widzieć takiego wstydu. Obrzucił wzrokiem

7.

pusty gabinet dyrektora. Dokładniej rzecz biorąc, eurowyremotowany sufit i szaloną twarz Korija porośniętą trzydniową siwą szczeciną jak wrzosem. Mokłą od łez wywołanych przez rechot. Banzaj zajrzał w te pozornie wesołe oczy i przeraził się. To były dwa tunele na ciemną stronę księżyca. Mieszkały w nich oszalałe z bólu widma.

-No jak, spodobало się? - zainteresował się Korij.

Banzaj nie miał najmniejszej ochoty na jakikolwiek ruch. Chciał tylko leżeć i tępo gapić się w ścianę. Natomiast powiedział:

- Całkiem nieźle. Ale co z tego? No, przestraszyłeś mnie, i co dalej?

Korij znowu parsknął radosnym śmiechem:

-A dalej? Dalej będzie jeszcze lepiej! ROZUMIESZ?!! Powinieneś zachwycać się moim rzadkim, niesłychanym mistrzostwem. Ho-ho! Dalej będzie coś takiego, że zemdlejesz ze strachu. Tak pomieszam wszystkie karty, że zaczniesz wątpić w to, czy istnieje cokolwiek prawdziwego. Albo nie - wezmę i powklejam swoje śnienia w niektórych częściach miasta. Na zamówienie. W rzeczywistość, wyobrażasz sobie to? Obudziłem się rano, poszedłem do koledżu, aż tu rozumiesz, wszystko wokół - to znowu sen. A jeśli zechcę, zrobię tak, że spotkasz się ze swoim *doppelgangerem*. W ogóle będziesz sikać wrzątkiem. Ha! I co powiesz na taką kolej rzeczy?

- No, to zrób tak. Jestem teraz w twoim śnie. Co, słabo?

- Nie pyskuj do starszych! Mogę cię stąd nawet nie wypuścić. Będiesz brodzić ze snu w sen aż do końca wieków. A dokładnie do godziny „G”. Czyli całkiem niedługo.

- Co za godzina „G”? - Zainteresował się obojętnie Jurko. -Przyjście mego pana. Nazbieram jeszcze troszkę siły - i klops. I TY, jakkolwiek byś się starał, NIC NIE PORADZISZ - absolutna paranoja. PARANOJA SIWEJ KOBYŁY. Żeby n e wybijać z rytmu takich naiwniaków jak ty, wierzysz?

Banzaj przecząco pokręcił głową... najpierw energicznie, a potem już mniej. A potem usiadł i zamyślił się.

Korij na czworakach podpełzł, żeby zajrzeć mu w twarz.

Banzaj pocierał skronie. Czy wierzył temu wariatowi? Do diabła, teraz wierzył we wszystko.

-Widzę, że wątpisz.... Nadaremnie. Kiedy przyjdzie mój pan, nie wybaczy wahania... Dobra, pomyśl sobie, komu wierzyć, a komu nie, a na razie idź się pobawić. Zmachaleś mnie.

I Banzaj otworzył oczy,

8.

wbiwszy wzrok w belki sufitu w swoim pokoju. Głowę, jak jakaś szpila, przebijał ból nie do wytrzymania.

Była za kwadrans siódma. Poszedł do kuchni, wypił kawę z analginem i poczuł, że złapał jakiegoś wirusa. A trzeba było iść do koledżu. Było bardziej niż oczywiste, że to koniec. Stare biedaczysko całkiem postradało zmysły, a bogów, którzy mogą mu pomóc, nie ma.

Czy to koniec?

9.

Banzaj

[chcę śmierci chcę umierać w szczerym polu otwartym dla wiatrów trąb powietrznych burz i śnieżyc chcę żeby w moim czerepie zagnieździła się żmija chcę znaleźć przyjaciół wśród koników polnych robaków i jaszczurek szczególnie jaszczurek chcę żeby z moich oczodołów wyrosło sen ziele a spomiędzy żeber konopie chcę żeby moje oczy wyjadły ptaki coś smaczniejszego od oczu nadjedzonych przez krótkowzroczność nie biorąc pod uwagę oczu niemowląt? Chcę być niewyraźnym przedmiotem któremu trudno jest się przyjrzeć zamglonym szarym niczym które nie ma określonych granic chcę być urywkiem rzeczywistości ale najbardziej chcę ciszy w polu chcę zlizywać z przegniłych ust ranną rosę i pierwsze płatki śniegu chcę śmierci]

Rozdział 3

1.

Miejskie obrazki (początek)

Banzaj szedł ulicami i nie poznawał ich. Prawie nie wątpił w to, że wszystko wokoło nie jest snem. O nie, wszystko okazuje się o wiele bardziej złożone i globalne: zaczęła się destrukcja rzeczywistości. Na prospekcie Paszi Angelinowej maszerowały dziarskie brygady jakichś golonych na zero kozłów, którzy groźnie wyli: „Gdzie są szatani? Hej kurwa, gdzie są szatani?”.

Oprócz nawiedzonych band polskich skinheadów, na ulicy pojawiło się kilka nie po tutejszemu ubranych panienek, które w obawie przed śniegiem kryły swe arystokratyczne noski w futrzanych szalikach. Panienki łaskawie spacerowały, nie zwracając uwagi na młodzieniaszków o wątpliwej reputacji.

A na rogu ulic Łysenki i Frunzego siedział bardzo interesujący starszy pan: w rękach trzymał dwunastostrunową gitarę, przy ustach miał skomplikowaną konstrukcję, łączącą ustną harmonijkę, dudkę* i flet wielkiego bożka Pana - syringę. Do nóg człowieka-orkiestry przytroczone były specjalne łapcie z dzwoneczkami. Stary siedział na rozklekotanym krześle, za nim, przytuliwszy się do ściany, stał wytarty plecak, który pewnie widział spory kawałek świata. Z jego rozwiązanego gardła sterczał rożek wielkiej czerwonej dudy. Człowiek wygrywał takie dziwne melodie, że Banzaj mimo woli zatrzymał się, żeby posłuchać.

Stary przestał grać, odłożył gitarę, zdjął z szyi muzyczny kram i zmiótł z włosów śnieg.

- Nie wiesz czasem, która godzina? Banzaj spojrzał na zegarek. -Pięć po ósmej.

Stary kiwnął głową, jednocześnie przypalając papierosa. Zaciągnął się (koniuszek taniego papierosa rozżarzył się), machnął ręką, żeby zgasić płomień zapalki. Odrzucił ją precz, wypuścił w niebo dym i wyprostował plecy.

- Śpieszysz się gdzieś? - zainteresował się stary. Jurko przecząco pokręcił głową, uważnie przyglądając się ubraniu muzyka. Była to bardzo, bardzo stara odzież, setki razy prana i suszona na słońcu tak, że aż stała się bezbarwna i nieforemna. Stary miał długie siwe kudły i gęstą siwą brodę. Tylko papieros sugerował miejsce, w którym mogły znajdować się usta. Banzaj próbował przyjrzeć się oczom starego, ale przeszkadzały w tym włosy. Twarz była

* Dudka – basowy flet zębowy o długości prawie metra, rozpowszechniony na Huculszczyźnie (przyp. tłum.).

zniszczona i zakładki obwisłej skóry skutecznie ją maskowały. Stary spozierał gdzieś w dal, w śnieżną kurtynę.

Jurko śledził to spojrzenie: na przeciwległej stronie alei przechadzał się jakiś szaleniec. Machał rękoma, wykrzykiwał cytaty z Pisma Świętego i z własnej poezji. Próbował opowiedzieć wszystkim o *Nawigatorach* - tajemniczych istotach, które podobno nami kierują. -Szczerze mówiąc, kiepsko mi idzie... - zagadał grajek. - Ot, kiedyś ... był tu taki jeden wariat Nazarko Kszedr... To był szaleniec!.. Ten, co teraz macha rękami, że tak powiem, zastąpił go. Rozwinęli ideę Nawigatorów, ale ten nie jest wart nawet kszedrowego małego palca... Kszedr, bywało, jak zacznie krzyczeć: „*Nawigator siedzi na moich ramionach Nawigator! Zrzućcie go ze mnie! Czuję jego macki na głowie!!!*” Tak, krzyczał, że aż mróz po skórze przechodził. A ten co? Dziurka z obwarzanka w porównaniu z Kszedrem. Tylko do tego się nadaje, żeby straszyć panienki: „*Bu-u-u-u, chce pani ogrzać młodziutkiego Nawigatora z mojego ramienia, proszę pani? Bu-u-u-u!!!!*”.

-A pan tu często bywa? Jakoś wcześniej pana nie widziałem..

- Często? Cały czas. Po prostu dzisiaj wcześniej przyszedłem. Zimno, cholera...

- A pan jest miejscowy, tak?

- Miejscowy? - zapytał zdziwiony człowiek-orkiestra. - *Ach, miejscowy!* Tak, jestem miejscowy, tak że bardziej już nie można. Chociaż, wiesz, ostatnimi czasy, trochę wędrowałem po świecie.

- Daje pan występy gościnne?

-Występy gościnne? - ponownie zapytał człowiek-orkiestra, jakby za pierwszym razem sens pytania był dla niego niejasny. -*Ach, daję występy gościnne!* No tak, czemu by nie. Ot, byłem ja w takim jednym mieście Ayckroidt, Illinois. Poznałem tam samego Buddiego Joela Sammersa, wszyscy kumple wołają go jeszcze Krzywy Buddy, to znaczy wołali. W dzieciństwie psychiczny ojciec uderzył go w kolano młotkiem. Ale jaki to był pianista! Lepszego czarnego pianisty jeszcze nie widziałem! Jeny Lee w porównaniu z nim - to dzieciak. Jak myśmy z nim się zgrali! Chłopki wariowali, kiedy nas słyszeli.

- Grał pan z nim jazz?

- Jazz? Nie, graliśmy dżez, jak mówił Maurycy i jego najlepszy kumpel Genyk Balijski.

- A kiedy pan przyjechał z Ameryki?

-Z Ameryki? Dwadzieścia lat temu, nie mniej. Pamiętam, że wtedy też padał śnieg. Dokładnie, to było katolickie Boże Narodzenie. Ale Krzywy Buddy, to dopiero chłopak! Był bardzo gruby, ten Buddy. Nieustannie musiał coś żuć. Nawet kiedy występowaliśmy, trzymał na pokrywie pianina kanapkę z indykiem albo jakieś ciasteczko, albo kawałek placka.

Boże, jak on lubił kanapki z indykiem! Chłopaki z naszego bandu cały czas z niego żartowali. Ale jak on grał! Raz występowaliśmy z Sarą i „Red Top Boys”... To było *coś*. A jeszcze, raz zaprosił nas na wesele sam Bags Densmor, Zły Bags, jak na niego jeszcze wołali... Synku, on był najprawdziwszym *mafiozem*. Kierował handlem alkoholem, był tym... *bootleggerem*. O, i zaprosił nas do siebie na wesele: mnie, Sunnego Oldmana, Mo Smitha, Joe Heshema, ale przede wszystkim Krzywego Buddiego! Mieliśmy grać, rozumiesz? Muzyka, wszyscy tańczą do Dżezu, nielegalny alkohol i mafiozi.

- A skąd pan wie, że to był mafioso? - zainteresował się Banzaj, szczerze wątpiąc w prawdziwość historii.

-Skąd *ja* wiem? Wszyscy to wiedzieli... tym bardziej potem. Jechaliśmy z Ayckroidt do Chicago, jak mówią. Przyjechaliśmy, a tam wszyscy płaczą. Narzeczona Bagsa nieprzytomna, wszyscy koło niej biegają. Ot, Joe podchodzi i pyta się teściowej Bagsa: „Maam, co jest grane, przyjechaliśmy na wesele, czy na stypę?”. A Kuzyn Bagsa, bokser, za te słowa zajechał Joego prosto w pysk, rozerwał mu kastetem górną wargę. Joe potem przez pół roku nie tykał trąbki... a kuzyn, ten bokser, rodem z południa... Willi! Na imię miał Willi, zbił tym ciosem Joe i zaczął go kopać, wykrzykując: „Będiesz, kurwa, wiedzieć, zasrany Murzynie, jak się naśmiewać z cudzego nieszczęścia, będziesz wiedział zasrany wykurwku!”. Ledwie go odciągnęli... A potem nam wyjaśnili, że Bagsa i jeszcze dziewięciu jego najlepszych ludzi zawieźli do jakiegoś garażu na skraju miasta i rozstrzelali, jak psy. A potem jeszcze obsikali ich ciała...

- Dowiedzieli się, kto to zrobił?

-Wiedzieli? No wiedzieć to wiedzieli...Tylko jeden człowiek na całej ziemi tak zabijał... Makaroniarz podły włoszek Leolo Piazzii. Wszyscy mówili Bagsowi, że z Sycylijszymi nie warto prowadzić interesów, że są tacy przydatni, jak chińskie petardy. Tak mówili. Pamiętam, padał śnieg, bo to był luty, dzień świętego Walentego. Ta-a-a, Piazzii specjalnie wybierał takie daty. Podobne cuda wyrabiał chyba tylko Capone.

Jurko w przybliżeniu policzył, kiedy mógł się odbywać ten nielegalny handel alkoholem. Sycylijszczy... mafia... stary coraz bardziej tracił jego zaufanie. Kto wie, może i on zaraz zacznie opowiadać o Nawigatorach?

- A poza tym, to ja już wyjechałem z Ayckroidt, bo Joe z porwaną wargą, to nie był ten sam facet... A potem jakaś swołocz podpaliła budynek Krzywego Buddiego. Biedak spłonął razem ze swoją matką i siostrą... on się w końcu nie ożenił, bo zawsze był za gruby. I tak, potem jeszcze wędrowałem trochę po Ameryce, jeździłem do Men, myślałem, że może wezmą mnie

do grupy Sary i „Red Top Boys”, a tu masz ci, mówią, że już i Sary Tiduell nie ma. Bieda była wtedy, ale dość już o tym...

Banzaj korciło, żeby zapytać, który był wtedy rok, bo stary trochę przeholował.

- O, wtedy były trochę lepsze czasy... spotkałem jednego człowieka swojego *doppelganger*...

-Co pan powiedział?!

- Swojego starego znajomego, i blakaliśmy się z nim jeszcze parę lat, po prostu grając na ulicy. Widzieliśmy nawet samego Hendriksa o palcach od diabła danych... Na własne oczy widziałem znanie Złego - Hendrix miał je pod lewą pachą.

-Powiedział pan *doppelganger*, a nie „stary znajomy”. Co to oznacza?

- Powiedziałem „stary znajomy” i nie trzeba mnie oszukiwać. Wiem, co mówię... i w ogóle - miałem opowiedzieć o czymś zupełnie innym. Pracujesz gdzieś, tak? Gdzieś tutaj?

-No, ta...

-Pewnie w gimnazjum, nie? -Ta...

-No to możesz tam dzisiaj nie iść... epidemia grypy. Wszyscy są chorzy.

- Skąd pan wie?

- Skąd ja wiem? Wiem, przecież to widać? Zamiast iść do tego swojego gimnazjum, lepiej przejdź się po mieście, popatrz, jak pada śnieg. Zajrzyj do tej cerkiewki... będzie ciekawie.

Banzaj uprzejmie wzruszył ramionami:

-Nie wiem. Nie wiem, może właśnie tak zrobię...

- Zrób tak, pewnie masz gdzieś tam dziewczynę? Ta? -No...

- Pewnie, że masz. Wszystko to po tobie widać - stary wyciągnął nowego wymiętego papierosa i znowu zapalił. Śnieg padał z nieba, tworząc coraz gęstszą zasłonę.

- No to powiem ci coś takiego: trzymaj się jej jak życia. Tak powiedział mi mój *stary znajomy*, a on wiedział, co mówi.

-A kto to jest, ten pański stary znajomy?

- Co to za jeden? A ty go na pewno znasz. A jeśli nie ty, to już na pewno twoja koleżanka. Ten, kto tu mieszka trochę dłużej, zwykle go zna. Zwykle. Ona i mnie powinna znać. Ciekawe, czy mnie pamięta ?

-A pański kolega też jest miejscowy?

Stary z niezadowoleniem powtórzył, wypuszczając dym spomiędzy brody.

-Przecież mówię *mój stary znajomy*, a ja sam jestem miejscowy, to znaczy, że i on jest miejscowy. *Stary znajomy*.

Banzaj spojrzał na zegarek. Wpół do dziewiątej. Na pierwszą lekcję można się nie śpieszyć, ma okienko. „Poczekam, posłucham bajek” - pomyślał Banzaj.

-Jestem tu ze swoim *znajomym* już od bardzo dawna. Złą historię ma to miasto. Posłuchasz, czy już cię znudziłem?

Banzaj przecząco pokręcił głową, zachęcając człowieka-orkiestrę, by mówił dalej:

- Proszę opowiadać, mam jeszcze czas.-No, wszystko to było bardzo ciekawe. Kiedyś na początku stulecia, było tu coś w rodzaju miasteczka sypialni z ukraińską inteligencją i polską szlachtą. Zaczęła się pierwsza wojna światowa i bardzo wielu rdzennych mieszkańców emigrowało do Kanady. Miasto prawie całkiem opustoszało. A potem była druga wojna światowa, ta? I ci, którzy zostali, uciekli za ocean albo po-wymierali. A potem była operacja „Karnagula”: z południa Ukrainy sowieci przerzucali moskalików tutaj, na puste miejsce... Ale oni się nie przyjmowali i umierali. Widzisz, tu jest specyficzne, unikalne miejsce. Wszystko starzeje się w oczach i rozsypuje, łamie, znika. A gdzieś dziesięć lat temu miasto zaczęło odżywać, ale kiedy przyszedł kryzys, to dwie trzecie znowu uciekło: na truskawki do Anglii czy pomarańcze w Grecji. Rozbiegli się po *zakerzoniu*, *zalamanszu** i *zaoceaniu*. Wszyscy się rozbiegli. Widzisz, nie wżył się prawie nikt. Bo tu już jest takie miejsce.

- A dlaczego tak?

- Dlaczego? Popatrz na góry. Jurko zrobił, jak mu kazano.

- Zabłądziłbyś tam? -Może. Na pewno. Raczej tak.

-A ja mówię, że wątpliwe. Dokładniej, mógłbyś, gdybyś był wystarczająco nieuważny. Ale normalny człowiek nigdy tam nie zabłądzi. Kiedyś tam był *blud*** i wszyscy bali się tam chodzić. Naprawdę, pójdziesz i nie wrócisz. Jak mały Polisun. Ale teraz, no, może przez ostatnie parę setek lat, ten *blud* nabył zszedł z góry zasiadł w sercu miasta. Możesz iść po mieście i zabłądzisz. *Blud* bardzo się przyczepia. Ale to już jest skutek...

-Czego?...

- *Czego?* O to lepiej nie pytać. Całkiem przyjemne miasto. Póki jest widno. Dokąd nie zajdzie słońce. A potem już strach chodzić, bo możesz zabłądzić. Możesz zabłądzić i wyjść nie w Miedzianych Bukach, tylko... Zresztą, nie będę wywoływać biedy, i tak jest jej tu za dużo.

-Dlaczego tak jest. Czy pan wie o podziemiach?... - pod gardło podpełzał mu zwarty pęczek serca. Oddychanie stało się bardzo trudną czynnością. Spojrzał na starego innymi oczami.

-Podziemia? Ta. O nich wiedzą wszyscy. Wszyscy, których ja znam. A ja znam niewielu. Czyli właściwie wszyscy rozumieją, ale mało kto może ubrać to w słowa. I ty wiesz, ale do końca nie rozumiesz. Masz pewien dług, musisz coś dla kogoś zrobić... Bo obietnic trzeba

* *Zakerzoniu* - za linię Curzona, *zalamanszu* - za kanałem La Manche (przyp. tłum.).

** *Blud* - ukr. *chodyty bludom* - błąkać się. *Blud* to demonologiczne wcielenie zła, które zawisło między niebem a ziemią. *Blud* to także grzech cielesny i pomyłka (przyp. tłum.).

dotrzymywać. Jeśli teraz czujesz się zagubiony, to zrozumienie przyjdzie lada moment. Nie możesz uchylić się od obietnicy. Jesteś komuś winien pewną przysługę. *Obiecałeś.*

-*Nikommu niczego nie obiecywałem!*

- Może i nie, może i ta... Decydujesz ty, a nie ja. Powiem ci tylko tyle: całe to zamieszanie - ono nic nie znaczy. Ono nie ma żadnego znaczenia. Jedyne, co ma znaczenie, co powinno mieć znaczenie, to miłość. Ona uratuje świat w końcowym rozrachunku. Bo jeśli to nie tak, to Kafka był zwykłym suchotnikiem, Hendrix przeciętnym negrem z gitarą, i dżez to nie dżez, a takie sobie plumkanie na pianinie... Ona musi nas wszystkich uratować. Nie piękno. Nie seks. Nie pieniądze. Nie nadzieja, i na pewno nie polityka. Świat uratuje miłość.

Stary włożył na szyję swój muzyczny ryszunek, wziął do ręki gitarę i powiedział na pożegnanie:

- Idź, i tak się za bardzo rozpaplałem. Teraz na pewno myślisz, że jestem następnym wariatem. - Banzaj nie zaprzeczał, tylko dyplomatycznie kiwnął głową. I przekazał pozdrowienia swojej koleżance. I Genykowi Brjewnowowi, on też powinien mnie pamiętać.

Po odszejściu od nawiedzonego starego hipisa na sporą odległość Jurka tknęło.

„A co z Bogiem? Czy on nas nie uratuje?” - pomyślało mu się.

Niespodziewanie stary przestał grać, popatrzył na jego twarz przez śnieg i huknął:

- A Bóg jest miłością, głuptasku!

2.

Koledź

W koledżu naprawdę grasowała epidemia. Korytarze opustoszały, klasy ucichły. „Byłem tu wczoraj czy nie?”. Pojawiło się naturalne pytanie. Zbyttno się wszystko zmieniło.

Przy wejściu nikogo nie było. Ani Korija, ani nikogo innego. Nikogo. Korytarze stały się aż za bardzo dźwięczne. Przez to ich echo chciało się rozmawiać wyłącznie szeptem. I w ogóle chciało się przykryć głowę kołdrą i siedzieć u siebie w gabinecie, wypić herbatkę z aspiryną i „Cold-Flue”.

Wiele się zmieniło.

Pan Jarosław, dobry, cichy pan Jarosław, który opracowywał na przerwach kartografię światowej pajęczyny, legł na zapalenie płuc. Przyjechała do niego żona, młoda dziewczyna w okularach, chemiczka, tak jak on. Miała długie do pasa, rozpuszczone włosy. Przyszła prościuteńko na lekcję w jedenastej „a”, wzięła pana Jarosława za rękę i wyjaśniła dzieciom, że ich nauczyciel sam jest jak dziecko, nie posłuchał swojego kotka i poszedł do pracy, bo ma

dziś maturzystów, a wasz nauczyciel ma zapalenie płuc i on o sobie zupełnie nie dba, chce, żebym owdowiała. Pan Jarosław, siłą wywleczony z klasy, niby przepraszająco wzruszył ramionami.

Wszyscy byli bardzo rozczuleni taką miłością. Niektóre dziewczęta nawet upuściły łezkę.

Młoda długowłosa *pannoczka* nie puszczała ręki chemika aż do samego Stryja. W gabinecie pana Jarosława było zbyt zimno, a on siedząc przy komputerze, praktycznie się nie ruszał. Takie buty!

(Prawdę mówiąc, ciepło było tylko w gabinecie pana Andrija. Z tego powodu wszyscy serdecznie go nienawidzili).

Sam pan Andrij przebywał obecnie bardzo daleko. Cały jego intelekt skupił się na opracowywaniu strategii, mającej na celu przyciągnięcie uwagi Aliski, tejże młodej pielęgniarce, której gusta tak niespodziewanie dopasowały się do gustów pani Polisunowej. Dyrektor wpadł w istną obsesję. Przestał wypełniać nałożone nań obowiązki. Godzinami przesiadywał w gabinecie, wpatrując się w okno i ciężko rozmyślając, czym sobie zasłużył na taką karę od losu.

Przecież *nigdy* nie miał kłopotów z kobietami, *nigdy*!

Bardzo był z tego dumny i przy każdej okazji chełpił się swoimi podbojami w wąskim gronie kolegów. Poczynając od czternastego roku życia, kiedy to przespał się z koleżanką z klasy, skończywszy na prywatnym gimnazjum, gdzie udało mu się zwabić pewną licealistkę. Koledz był pierwszym kamieniem, o który się potknął, który zmusił go do zwątpienia w swoją potencję.

Na początku rozkręcał romans z jedną lektorką od angielskiego, ale zameście szanownej pani miało zbyt duży wpływ na jej libido. *Raz*.

Potem pan Andrij przerzucił zainteresowanie na własną sekretarkę, ale ta była małą zastraszoną myszką i seks z nią nie wydawał się panu Andrijowi czymś szczególnie przyjemnym. *Dwa*.

Dlatego rzucił się na poszukiwanie nowego obiektu pożądania. Stała się nim pani Polisunka, która jednak nie przejawiała najmniejszego zainteresowania alfonsem. Kolejne wstrząsające fiasko. *Trzy*.

Cztery, właśnie się działo. W żaden sposób nie dawało się skusić jakiejś prostej, jeszcze zielonej pielęgniarce. Czy mogło być coś boleśniejszego? Dyrektor zauważył, że pokrywa się zimnym potem, kiedy widzi ją, Aliskę. (Nawet w myślach nazywał ją Aliską, niczym godne współczucia szczeniátko). Aliska całkiem zawładnęła jego uwagą. Aliska tam, Aliska siam,

wszędzie Aliska, nigdzie nie można było się od niej schować, bo myśli o seksie z Aliską nie dawały mu *nigdzie* spokoju.

Trzeba coś z tym zrobić, postanowił pan Andrij. Jeden maleński, niewinny *coitus*, uratowałby go na zawsze. *Od razu* przestałby przecież za nią przepadać. *Od razu* wróciłby do rodziny. *Od razu*, bez najmniejszej zwłoki, stałby się wrażliwym mężem i kochającym ojcem. *Od razu*.

Zaprosić ją do siebie do domu... Albo do gabinetu. Dałaby się uszczknąć.

A może do piwniczki? - zapytał raptem wewnętrzny głos. - Tu są TAKIE piwniczki! Pod dziewczęcym internatem, co na to powiesz? Do piwnicy, żeby przetrząść, jak wtedy.

Przez chwilę pan Andrij nawet się przestraszył. Ten Głos, który szeptał mu do ucha, zbyt był niepodobny do głosu jego zwykłego współrozmówcy.

Sam się już nie rozpoznajesz, czy jak? - zapytał wewnętrzny głos i pan Andrij z ulgą się odprężył.

A co? Całkiem niezły pomysł, do piwniczki i ten tego. Jak wtedy. To samo. I wszystkie problemy jak ręką odjął.

Pan Andrij złapał się za głowę, przesuwając ręką po włosach. Myśl: „do piwnicy, żeby jak wtedy”, z pewnością nie należała do niego. A jednak brzmiała słusznie. Jedyna słuszna decyzja w obecnej sytuacji. Nie mógł dalej przebywać w podobnym stanie. Masturbacja nie pomagała.

Kontynuował nawiedzoną tułaczkę z sali konferencyjnej do gabinetu. Spokój wyślizgiwał się dyrektorowi jak ten węgorz. Trzeba było coś zrobić.

Aliska, Aliska. Diable dziecię Aliska, która doprowadzała go do szaleństwa.

Do gabinetu zadrżała jego zalękniona sekretarka:

- Andriju Jarosławowiczu...

-No, co tam? Co jeszcze?! - dziko się denerwując, huknął na nią. Zaczynała go boleć głowa i myślenie o czymś innym niż Aliska stawało się zupełnie niemożliwe.

Sekretarka ze zmęczeniem potarła ręką czoło. Najwidoczniej pan Andrij już jej załazł za skórę.

-Kuratorzy zalecili... 157 dzieci nie ma... K... Kwarantanna?

Pan Andrij nie mógł się wczuć w słowa tej myszy. Dzieci... których nie ma. Co za absurd! Dzieci... których nie ma, bo...

(no, o co chodzi? Jaki sens ma ta wypowiedź? Pomyśl)

Których nie ma, bo... kwarantanna? Których nie ma, bo... kuratorzy zalecili? Zalecili... bo kwarantanna, czy jak?

(Pomyśl, wszystko zrozumiesz, skup się, no dalej)

Dzieci, aż 157, bo nie ma kuratorów, którzy...

(NIE MOGĘ, NIE MOGĘ MYŚLEĆ O CZYMŚ INNYM NIE-MOGĘNIEMOGĘNIEMOGĘ
Nffi MOGĘ NIE MOGĘ MYŚLEĆ KWARANTANNA DO CZEGO TU KWARANTANNA
ALISKA ALISKA ALISKA TU ALISKA TAM ALISKA TO KURATOR ONA
POWIEDZIAŁA CZY KWARANTANNA NIEMOGĘ NIEMOGĘ-NIEMOGĘNIEMOGĘ
MYŚLEĆ)

Kwarantanna... 157 kuratorów... zaleciło kwarantannę... Ni diabła niezrozumiałe...

-Jakie... jeszcze dzieci?

-Te, które są chore na grypę... No to jak? Ogłaszamy? Pan Andrij bezsilnie machnął ręką:

-Róbcie, co chcecie... Ja pewnie też jestem chory... Proszę poradzić się mojego zastępcy...
skonsultować się. Ale ogłaszajcie...

Sekretarka znowu uważnie spojrzała na dyrektora. „Z pewnością nie jest zdrowy” -
pomyślała. Ale to nie są jej sprawy. Jeśli o nią chodzi, mógłby i zdechnąć.

Pan Andrij ze złością popatrzył na zamykające się za myszą drzwi. Ktoś przed chwilą był u
niego w gabinecie. Ktoś był, czy może to jego rozbuchana fantazja? Widzieli, jak trzepał
kapucyna? Kto wchodził? Coś o dzieciach. Albo o kuratorach.

(ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA)

Tak-tak, zamyslił się na temat Aliski. Rozmawiał z kimś, czy może sam ze sobą?

- Pewnie już jestem chory.

Tak powiedział żonie przez telefon. Albo nie jej... ale na pewno przez telefon... Sam diabeł
się nie połapie, dzwonił do niej, czy nie.

Może zapytam sekretarkę? Lepiej nie, to taka suczka, potem rozdziamdzia, że naczelstwo nie
pamięta, do kogo dzwoniło. Nie potrzebujemy takich. Aliska.

(ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA)

Pamiętam, pamiętam. Aliska, jak piesek, jak imię psa, psa--suczki. Aliska-suczka, ot tak, była
jeszcze Alisa Sieliezniowa, ale to nie ta. Aliska, tak-tak, dokładnie tak, ona, i nikt inny,
Aliska, dlaczego ciągle stoi

(ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA)

przez ciebie, Alisko? Pójdę i zorientuję się, o co chodzi. *Jak wtedy, z tą.*

Pan Andrij siedział jeszcze jakąś chwilę za stołem, próbując przypomnieć sobie, jaką to
decyzję powziął sekundę temu. A potem znowu

(ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA ALISKA)

zaczęła się burza z kawałków myśli. Wziął ze stołu nożyk do rozcinania pocztę, ale od razu
go odłożył.

Po co ja go wziąłem? - zapytał sam siebie. - Są jakieś listy? Dlaczego to głupie bydlę nie mówi, ŻE PRZYSZŁY DO MNIE LISTY?

Wówczas wziął do ręki cyrkiel, który stał w kancelaryjnym zestawie; obracał go w rękach, póki nie skaleczył się ostrzem. Zlizał wiśniowy paciorek krwi z dużego palca, niedbale włożył przyrząd do kieszeni marynarki i wyszedł z gabinetu. Podczas gdy pan Andrij miotał się jak kocur w marcu, pan Polisun w towarzystwie Korija niespokojnie pociągał grzane wino. Ponieważ jego najlepszy kompan Kiesza nie miał dzisiaj zajęć, nawiązał rozmowę z Korijem, który powiedział, że ma zabunkrowaną flaszkę wina, że mogliby w cichym miejscu je podgrzać (bo zimno jak cholera!) i rozpić, jak po maśle. Polisun nie był wybredny, gdy szło o dobór towarzystwa, stronił tylko od tego poetyckiego terrorysty.

Po kilku kulkach wina wzięło go na wylewność.

-Rozumiem, że ona ma robotę, ale ja niby jestem mężczyzna w domu! - Siąkał, spoglądając smutnymi oczami na Korija.

- No, ja ciebie, Mirku, całkowicie rozumiem. Kiedy ja na przykład przychodziłem do domu, to zawsze musiałem mieć kobietę koło siebie. Ale gdzie tam, moja tylko za robotę się brała. Co nie przyjdę, zawsze tylko robota i robota!

-Prawda?! - aż się Polisunowi oczy zaświeciły. - To i u pana tak się zdarzało?

- Ho... zdarzało się... każdemu. Tylko, Mirku, nie panuj mi... jesteśmy już kieby przyjaciele, jak już razem pijemy. *Ale...*

- Co „ale”? Nie przyjaźnimy się do końca? Czy co „ale”?

-Ne, całkiem ne! Jesteś bardzo dobrym człowiekiem... Z takim się przyjaźnić, to *sama rozkosz*. Dla tego rozkosz, oczywista, kto zna cenę Prawdziwej Męskiej Przyjaźni... - Pauza, którą zrobił stary, miała oznaczać tylko to, że należy on właśnie do takich unikatów.

-Mowa o czymś zupełnie innym. O twojej żonie. Myślę, że nadszedł odpowiedni moment, by otworzyć ci oczy w kilku kwestiach... przecież praca czasami to nie jest jedyna przyczyna. Powinieneś to wiedzieć... Mógłbyś coś zauważyć... - Korij w zadumie poruszał nieogolonym podbródkiem, nadając swym słowom tysiące możliwych podtekstów.

Polisun w zamyśleniu dopił resztki wina i wystawił kubek po kolejną porcję. Bardzo powoli pochmurniał: wyglądało to dokładnie tak, jakby słońce zakrywała ciężka chmura. Raptem wzdrygnął się - dotarła do niego aluzja zawarta między wierszami wypowiedzi nowego kolegi.

- A ty jesteś pewny, że to ... khm? - Polisun odkasznął sobie w pięść, bo bał się wyrazić swoje podejrzenia głośno, żeby broń Boże nie przywołać biedy.

Korij pobożnie uniósł oczy ku niebu i trochę się zamyślił.

- Rozumiesz, w takich sprawach trzeba być bardzo ostrożnym, żeby przypadkowo nie pomieszać... Przecież nie to może być przyczyną. Ale jeśli twoje słowa nie są przesadą, to... obawiam się, to, właśnie... khm - nie odrywając wzroku od oczu Polisuna, stróż cichuteńko tak samo kaszlnął w kufak.

Nauczyciel języka i literatury nie tylko zbladł. Pogrążył się też w poważnych rozmyślaniach, pozwalając Korijowi jedynie na uzupełnienie kubka.

-A czy jest jakaś metoda, żeby się upewnić? Sprawdzić, może jeszcze nie wszystko przepadło?

-Sposobów jest wiele, ale mało który jest skuteczny na sto... A powiedz no, nie zauważyłeś, jak czasami Nela idzie do pracy niezadowolona, bo przez całą noc domagałeś się od niej wypełnienia obowiązków małżeńskich... nie widzicie się na przerwach, a po lekcjach przychodzi rozpromieniona z radości? Nie bywało tak?

Polisun milczał, zapatrzywszy się na padający śnieg za oknem.

-No, jeśli nie było, to możesz mieć spokojną głowę...

- Było... BYŁO, Romku, cały czas! - przy tych słowach, gdy Korij o mało nie parsknął śmiechem, Polisun rozplakał się jak małe dziecko.

Myrko Polisun gwałtownie zaczął rozcierać łzy po wygolonej młodej twarzy. Korij troskliwie podał mu świeżutką chusteczkę o aromacie polnych kwiatów.

- No, no nie trzeba tak tego wszystkiego przeżywać, nie trzeba... Rozwiążemy jakoś we dwóch ten problem, nie płacz, Mirku, pomogę Ci...

Polisun obtarł łzy i smacznie się wysmarkał. Oczy porządnie błyszczały nie tylko od łez, ale także od wina.

-Ta? Pomożesz? Ale jak? To już przecież wszystko! Co ja teraz bez Neli będę robić? No co?

-Wszystko poprawimy. Zaraz wyjaśnię ci jak.

- Na-naprawimy? Naprawdę?

- Daję słowo. Mogę przysiąc na naszą męską przyjaźń, wszystko będzie jak kiedyś. - Korij uroczyście podniósł prawą rękę. -*Przysięgam.*

-Ta? A jak? Jak mi pomożesz? Korij dolał wina do kubków.- Nigdy nie widziałeś, jak twoja Nela chodzi na przerwach do gabinetu dyrektora?

- No-o niee... - Pauza. - Kłamię, widziałem.

-No, właśnie. A widziałeś, jakie on ma dźwiękoszczelne drzwi? -Ta.

- No, właśnie. Mam poważne podejrzenia, że to nasz dyrektor jest tym ptaszkiem, który przylatuje do twojego rodzinnego gniazdeczka. A teraz, kiedy porozmawialiśmy *od serca*, nie

mam żadnej wątpliwości. Wszystko to jego sprawa. Jest jedynym takim alfonsem na cały lwowski obwód.

-Nie może być. Andrij Jarosławowicz... Chociaż, czemu nie, nawet całkiem może prawdopodobne... I co?

Korij przysunął się bliżej i położył Polusunowi rękę na ramieniu. Popatrzył mu w oczy.

- Posłuchaj mnie, Mirku, ty nie zginiesz. Musisz wprowadzić u siebie w domu porządek. Pokazać, kto jest w nim gospodarzem. Wygnać łasicę z kurnika. Bo inaczej do ładu nie dojdiesz. Czy wiesz, kto jest głównym powodem wszystkich twoich kłopotów? Kto?

- Andrij Jarosławowicz.

- Dobrze. Słusznie. Musisz dać mu do zrozumienia, że w domu jest teraz prawdziwy gospodarz. Konkretny gazda, co to zna cenę swojej żony i swego honoru. Mężczyzna, który umie poradzić sobie z takimi ot włóczęgami, wybacz, darmożjadami.

- Muszę - tępo powtórzył Myrko.

-Na, trzymaj. - Korij wyciągnął z kieszeni wielki, długi śrubokręt z pomarańczową rączką. - Pokaż temu obłudnikowi. Brutalnie, ale za to pewnie i twardo. Ja z tym kolegą już niejednego ptaszka wygnałem ze swojego gniazdka...

Myrko w zamyśleniu wziął śrubokręt i z pustką w oczach kontemlował padający za oknem śnieg. Popukał długim ostrzem śrubokręta w lakierowaną powierzchnię stołu.

- Dobrze, Romku. Pójdę i mu pokażę.

- Tak, pokaż. Niech pozna Prawdziwą Męską Przyjaźń.

-JA MU POKAŻĘ! - Polisun ze złością uderzył w wieko ławki. - Wlatywać w moje RODZINNE GNIAZDKO! - tu przyfasolił w ławkę raz jeszcze, głęboko wbijając śrubokręt w tanią okleinę.

- Pokaż mu, Mirku! Jest dyrektorem, myśli, że wszystko mu wolno. Pokaż mu, że proste chłopaki też mają honor! On, jak ten dziki jastrząb, przylatuje na gotowe! Pokaż, Mirku, daj mu, niech wie!...

Polisun wyszedł z gabinetu, ostrożnie zamykając drzwi. Korij wesoło potrząsnął głową. -Idź, pokaż mu!

Przez chwilę jakby przysłuchiwał się swojemu wnętrzu. Zbliżył się do niego Banzaj. Teraz, kiedy koledż znalazł się na skrzyżowaniu światów, jakiś nawiedzony student ze swoją oszalałą z dezorientacji koleżanką najmniej go obchodził.

Tak właśnie miały się rozpocząć Gry na polach Wszechmogącego.

Dima

A o Dimie, dobrym psycha-chalogu z brodą Papy Smerfa, wszyscy jakoś zapomnieli. Jednak i jego spotkał przykry los. Nieszczęśnik, poznał tajemnicę zbyt szybko. Zmiażdżyła jego świadomość, jak winne gronko.

Dima wpadł w dziwną katatonię, którą niedoświadczony lekarz pomylił ze śmiercią. Migiem powiadomiono jego żonę, która zażądała sekcji, mówiąc, że to wszystko jedni banda i że jej mężowi coś dosypali.

Ku ogromnemu zdziwieniu patologa sekcja dowiodła, że przyczyną śmierci była właśnie sekcja.

Całą sprawę szybko zatuszowano, mówiąc, że doszło do krwotoku mózgu.

Takie buty, drogie dzieci!

3.

Banzaj/ Miejskie obrazki (ciąg dalszy)

Rozumie się, że Banzaj poszedł do koledżu, ale przedtem nie omieszkiał zajrzeć do małej cerkiewki, o której wspominał szalony hipis. Cerkiewka była jedyną świątynią w całym mieście. Kiedyś znajdował się tu jeszcze całkiem niezły kościół... Banzaj przechodził obok niego co rano. Ale drzwi miał zabite deskami na krzyż: cała ludność katolicka wyjechała z Miedzianych Buków jeszcze przed 1947 rokiem.

Na zewnątrz kościoła wisiało kilka ogłoszeń: „Mieszkanie wynajmę”, „Tanie recepty na odchudzanie, przeciwko karaluchom, na artretyzm”, „Strzygę w domu. Aldona”, „Rower Pelikan, niedrogo” itd. Jedno największe ogłoszenie od razu zwróciło jego uwagę.

„Wielki cudotwórca Wasyl Uczciwy prowadzi uzdrawiające seanse w Domu Kultury. Wstęp wolny, komu pomogło - 50 hrywien”.

Dalej następował zbiór tytułów Waysła Uczciwego: magister Czarnej i Białej Magii w trzecim pokoleniu, siódmy syn siódmego syna, profesjonalny wróżbita i odczyniacz uroków, artronik, dianetyk i głowa ukraińskiego oddziału kościoła Christian Science, specjalista od rolfinu, Reich i Gestalt terapii, różdżkarz II kategorii, dyplomowane medium, egzorcysta linii woroneskiej, doskonale włada technologiami WC i PR, pomaga w otwieraniu Trzeciego oka, Trzeciego ucha i Trzeciego nozdrza (w celu odpowiednio: jasnowidzenia, jasnosłyszenia i jasnowęszczenia), nawraca na szlak prawdy, czyści czakramy, odświeża aury, odgaduje karmiczne związki. Nadszerokie spektrum wróżenia - z kału, ze wzorów spermy na białźnie po polucjach, z menstruacyjnych wydzielin, staroscytyjskie wróżby z żyłaków i wodojądrza,

tajne kongijskie wróżenie na wzburzonym moczu i płynie mózgowo--rdzeniowym, zapomniane proroctwa afrykańskiego plemienia Bwiti na bebeczach autystycznej krowy i wszystko to - za nikczemne 50 hrywien.

Banzaj zdziwiony wszedł do środka. Przeżegnał się, odmówił modlitwę i rozejrzał się. W cerkwi był sam. Jeśli chodzi o tych, którzy przyszli się pomodlić.

Bo przy ścianie stała maleńka budka: obok siedziała pobożnego wyglądu babunia-moskalicha. W budeczce sprzedawano świeczuszki i świece, różańczyki, lampeczki i różnego rodzaju foto-ikonki nie najlepszej jakości. Nieco w głębi leżały książki -Pismo Święte, Psalterz, Koran, Bhagawadgita, stosik zszywek „Strażnicy”, „Magia” Papiusa, „Tajemne doktryny tybetańskie” pani Bławackiej, „Okultyzm”, „Seksualna magia Zachodu” Alaistera Crowleya, książki o tematyce przestępczej - „Wor w zakonie”, „Zemsta ślepego”, „Jestem złodziejem” i tym podobne. A na samiuteńkim brzeżku stolika leżały kolorowe pirackie wydania pornograficzne „Miodowi chłopcy”, „Uczennica”, „Czasopismo na noc”...

- Wybierajcie, młody *czielawiek*, na *Ijuboj smak*, nie wstydzcie się... - kusiła go babka.

Do gardła podszedł kłębek mdłości. Uderzyła go fala zapachu kadzidła połączonego ze słodkawym aromatem zgnilizny.

Wybiegł z cerkwi, trafiając w potężną śnieżycę. Śnieg oczyścił jego świadomość.

Banzaj I koledź

Ze zdziwieniem przeszedł się po pustych korytarzach. Zdradziecka cisza sprawiła, że cały pokrył się gęsią skórą. Na drzwiach pana Jarosława znajdowała się notka:

Sorry, Jurku. Zachorowałem, przyjechała po mnie moja kicia.

+Jarko+

Tak, chemik zaniemógł; Banzaj ma dyżur. Rozebrał się, wziął książkę, którą miał zwrócić pani Dzierżysławie Czerewusze. Wypił gorącą herbatę i poszedł. Coś mu nieciekawie bulgotało w piersiach. Miał wrażenie, że do płuc wlano mu porządny kubek kisielu. Trzeba będzie zajrzeć do gabinetu Aliski.

Pani Dzierżysława miała przerwę. Cicho siorbała gorącą herbatę i obgryzała rozmoczone w niej ciasteczko. Pewnie piła już jakiś czas, ponieważ powierzchnia herbaty cała była pokryta spęcznianymi okruszkami. Na podłodze pod tablicą stał worek - duży, nieprzezroczysty, wypchany czymś wilgotnym. Przynajmniej tak to wyglądało - w mokrych miejscach celofan przylgnął do zawartości.

- A-a-a-a-a-a! Jurko! No, proszę, proszę....

Banzaj wstydliwie wszedł (takie serdeczne powitania zawsze przyprawiały go o rumieniec), wyciągnął więc przed siebie książkę, żeby od razu było widać, po co się tu pcha.

-Jez-zu S-słodki, Jurku, *jak pan zmarniał!* - nauczycielka klasnęła w pomarszczone dłonie. - Pewnie ciągle pan nie dosypia? Przecież w pańskim wieku trzeba o siebie dbać...

-To tak jakoś, i właśnie... przyniosłem pani książkę...

Pani Dzierżysława nieuważnie skinęła głową i zanurkowała pod stół w poszukiwaniu jakiegoś woreczka. Wyciągnęła go, postawiła przed sobą, rozchyliła brzegi i zaczerpnęła łyżeczką do herbaty porządną porcję ziemi.

Ze zdziwienia omal się nie przewrócił.

-A co tam pani ma... - zainteresował się. - Ziemia?...

-No tak... Ten mój lekarz przepisywał mi kupę tabletek, a ja ich nawet nie próbowałam, bo i tak nic nie pomagają. Pewnie ten doktor chce, żebym szybciej umarła, dla swojego świętego spokoju.

- Może warto byłoby zacząć od tabletek?

-A skąd ja mam to wiedzieć... Jestem już stara, tabletki - to dobre dla młodych, a jak mi ta ziemia smakuje, to dlaczego mam jej sobie odmawiać?

Banzaj wzruszył ramionami, w duszy cicho omdlewając.

- A to pani pomaga?

-A czy ja wiem... pomaga - nie pomaga, a do ziemi się przyzwyczaję. I tak mnie niedługo pochowają. Myśli pan, że nie wiem, iż mnie tu tylko z łaski trzymają? Ten Andrij Jarosławowicz tylko czeka, kiedy już spoczywać będę w Panu...

Zapadło niezręczne milczenie. Tak od razu nie wypadało uciekać, dlatego Banzaj ni stąd, ni z owąd zapytał:

- A gdzie jest pani kotek?

Pani Dzierżysława czujnie spojrzała na Jurka.

- A panu co do tego? - zapytała surowym tonem.

Banzaj teraz już w ogóle nie mógł sobie znaleźć miejsca. Pani Czerwusze najwyraźniej zaczęło brakować kilku klepek. Banzaj spojrzał na obrazek z pieskami, mając zamiar już opuścić to miejsce. Nauczycielka wykorzystała ten moment i przeciągnęła nieprzezroczysty worek z mokrą i ciemną treścią (celofan miejscami poprzywierał do zawartości) pod stół. Banzaj udawał, że niczego nie zauważył. Ale stara nie miała wystarczająco dużo siły, żeby unieść reklamówkę nad podłogę, dlatego na parkiecie, wskutek przeciągania, pozostał pałkowaty krwawy ślad - od ściany pod nauczycielski stół.

-E... Wasyl gdzieś poszedł - poprawiła się starsza pani i próbując zasłonić krwawą smugę, przesunęła na to miejsce fotel. -Przyniosłam mu jedzonko, a on gdzieś polazł... wiecznie zmienia koleżanki. To jedna, to druga... Tak się o niego martwię, może wpadł gdzieś pod samochód...

Wąziutka stróżka krwi przecierała sobie szlak przez kurz spod stołu do nóg Banzaja. Jurko spuścił wzrok. Zagryzł dolną wargę i odsunął czubek buta. Stróżka już nie płynęła, ale na końcu zaczęła wzdymać się w połyskujące czerwone wzniesienie.

- No to, ja już pewnie, m-m-m, sobie pójdę. M-m-mam, m-m-m--m, za chwilę mam lekcję.

- Tak-tak, proszę iść, ale niechże pan dba o siebie! Jest pan taki błydy jak śmierć! - Starsza pani podniosła na pożegnanie suchą dłoń. Kiedy drzwi się zamknęły, z niezadowoleniem, po starczemu zmarszczyła usta i władowała w siebie kolejną łyżkę ziemi.

4.

Aliska

- Zapalenie. Pneumonia. Juro. Jasne jak Dzionek Boży. Nawet pijana koza to pozna. Mam dla pana radę - proszę jechać do domu.

Jurko jakoś bardzo niewyraźnie pokręcił głową, mówiąc, może i pojedę, dlaczego by nie. Odwiedzę starych rodziców, wygrze-ję kości przy domowym ognisku i takie tam.

Zresztą, Aliska nie miała teraz zamiaru flirtować z tym studentem, dlatego nie przejawiała szczególnej pilności. Nie jest dzieckiem, sam już może o siebie zadbać.

Wyszedł z jej niedużego pokoju, który był niewiele większy od jego gabinetu, ostrożnie zamknąwszy za sobą drzwi. Wyglądał na zbyt zmęczonego i wyczerpanego, żeby realnie ocenić stan rzeczy. W jakimś przeblysku uczuć macierzyńskich Aliskę przez chwilę korciło, żeby przytulić się do tego chłopca, udręczonego przez nie wiadomo co. Ochronić go, napić lipową herbatką z miodem, położyć do ciepłego łóżeczka i *dbać, dbać* o mego... ale zaraz odrzuciła precz takie nieuczesane myśli. I bez snu na jawie miała o czym rozmyślać.

Chociażby o bardzo ciekawych ze swej natury stosunkach z Nelą Lisunką, nauczycielką ukrężyka, żoną Polisuna, nauczyciela ukrężyka, wnuczką starej Lisunychy, nauczycielki ukrężyka, synową starego Polisuna, który był ciotecznym wnukiem Andreja-Sylwestra Polisuna, znanego ludowego nauczyciela z Karpat, swata *zupełnie innego* Polisuna, tego, który miał pięciu synów Polisunów (co do jednego wszyscy wyrosli na nauczycieli; wszyscy oprócz tego, który jeszcze jako nastolatek poszedł w tutejsze lasy i nie powrócił) prawnuka

starego rodu Polissunów, członków Proswity^{*}, o których pierwsze wspomnienia wycięte są na deseczkach Księgi Welesa^{**}. Aliska sama nie mogła zrozumieć, jak się wplątała w tę matnię. Od dzieciństwa była grzeczną dziewczynką, wierzyła każdemu rodzicielskiemu słowu, szanowała starszych, pomagała młodszym, spotykała się tylko z porządnymi, czystymi chłopcami z porządných rodzin o niesplamionym rodowodzie. A tu masz ci los.

Pierwsze wrażenia z koledżu nie były najlepsze. Aliska uznała, że pracownicy (których *prowadzenie się* jest dość podejrzané) za bardzo epatują i odpychająco skandalizują. Czy jak to tam jeszcze nazywają. A tu masz ci: taką fantastyczną kobietę spotkała - panią Nelę Lisunkę, nauczycielkę ukraińskiego.

Na początku było to dziwne zauroczenie osobą pani Neli - jej manierami, sposobem bycia, wewnętrznym światem i pojmowaniem świata zewnętrznego. Pani Nela lubiła czasem rzucić podczas rozmowy kilka nedorzecznych łacińskich fraz, od których Aliska aż omdlewała. Albo zacytować dźwięcznym głosem zakreśloną wierszyk, któregoś z Rozstrzelanych^{***}. Od tego to już całkiem Aliska szalała.

A dosłownie dwa tygodnie temu Aliska jakoś tak mimochodem uświadomiła sobie, że aż po same rumiane koniuszki płatków uszu jest zakochana, a dokładniej ZAKOCHANA w swojej teraz już koleżance Neli. Takie niewinne zrozumienie stało się mikroszokiem dla jej mięśnia sercowego.

Ale Aliska radziła sobie z tym uderzeniem. Z ogromnym zdziwieniem zaczęła zauważać *Oznaki Zainteresowania* ze strony pani Neli! A wczoraj (o Boże, Najświętszy Słodki Jezu, co było wczoraj!)... Wczoraj nawet się całowały! (O Boże, jej usta były słodkie jak woda święcona!). Już zmierzchało, wszyscy niepotrzebni nauczyciele uciekli do domu, czym dalej od ogniska grypy i zainfekowanych drzazg, jedynie dobra, elegancka, uprzejma, świetnie wychowana, zawsze odnosząca się do niej z szacunkiem i uwagą pani Nela została w gabinecie ogrzewanym zgrają zalęknionych kaloryferków, żeby sprawdzić zeszyty. Zawołała do siebie Aliskę, że niby to dwie fajne babki wypiją kawkę z ciasteczkami, pogawędzą sobie od serca, i zeszyty łatwiej będzie sprawdzać. Było już całkiem ciemno, a jednak pani Nela

* Proswita – towarzystwo założone we Lwowie w 1868 roku, którego głównym celem było podnoszenie poziomu edukacji Ukraińców, szczególnie na wsi (przyp. tłum.).

** Księga Welesa (ukr. *Welesowa Knyha*) - stylizowany tekst o religii i historii starożytnych Słowian dotyczący okresu od VII do IX w. (przyp. tłum.).

*** Rozstrzelane Odrodzenie (*Rozsthljane Widrodžennja*) - generacja literacko--artystyczna z lat 20. i 30. lat XX w., wyniszczona przez bolszewicki reżim. Nazwę zaproponował Jurij Ławrinenko, wydając antologię pod tym tytułem w paryskiej „Kulturze” (przyp. tłum.).

uznała, że dopóki pije się kawę, nie warto zapalać światła. Siedziały w pierwszej ławce, przytuliwszy się do siebie (gra nazywa się: „Zimno-mi-przytulę--się-do-ciebie-mocniej”), chlepcąc kawę, trzymając filiżanki jednocześnie dwiema rękami i chichocząc z byle czego, jak uczennice, które najarały się trawką w toalecie. A potem pochylone nad sprawdzanymi zeszytami (apogeum wyżej wspomnianej gry), bez wcześniejszych ustaleń, zaczęły się agresywnie całować, gryząc wargi i splatając języki.

I co o tym sądzicie, Panie i Panowie? Bo Alisce, na przykład, bardzo się spodobało. I pani Neli, jak sądzę, też.

I teraz Aliska siedziała za swoim stołem, obcinając brzytwką „SPUTNIK” brzegi płachty kartonu, z której przykazano jej zrobić gazetkę ścienną o SPIDZIE* i świętym Mikołaju (tak już się złożyło, nic się na to nie poradzi). Neli dzisiaj nie było, miała wolne. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny Aliska bezustannie myślała o swoim położeniu. Jak również o Neli i wszystkim, co się z nią wiąże. Pływała w złocistych wodach hormonalnego odlotu i najbardziej miała teraz ochotę siedzieć z Nelą. I całować się. Dziwne odczucie - ledwie wyczuwalne wibrowanie w miększu skóry twarzy, w wiśniowej przepaści ust. Napięcie, które można rozładować tylko w jeden sposób - całując się.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili wszedł pan Andrij. Aliska ciężko westchnęła i naciągnęła na twarz okolicznościowy i adresowany do dyrektora uśmiech. Dziś już przychodził do niej jeden szalony staruch - nauczyciel hiszpańskiego. Przez całą godzinę głądził o jednym i tym samym. Że niby to świetnie opanował proroctwa ukraińskiego Nostradamusa Musija Wernyhory. „Tam napisane jest czarno na białym - na wszystkich nas przyjdzie kryśka!”. Już wkrótce nastąpi Koniec Świata. Powiedziano: kiedy Dwugłowego Orła osiodła Szara Kuska, kiedy Rudy Lew, zrodzony w roku tygrysa wymaże się własną kupą, kiedy miauczenie Lwa wprowadzi w konsternację jego drużynę, kiedy żelazne tygrysy rozedrą cię z Półksiężycą - wtedy wszystkim wam nałożą białe papucie. Tak napisał Wernyhora Musij, znamienity jasnowidz. I tak cytował go nawiedzony żydowski Hiszpan, spędzając swoją lekcję u Aliski.

Pan Andrij uśmiechnął się szeroko, że aż przebiegły jej po skórze zimne mrówki.

- Dzień dobry, jak się pani miewa? - spytał tonem „Zjadłem--twoją-słoninę-bo-miałem-cię w dupie”. Pan Andrij wyglądał dziś na jeszcze bardziej nawiedzonego niż kiedykolwiek. Był chory, miał podwyższoną temperaturę, pewnie gorączkował, i dlatego oczy błyszczały mu jak diamenciki na raciczkach diabła. Pilnuj się dziecino i nie daj sobie napluć w kaszę, jak mówił

* Nieprzetłumaczalna gra słów, SNID po ukr. AIDS, gra słów SPID-SNID (przyp. tłum).

jej świętej pamięci dziadek. Niespotykanego charakteru człowiek, mówię wam. Zmarł na raka prostaty. Aliska *tak* za nim płakała.

-Dzień dobry. E... mogę w czymś pomóc? - nie powstrzymała się od pytania.

Pan Andrij, milcząc, usiadł na fotelu koło pielęgniarki. Głęboko wciągnął w płuca powietrze, jak przed poważnym występem przed poważną publicznością. Aliska przestawiła damską torebkę na drugą stronę swego fotela, żeby chociaż w ten sposób odgrodzić się od dyrektora. Założyła nogę na nogę. Złożyła ręce na piersiach i przygotowała się do słuchania. Serce wyraźnie do niej szeptało: „Ten skurwysyn przyszedł tu nie ot tak sobie. Strzeż się, bądź w pogotowiu. Żeby nie było tak, *jak wtedy*”.

- Zrelaksuj się, nie denerwuj się. Wpadłem po prostu z tobą porozmawiać. Słowo daję - pan Andrij odczepił jej rękę z samo-objęcia i położył na stół, przykrywając własną dłonią. Aliska spróbowała się uwolnić, ale pan Andrij przycisnął mocniej.

-Proszę puścić! Puś...

Dyrektor zeskoczył z fotela i rzucił się na nią. Aliska zapiszczała, bo stary wykręcił jej rękę za plecy i zakrył usta. Rzucił ją na stół.

-Dobrze, bardzo dobrze... - wysapał pan Andrij. Aliska zwijała się pod jego ciałem jak wąż. Jej oczy już, już miały wyskoczyć z orbit. Wolną ręką Aliska wymachiwała w powietrzu, celując w twarz gwałciciela. Pan Andrij zaczął zdzierać z niej rajstopy. Aliska zapiszczała głośniejsze, ale dyrektor mocno przycisnął ją brzuchem do stołu. Chciał zedrzyć majteczki, tak jak wcześniej nylony. Ciężko, ciężko oddychał, jakby za chwilę miał umrzeć z podniecenia. Dziewczyna zwijała się i wykręcała, ale jej los był przesądzony już na początku.

Aliska ciągle piszcziała, chociaż wszystkie dźwięki dusiła spocona łapa na jej ustach. Raptem szalony wzrok padł na ostrze „SPUTNIKA”, którym chwilę temu obcinała nierówne brzegi brystolu. Spróbowała je złapać, ale brzytewka była zbyt płaska, żeby, ot tak, podnieść ją z gładkiej powierzchni papieru. Aliska ścisnęła ją dwoma palcami, wbijając sobie ostry koniec pod paznokcie. Pan Andrij sapał i ocierał się o nią pachwiną, chociaż nie zdążył jeszcze ściągnąć spodni.

Krew spod paznokcia trysnęła na białą powierzchnię. Aliska krzyknęła z bólu (spod dłoni wydobywało się tylko słabiutkie beczenie owcy). Machnęła wolną, wymazaną strumyczkiem krwi ręką po gorącej dłoni pana Andrija.

- A-a-a-a-a-a! S-s-s-s-suka! S-s-s-s-u... - zawył jak wykastrowany knur. Natychmiast puścił rękę Aliski i złapał się za własną. Między palcami ciekła krew.

Dziewczyna szybko odwróciła się do gwałciciela i z rozmachem cięła go brzytewką.

Pan Andrij teraz aż zawył, zaskowyczał i zajęczał z bólu. Aliska trafiła ostrzem dokładnie w jego prawe, ufnie otwarte oko. Naostrzony metal rozciął rogówkę, jak ciepły kawałek masła, odcinając przy okazji skrawki powiek. Rana w oku przechodziła w głęboki rów u nasady nosa, z którego potokiem spływała krew. Gdzieś tam białło przeświecała kość czołowa.

Wył i charczał oszalały z bólu. Oko wyciekło w postaci przeźroczystego kisielu i zmieszało się z czerwienią. Aliska jak w transie oglądała dzikie widowisko. Wstrząsnął nią dreszcz. Jeszcze trzy minuty temu siedziała sobie, mile marzyła, aż tu przyszedł TEN, próbował ją, proszę wybaczyć, wyruchać, a ona... Co jej pozostawało? Wszystko w porządku, na twoim miejscu tak zrobiłby każdy. Tylko uspokój się i odłóż brzytwę.

Aliska w jednej chwili pokryła się potem, zaczęła szczekać zębami. Ostrze wypadło z jej ścierpniętych palców. Zasłoniła usta obiema rękami i zaczęła cicho wyć: bardzo powoli wlewało się w nią zrozumienie tego, co się stało. Dziewczyna tłumiła swój krzyk w dłoniach. Pan Andrij ciągle ryczał jak buhaj, upadłszy na stół.

Miotaly nią sprzeczne uczucia. Nie wiedziała, czy podjeść do niego, wybaczyć te wszystkie głupstwa, które nabroił, opatrzyć rany i serdecznie przeprosić, czy też napisać coś na jego twarzy „SPUTNIKiem”. niespodziewanie pan Andrij podniósł się, spojrzał na nią nieuszkodzonym okiem (Aliska całkiem słusznie pomyślała, że teraz prawdopodobnie, kiedy starego osądzą za próbę gwałtu, w zonie będą na niego wołać Cyklop) i wepchnął rękę do kieszeni. Wyciągnął stamtąd zwyczajny kreślarski cyrkiel.

- Chodź no tu, słoneczko - zachrypiał. Oczywiście, ból spowodował szok i teraz wszystkie zmysły dyrektora uległy stępieniu. Wystawił tę niebudzącą zaufania broń przed siebie i ruszył w obchód stołu. Aliska zapiaszczała znowu i zamiast uciekać z gabinetu, również zaczęła obchodzić stół, utrzymując dystans. Cichutko chlipała.

- Proszę mnie nie ruszać, teraz pana wsadzą...

Pan Andrij rzucił się do przodu, od czego dziewczynisko znowu zapiszczało. Ale ten biegł nie do niej, tylko do drzwi. Przyskoczył i zamknął je na klucz.

Aliska wreszcie zrozumiała, jak naiwnie dała się złapać w pułapkę. Pan Andrij wytarł kciukiem ślimaczek krwi, który spęzł spod oka w okolice nosa. I rzucił się na dziewczynę.

5.

Banzaj

Banzaj był u siebie w gabinecie. Chodził wokół fotela, który stał pośrodku. W rękę trzymał wielki kubek, wypełniony gorącą herbatą. Chorzy powinni pić dużo płynów, a Banzaj akurat był chory. I właśnie zaczynał to odczuwać.

Chodził wokół fotela. W fotelu siedziała Darcia, trzymając taki sam kubek, po brzegi wypełniony mocnym trunkiem. Szczerze mówiąc, herbata to była tylko z nazwy. Połowę płynu stanowił koniak przyniesiony przez Banzaję z gabinetu Dimy (miał klucze) z dodatkiem pół łyżeczki waleriany.

Dłonie Darcii w widoczny sposób drżały. Raz za razem pociągała czerwonym nosem, z którego nadal ciekło. Poza tym Darcia często mrugała rzęsami, strząsając z nich łzy, wielkie jak dziwaczne błyszczące płody.

Kilkanaście minut wcześniej odbyła się niewielka scenka. Nie z gatunku tych, które lubiła urządzać Sola; ta miała nieco inny charakter. Darcia dostała ataku hysterii.

Jurko siedział u siebie i rozcierał czoło opuszkami palców, próbując jakoś powstrzymać ból, który chciał się wdrzeć do środka. Wpadła do niego *ona sama*, czyli Darcia, biała jak ściana naprzeciwko, z chorobliwie czerwonymi wargami, które wyglądały tak, jakby ich właścicielka przed chwilą przegryzła komuś arterię. Nawet przez podkoszulkę można było wyczuć żar jej ciała. Wyglądało na to, że i Darcia nie miała szczęścia.

Usiadła na fotelu obok Banzaję, położyła ręce na stół, przechyliła głowę, żeby odnaleźć jego oczy, i ufnie zaszeptała:

- Banzaj, ciebie tu tak naprawdę nie ma! To wszystko sen! Śpię i mam sen, i śnisz mi się ty. Ale to nie jest mój sen, tylko sen tego *kazła*, tego idioty, tego krety przy drzwiach, ochroniarza, Korija, czy jak mu tam. Rozumiesz? Nie istniejesz! Po prostu mi się śnisz. Mogę cię skłąć i nic się nie stanie. Mogę cię uderzyć i nic mi nie będzie. Mogę się z tobą przespać, słyszysz, maro senna? A nic się nie zmieni. Nawet nie wpadnę! Rozumiesz? Głupia maro senna!

Darcia odwróciła się twarzą do ściany i głośno powiedziała: -Ty koźle, ty nawet Banzaję nie mogłeś zrobić! W życiu on jest całkiem inny!

Banzaj zmęczonym gestem podparł głowę. W płucach klekotało, a z czoła buchało gorączką.

-To nie sen...

-Ty!., ty jeszcze coś do mnie mówisz? Senna maro!

- Jeśli to wszystko sen, to dlaczego do mnie przyszedłeś? Myślałeś, że ja nie śpię?

Darcia wzruszyła ramionami, ale powiedziała:

- Z sennymi marami nie gadam.

- Darcie, to NIE SEN. Ten stary przerzucał cię ze snu w sen, ale teraz to już nie jest sen.

- Nie masz żadnych dowodów.

-Nie, nie mam, ale jeśli i to jest snem, to ja go sobie też uświadamiam.

-Za ciebie może myśleć Korij. Skąd mam wiedzieć, że jesteś Banzajem? Chociaż może i jesteś podobny...

- Paliliśmy razem fajkę wodną przed zabawą. A potem u mnie nocowałaś...

- No i co z tego? - Darcia pożerała go wzrokiem. - Korij nie takie rzeczy wiedział, a mówił o sprawach, o których w ogóle nikt nie wie.

Banzajowi zrobiło się na duszy ciężko, aż nie do wytrzymania. Głos w jego głowie (skąd mu się wziął?) przemówił cicho: *Walnij tę suczkę w pysk. Może wtedy zrozumie, że to nie sen. Uderz... pokaż, kto tu jest gospodarzem w domu... Uderz - i do piwnicy. I tam w piwnicy... jednym słowem, jak wtedy...*

Fala rozdrażnienia uniosła się z głębin mózgu, aż zaswedziało w nosie i strasznie chciało się zbić na kolanie tę upartą dziewczuchę,

(po pysku - i do piwnicy)

pokazać, kto w domu

(jak wtedy)

jest gospodarzem.

Raptem sam przestraszył się swoich myśli. Zdawało się, że przyszły z zewnątrz.

Darcia popatrzyła na niego spode łba. Jej dolna warga drżała. -Sen, ja śpię ... ciebie nie ma... Sen...

- Nie, Darcie, nie sen...

-Zamknij pysk, senna maro! Nikt cię nie pyta!

A potem Darcia zaczęła płakać. A dokładniej, gwałtownie wyć, rozmazując łzy po całej twarzy, gdyż nie miała przy sobie chusteczek. Banzaj zagarnął ją rękami i przytulił do siebie. Darcia na początku wyrywała się, ale prawie natychmiast przestała i tylko płakała na całe gardło. Banzaj mocno ją do siebie przycisnął, czerpiąc niewymowną przyjemność z aż do bólu znajomego zapachu dziewczyny.

Trzeba uczciwie przyznać: płakała długo.

Banzaj wytarł jej buzię rękawem swojego podkoszulka. Darcia oplótła jego szyję i popatrzyła za okno, gdzie szalała burza.

-Już? Możesz mówić? - cichutko wprost do jej ucha szepnął Banzaj.

Darcia kiwnęła twierdząco głową, ale od razu rozsłochała się na nowo. Nie minęło jednak wiele czasu, gdy wreszcie się wypłakała i uspokoiła. Jurko zaparzył herbatę i skoczył do gabinetu Dimy po koniak i walerianę.

Pili w milczeniu, każde zajmowało się swoimi ciężkimi myślami. Darcia odstawiła kubek i włożyła Banzajowi na kolana, znowu zarzucając mu ręce na szyję.

Przytuliła usta do jego ucha i bardzo cicho powiedziała:

- Wszystko mi jedno, czy to sen, czy nie. Chcę ciebie, słyszysz? - Teraz? - tak samo szepcząc, zapytał Banzaj.

- Ta.

- Tutaj?

- Gdziekolwiek.

Banzaj zastanawiał się. Jego wnętrze szalało z radości i triumfu.

- Chodź, pójdziemy do mnie. Tutaj są wszyscy, łącznie z Korijem. Po lekcjach pójdziemy do mnie, dobrze?

Darcia schowała twarz pod jego rękę. Cicho siąknąwszy, kiwnęła głową.

- Dlaczego nie teraz? - zapytała, ciągle szeptem.

- Są jeszcze sprawy do rozwiązania. Przecież wiesz... chcę z tobą pójść, zobaczyć, co to za historia z tą piwnicą. Wszystko sprowadza się do tego, prawda? Piwnica. Kiedy się napaliłem, mówił o niej Korij, inni też mówili o piwnicach. Trzeba zejść i sprawdzić. Nic więcej, Darcu. Jeśli będzie tam się działo coś bardziej poważnego...

- Jak na przykład co?

- Jeśli zobaczymy tam Korija.

- To co wtedy?

- Wtedy uciekniemy. Jak chcesz, to do mnie....

- Tak. Chcę. Posiedź ze mną jeszcze troszkę. Obejmij mnie. Banzaj tak właśnie zrobił.

Za oknem szalała burza, a oni siedzieli, przytuliwszy się, jak małe dzieci, a potem trochę się całowali, tylko odrobinę, prawie porządnie. Prawie.

Ale było im dobrze; bez względu na wszystkie wydarzenia świata zewnętrznego, było im we dwoje dobrze.

część trzecia

godzina magii

Rozdział 1

1.

Darcia

Darci było bardzo źle. Już od dłuższego czasu. Dokładnie odczuwała, jak powoli luzują się jej klepki. Raczej nie pozostawała osamotniona w swoich lękach, ale na pewno czuła się porzucona i samotna. Jak na swój wiek i wygląd. Nadeszła właśnie ta pora, kiedy oszukiwanie, że jest się już dorosłym, przychodzi prościej niż kiedykolwiek dotąd.

Wmawiała sobie, że wcale nie jest porzucona i że jest na tyle dorosła, że po prostu ho-ho. Naprawdę zaś jedyną i prawdopodobnie pierwszą osobą, która pokonała Wielki Rów Mariański, oddzielający Darcie od innych ludzi, formalne stosunki od związków emocjonalnych, zewnątrz od wnętrza, był nie kto inny, jak właśnie Banzaj. Jedyny.

Było w nim coś, co można by nazwać swego rodzaju pokrewieństwem. Niewykluczone, że chodziło o właśnie letalny gen szaleństwa albo pociąg do samotności za wysokimi murami. Nie otwierać się przed nikim i w żadnych okolicznościach. Jak dziwne perłopławy, które hodoją między różowymi płaszcami tajemnicze perły. Tak, Darcia nie miała wątpliwości co do Banzaj a. Szczególnie po tym, kiedy nocowała u niego w domu. Kiedy te kobyły z internatu ją wyгнаły, suki. Było jej wstyd przyznać się nawet samej przed sobą, że bardzo mocno pragnie być z tym dziwnym Banzajem.

Potrafił przyjąć Darcie wraz z całą jej nietutejszością i niewymiarowością.

Ale klepki klekotały coraz głośniejsze i obawiała się coraz bardziej i bardziej. Korij przychodził do niej we śnie, pokazywał, no, różne nieprzyjemne rzeczy. Zabierał ze sobą w dzikie śnienia, ze snu w sen, bez przebudzenia. Nie budziła się przez stulecia, wędrując po chimerycznych, amorficznych pokładach marzeń w fantazji diabelskiego Korija, kapłana zła w koledżu. Oni **(oni wszyscy)** jeszcze nie odczuwali całej jego mocy, jego nadprzyrodzonej władzy nad tkaniną rzeczywistości. Nawet Jurko tylko w przybliżeniu wyobrażał sobie, czego można oczekiwać od tego narwańca.

Całkiem niedawno (mniej więcej wczoraj na lekcjach, które i tak się nie odbyły), kiedy jeszcze nie znikła cienka granica między snem i niespaniem, Darcia poszła do pokoju Sampłowanego i Małajalama. Trochę się z nimi kumplała, bardziej z Pajakiem, bo Sampel przeważnie robił sobie z niej jaja. Nie do końca miała pojęcie o tym, co chce usłyszeć,

zobaczyć, czy kogo ma tam nadzieję zastać (może Banzaja), jednak spodziewała się, że w miarę znośne towarzystwo podniesie ją na duchu.

Darcia zapukała i prawie natychmiast weszła. Sampel gorączkowo chował popielniczkę do szafki nocnej, a Pająk w panice próbował wypędzić siwy dym przez okno. Pozostała dwójka siedziała praktycznie nieruchomo i zupełnie niewzruszenie - Genyk Brjewnow z sąsiedniego pokoju i dziewczątka, które kurczowo ścisnęło go za rękę i siedziało obok na łóżku. Dziewczę miało włosy pomalowane na czerwono i ogromne oczy, którymi dosłownie pożerało swoje kochanie, czyli Genyka.

- A, to ty - z ulgą westchnął Sampelowany i na jego twarz powróciły kolory. Oczy znacznie bardziej czerwone niż u królika wesoło pobłyskiwały. Takie same spojrzenia miała cała reszta. Pająk wyciągnął popielniczkę i znowu zapalił skręta. Darcia знаła już skądś ten zapach.

Usiadła na łóżku obok rudego Genykowego dziwadła (dociągali jointa już do ostatka, zagiąwszy koniuszek z nadzieniem do góry tak, że przybierał formę fajki), przekazując szuwaks zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Darcia zauważyła, że chłopcy zatkali szparę między progiem i dolną krawędzią drzwi wilgotną szmatą do podłogi. Dziewczę pewnie już nieźle się nabuchało, bo teraz w zadumie studiowało pęknięcia w podłodze, przytuliwszy się uchem do ramienia Brjewnowa. Przyjaciele rozmawiali o czymś osobistym, używając hermetycznego szyfru:

- A kiedy macie zamiar tam pójść? - zapytał cichym głosem Brjewnow.

-Kiedy, Pajęczycho? Jutro. Prawda...? -Tak, najszybciej... - kiwnął głową Pająk.

- No, jak chcecie, ale mnie nie namawiajcie. Już tam raz byłem w dziewiątej klasie. Tak, jak i wy, z ciekawości, niech no, myślę sobie, sprawdzę jedną teoryjkę...

-Jaką teoryjkę? - błysnęły oczy Pajaka.

- Taka tam... działały się wtedy dziwne rzeczy. Coś w typie tego, co teraz. Ja na waszym miejscu to bym się tam nie wciskał, naprawdę, panowie. Straszne miejsce. Mokro i dziwnie śmierdzi.

- No, a jak tam można wejść?

-Już wam przecież mówiłem - spokojnie i płynnie kontynuował Brjewnow. - Idziecie do dziewczęcego internatu, na drugim piętrze, tam z boku jest taki korytarzyk. Na końcu korytarzyka -schody w dół, zagrodzone kratami. Przejdziecie przez nie -wszystko będzie okay. Chociaż - wątpię.

-W co? Że przejdziemy?

- Ze wszystko będzie okay. Nie leżcie tam, proszę was, panowie. Paskudne miejsce, prawda?
- zwrócił się do dziewczyny.

Rude dziwo kiwnęło głową i mocniej przywarło do jego ramienia.

-Mówię wam: jedźcie do domu i przeczekać to wszystko. Niech przycichnie. Tu już raz się działy podobne rzeczy, tylko bardziej lokalnie... Wy tego wówczas nie odczuwaliście. Ale teraz wszystko wygląda na poważną biedę, rozumiecie, co mam na myśli? - Brjewnow uważnie, ale tak samo spokojnie studiował twarze chłopców z naprzeciwka.

Hipnotyzował Darcie: bardziej zrównoważonej osoby jeszcze nie miała okazji spotkać, chociaż czasami wydawało jej się, że w spojrzeniu Genyka przeskakują takie pomarańczowe iskry szaleństwa jak u niej. W oczach Darci była to jedna z najbardziej zagadkowych i najdziwniejszych osobistości koledżu. Stanowił ważną figurę na Polach Wszechmogącego, ale to już całkiem inna historia.

Dziwo lekko wysłuchało przestrogi Genyka i wepchnęło w usta wolny kciuk. Zapadła złowróżbna cisza.

-Nie, stary - nareszcie przemówił Sampel. - My naprawdę musimy. My pójdziemy, i ten, jak go tam... K... khm!

Sampel miał powiedzieć coś ważnego, ale Pająk szturchnął go łokciem w bok. Brjewnow sprawiał wrażenie, jakby wszystko zrozumiał.

- To zdarzyło się jeszcze za pierwszego dyrka, wołali go Psy-chol... Ale on was pewnie nie uczył.

Chłopcy przecząco pokręcili głowami.

- On i ten dzisiejszy, to jak dwa buty z tej samej pary. Tak więc mój przyjaciel - ten, którego zabił pociąg, mówił, że tu coś w korzeniu jest nie tak. Jasne? Dlatego nie chcę, żebyście śmigali po... no, wiecie gdzie. To się dobrze nie skończy - Genyk uważnie spojrzał na Sampla i Pajaka, a potem na Darcie, które ze zdziwieniem słuchała ich rozmowy, będąc niezmiernie blisko zrozumienia sensu; jednak wiedziała za mało, żeby złapać wątek.

Sampel kaszlnął w pięść. I zapytał jak gdyby nigdy nic:

-A przy okazji, Darcu, przyszłaś o coś zapytać?...

Darcia nie miała nic do powiedzenia. Dziwny zapach z papierosów działał na nią w osobliwy sposób - bardzo znajome odczucie. W każdym razie teraz jest tu nieproszonym gościem. Wygląda na to, że czuwaki mają problemy.

-Nie - odpowiedziała wreszcie wyschłymi ustami. - Myślałam, że może jest tu Banzaj. Ale skoro nie ma...

- Nie-nie, z pewnością go tu nie ma - ze zrozumieniem pokiwał głową Pająk, wyginając w grymasie kącik ust.

Darcia pożegnała się i poszła.

Nie znalazłszy ukojenia (Banzaj przepadł nie wiadomo gdzie, ciekawe z kim miał teraz lekcje?). Darcia poszła się zdrzemnąć do swojego pokoju.

Zasnęła. Tak rozpoczął się dla niej surrealistyczny kryzys w Magicznym Teatrze.

Błąkała się po onirycznych labiryntach, zbliżając się do granicy szaleństwa wyjątkowo blisko, póki nie zerwała się rano, jeszcze przed szóstą, cała zlane lepkiem potem, zachowując w stosunku do otaczającej ją rzeczywistości pewne niedowierzanie. Suki spały (dzięki, Boże, za skromne twe dary); Darcia rozebrawszy się do naga, umyła się w zimnej wodzie z kranu. Ciepłej nie było tu od 1943, a prysznice w damskiej łazience, w przeciwieństwie do tych w męskiej, były zamknięte i zamienione na nieczynne **piwnice**. Ani zimno wody, ani wodnistość zimna nie były w stanie przekonać jej, że już nie śpi. Potem przebrała się w czyste rzeczy, zaparzyła herbatę i wyszła na korytarz. Tam trochę sobie popłakała i pomyślała, jakby to było dobrze leżeć teraz z Banzajem w ciepłym łóżku; po prostu leżeć i niczym się nie przejmować, tak jak wtedy. Bo wszystko, co ją otaczało, co miało na nią wpływ - wszystko już ją śmiertelnie znużyło. Dźwięki i głosy, które słyszała tylko ona, suki z internatu, sny, rodzice, których trzeba było jeszcze od czasu do czasu odwiedzać.

A potem poszła do Banzaja, nagadała mu kupę bzdur i skłęła od stóp do głów. A potem uwierzyła mu, że sen się skończył, a później powiedział, że nie ma nic przeciwko doprowadzeniu do końca tego, co rozpoczęło się pewnej jesiennej nocy.

Ale ciągle się bała. I Banzaj, jak można było się domyślić, analizując wszystkie szczegóły też. Mieli iść do jakiejś piwnicy. (Pamiętasz, i Korij też coś wspominał o piwnicy).

Kiedy siedzieli w jego gabinecie, gdzie tak mile pachniało Banzajem (Darcia właśnie obejmowała go za szyję), smutnie--smutno przyznała się, że jest jej przerażająco ciężko. I straszno. I czy nie mogliby nie iść do żadnych piwnic, a jeszcze posiedzieć tu sobie z pół godzinki i pójść w tę zawieruchę do Banzaja do domu... I włączyliby muzykę, niezbyt głośno, żeby nie nastraszyć sniegu, i „Creedence Clearwater Revival” bardzo cicho śpiewaliby „I put a spell on you” i ona tak samo cicho by podśpiewywała, a potem leżeliby na łóżku, w cieple, w zaciszu, bez strachu przed szumem i nieznanym, i patrzyliby, jak na szybę spadają śnieżki.

- Tylko zejdziemy. Tam i z powrotem. - Próbował uspokoić ją Jurko. - Jeśli chcesz, zaczekaj na mnie tutaj. Korij panuje tylko nad snami, a my się obudziliśmy. Poczekasz?

Darcia przecząco burknęła i mocniej się przytuliła. Spać, tylko spać bez snów, przeczekać, aż wszystko minie bez śladu, a wtedy zbudzić się i cieszyć się życiem, normalnym życiem, gdzie

wszyscy cię lubią i szanują, i cenią, i uważają za autorytet. WSZYSCY, a nie jeden wyczerpany i chory na zapalenie płuc Banzaj.

- Idziemy?

Darcia znowu mruknęła coś niewyraźnie, ale nie chciała zejść z kolan.

Dziki krzyk, przypominający wycie mandragory, który rozległ się w koledżu, wprowadził ją w drżenie i zmusił do tego, by mocniej wczepić się w ciepło Banzaja. (nigdzie nie idziemy, siedzimy tutaj, chcę cię, Banzaj, chcę spać w ciszy i bezpiecznie dlaczego dlaczego?) Dlaczego tak się wszystko toczy?

Jurko dziwnie zbladł. Ledwie zdjął z siebie Darcie i stanął na równe nogi (próbowała wspiąć mu się na rękę).

-Darcie, zjedź, tam coś się stało...

Darcia przecząco pokręciła głową, ciągle jeszcze wisząc na rękach Banzaja, oplótłszy go w talii nogami, jak lemur.

- To wszystko Korij, nie idź tam, słyszysz? - wycodziła. - To nawet nie Korij, tylko któryś z uczniów wariuje, bo ogłoszono kwarantannę. Nie idź, no proszę...

Jurko westchnął:

-Zejdziemy na trzy minutki do piwnicy. Postoisz przy wejściu, a ja zajrzę do środka, zobaczę, czy tam czegoś nie ma. Potem biorę cię znowu na rękę i idziemy do mnie.

- Nie, ja chcę spać - już ponownie prawie płakała Darcia, nie reagując na prośby o uwolnienie jego szyi. Odczuwała nie-umotywowany zwierzęcy strach, naturalne przecucie katastrofy, która zbliża się z minuty na minutę.

Wreszcie rozplotła ręce. Stała na podłodze. Złapała Banzaja za rękę.

- Trzy minutki. Obiecałeś.

-Trzy minutki. Nie więcej - odpowiedział Banzaj. - Im szybciej pójdziemy, tym szybciej wrócimy.

Wyszli na korytarz i poczłapali na drugie piętro, do dziewczęcego internatu.

Darcia poczuła, że ma gorączkę. Sądząc z objawów, to samo działo się z Banzajem. Wyglądał jak nieboszczyk, z trupią bledością na twarzy i z fioletowymi kołami pod oczyma, które miały odcień poduszek w trumnie mafioza.

Banzaj znalazł malutki korytarzyk i przegrodzone kratami schody w dół.

- To by było na tyle, nie przejdziemy. Teraz wracamy - Darcia szybko spróbowała zawrócić.

Ale zamek na kratkach był rozwalony.

- Idziesz ze mną, czy zostajesz tu? Poczekasz?

Darcia tupnęła z bezsilności nogą i zagryzła wargi, żeby znowu się nie rozszołać z braku innej możliwości. Lęk, jak włochoaty pazurzasty straszak, umościł się w jej wnętrznościach. Krzątał się i skręcał z kiszek przytulne gniazdeczko, od czasu do czasu wpuszczając swoje pazurki i zęby-igiełki w żywe ciało: „Hej, Darcu, tu już jestem! Jestem gotowy, żeby się bać, A TY?”.

Rozległ się jeszcze jeden krzyk nie do zniesienia. Krzyk

(słyszysz oddech Kosiarza z zardzewiałą kosą?)

bólu. Kiedy ludzie dowiadują się o kwarantannie, nie wrzeszczą w taki sposób.

Darcia chwyciła Banzaja za rękę i ruszyli w ciemność podziemi.

2.

Samplowany i Małajałam

Samplowany i Małajałam, Sam(pl) i Pająk, Beavis i Buttthead z pretensjami do IQ ponad 150, dwaj wariaci, zboczeńcy chorobliwie interesujący się zagadnieniami płci, dwaj psychoterroryści, psychopaci i neurotycy, dwaj niespełnieni samobójcy, dwaj buchacze, dwaj neonaziści, dwa rozwydrzone nastolatki o językach brudnych jak dno wiadra na pomyje. Taka panowała o nich opinia.

Rzeczywistość mało różniła się od stereotypu.

Teraz, podobnie jak inni, przechodzili kryzys. Postanowili go przezwyciężyć, schodząc do podziemi. Tak, rozmawiali na ten temat 2. poważnym internatowym specem, Genykiem Brjewnowem.

Do pokoju przyszedł on i to rude bezimienne stworzenie, które nie opuszczało go ani na krok. Jakoś tak wyszło, że nie udało się porozmawiać o bolączkach. Natomiast wyjarali po fifce na łebka - Brjewnow wielkodusznie stawiał. Jedyne, co udało im się zapamiętać, to to, że Genyk bardzo ostrzegał przed chodzeniem do podziemi. Chłopcy powiedzieli, że muszą tam zejść w pewnej bardzo pilnej sprawie, a dokładnie - z ciekawości. Rude dziwo wpływało na nich bardzo podniecająco, i z tego powodu rozproszyły się wszystkie myśli, oprócz kilku zupełnie nie na temat.

Załamanie psychiczne poprzedził cały szereg nieprzyjemnych zdarzeń. Jak lubił powtarzać Samplowany, „schiza podkradła się *niezamietna*”. Nocami dobiegały z ich pokoju bardzo nieprzyjemne dźwięki, ciągłe jęki, wycia, coś jak obrazoburcza liturgia, głęboko w dole pod kołędzem. Nikt oprócz nich nie słyszał tych nocnych litanii. Wnioski co do stanu ich psychiki zostały wyciągnięte.

Jeszcze w dziesiątej klasie koledzy odkryli, że obaj próbowali zakończyć życie własnoręcznie; Sampłowany, żeby zwrócić na siebie uwagę tzw. rodziny, Pająk tak po prostu z rozpaczy (a dokładniej z powodu mąk sercowych). Po świętach Bożego Narodzenia omal nie powtórzyli próby samobójstwa, teraz już podwójnego, chcieli się nałykać perhydrolu, ale przemyśleli sprawę.

Pająkowi rozwijała się paranoja. Opowiadał o swoich przeżyciach Sampłowanemu. Ten próbował zrozumieć, ale nadaremnie. A może to nie była paranoja.

Ostatni tydzień znamionował fakt, że jakość mięsa w stołówce znacznie się poprawiła: stało się o wiele delikatniejsze i bardziej soczyste. I, jak na cielecinę, nadzwyczaj słodkie.

I jeszcze bez śladu znikł ich kolega z klasy Łewko Cur-i-Pek*. Niby rozłożył się na gripę, ale nikt nie był pewien na sto procent. Nikt też nie chciał wiązać pierwszego wydarzenia z drugim.

Przedwcześniej Pająk trochę się spóźnił na rozdawanie jedzenia dla jego klasy, musiał więc prosić, żeby niedobra pani Swjeta wydzieliła mu jeszcze jedną porcję. Pani Swjeta należała do najmniej przyjemniejszych osób w koledżu - bardzo przypominała niziutką beczułkę z kiszoną kapustą (tak też właśnie pachniała). Górną wargę i podbródek pani Swjety pokrywała drobna kłująca szczecina.

Pająk podszedł do okienka, gdzie wydawano porcje. Powiedział, z jakiej jest klasy, i oświadczył, że nie ma nic przeciwko otrzymaniu swojej porcji.

Pani Swjeta (to imię wszyscy wymawiali „pani Szwjeta”) popatrzyła na niego podejrzliwie i coś tam sobie pod nosem wymamrotała.

-Nie mam czasu, inne dzieciaki chcą jeść.

Niemniej Pająk dalej stał przy okienku, czekając na danie. Uważnie śledził ruchy kucharki: szybkie, dokładne i trochę drapieżne.

Odstawiła na bok jeden talerz, a do innych nakładała gulasz z ogólnego kotła. Potem nalała do odstawionej miski też gulaszu, ale już z innego, o wiele mniejszego baniaka, który był wielkości wiadra.

„Pewnie dla nauczycielskiej elity” - pomyślał Pająk. Wówczas talerze wymieszały się, ale Pająk trzymał ten szczególny (trzy wyszczerbienia obok siebie) na oku. Pani Swjeta ciągle przedstawiała talerze (próbowała go zmylić, czy jak?), jakby grała w trzy kubki. Potem odwróciła się do okna, zasłaniając w ten sposób miski. Posypała wszystko solą.

* Cur i Pek – dwa pogańskie bóstwa domowe, występujące w obronie swoich domowników, po przywołaniu ich imion (przyp. tłum.).

Do pani Swjety podeszła młodsza, ale tak samo pulchna kucharka i chciała spróbować gulaszu z jednego talerza (pewnie z *tego samego*), ale kucharka-szef uderzyła ją w rękę i pokiwała palcem-serdelkiem:

- A ty co, już całkiem zgłupiałaś? - zapytała nieuważnej. - Przecież to... (tu Pająk nie dosłyszał, bo na patelni zaskwierczało masło).

Młodsza kucharka odskoczyła i pobiegła w głąb kuchni. Pająk zajrzał przez okienko i zobaczył, jak w panice myła ręce szarym mydłem „Biały Jeleń”.

Pani Swjeta sprawiała wrażenie osoby, niedostrzegającej głodnego chłopca z internatu. Ten zagadkowy talerz stał, niczym nie różniąc się od pozostałych porcji, poza tym, że był bardziej wyszczerbiony niż inne. Brzuch Pajaka głośno zaburczał, bo zapach gulaszu kusząco drażnił nozdrza. Kucharka-szef ukradkiem obrzucała go niespokojnymi spojrzeniami spode łba, jednocześnie mieszając kaszę gryczaną długą łyżką. Pewnie sądziła, że Pająk tych spojrzeń nie zauważa.

Raptem pani Swjeta wyprostowała plecy i podparła kręgosłup tłustymi rękoma. Odwróciła głowę w stronę okienka i zdziwiono radosnym tonem powiedziała:

-A! To znowu ty! Ta, on, bierz sobie, którą chcesz porcję, póki dzieci nie przyszły! Bierz - ja nie żałuję!

Pająk nie widział ani razu, żeby pani Swjeta uśmiechała się tak radośnie.

Kucharka wyciągnęła rękę i dała Pajakowi właśnie ten talerz, który tak uważnie obserwował.

Pająk niespodzianie dla samego siebie zająknął się:

-A dlaczego pani dała mi akurat *tę* porcję?

- Co? Ha? - kucharka udała, że nie zrozumiała. W jej oczach pojawiło się lekkie zdziwienie i rozdrażnienie. I podejrzenie, jak mu się wtedy zdawało.

- Pytam się, dlaczego dała mi pani akurat *tę* porcję? Chłopak powtórzył już głośniejsze.

Kucharka z niezadowoleniem ścisnęła zębami tłuste wargi. -Niczego nie wybierałam, wzięłam pierwszą lepszą... Chcesz, to wybierz sobie sam.- O *tę* - Pająk wskazał palcem na sąsiedni talerz. Kucharka wzruszyła ramionami i uniosła wskazaną porcję. -A ot i Andrij Jarosławowicz - rzuciła jak gdyby nigdy nic.

Pająk obejrzał się przez ramię. Naprawdę, do jadalni zmierzał Andrij Jarosławowicz.

Znowu odwrócił się, już gotów był wziąć jedzenie, kiedy oczy rozpoznały znajomy obrazek - trzy wyszczerbienia obok siebie -jak na *tym* talerzu.

Wówczas poczuł, że ześlizguje się w otchłań.

-Bardzo przepraszam - nieśmiało odezwał się znowu. - Czy można dostać inną porcję?

Pani Swjeta spiorunowała go wzrokiem i powoli pokręciła głową:

- No, kto by to pomyślał, taki wielki pan! Jaki chciałeś, taki masz! Panicz cholerny!

Pająk z posmakiem miedzi w ustach usiadł przy stoliku. Rzetelnie studiował zasoby talerza. Jakoś musiał różnić się od wszystkich innych, ale jak? I o co W OGÓLE chodzi? Ostrożnie i niezauważalnie spojrzał na panią Swjetę. Ta stała za kuchnią, słuchała, co mówi do niej młodsza kucharka, jednocześnie pilnie śledząc Pajaka.

Coś zapiekło go w brzuchu i zaczęło bardzo głośno domagać się, żeby wypełnić żołądek czymkolwiek. Chłopak przesiadł się w taki sposób, żeby ciałem zasłonić jedzenie. I zaczął udawać, że coś miażdży w szczękach.

Za trzy minuty talerz pełen pachnącego gulaszu, który wabił swoim mięsno-pieprzowym aromatem, odniósł do innego okienka. Tam, gdzie odstawiało się brudne naczynia.

Nieustannie męczyły go dwa pytania - gdzie się podział Cur-i-Pek? Z jakiej to okazji zaczęto im dawać codziennie mięso?

Samplowany w ogóle nie wykazywał żadnych oznak zaniepokojenia. Był taki szalony jak zawsze.

I mimo wszystko odważyli się zejść do podziemi. Pod dziewczęcym internatem. Bez konkretnego celu. Po prostu domyślali się, że tam mogą znajdować się odpowiedzi na pewne pytania.

Na pół godziny przed tym, jak do krat na drugim piętrze zbliżyli się Banzaj i Darcia, zeszło tam dwóch przyjaciół.

-Mogłeś wziąć przynajmniej jakąś latarkę - z niezadowoleniem rzucił Pająk.

NA CO Samplowany radośnie zachrobotał pełną paczką świeczek. Kłódka na kratach była otwarta, ktoś już ich uprzedził.

- Pękasz? - zainteresował się, między innymi, Sam. Pająk ledwie kiwnął (hej, nikt nie widział Cur-i-Peka?) włochatą głową.

- Trochę. Zobaczymy, co tam jest i idziemy z powrotem. Pająk odczuwał silny niepokój. Śniadanie (kotlety z doskonałej polędwiczki) prosiły się (druhu Cur-i-Pek, gdzie się podziewasz?)

z powrotem. W głowie uporczywie krążyły

(ciekawe z czego były poranne kotlety?)

złe myśli, od których chciało się wymiotować. Przegnał je pierwszy zszedł w dół po masywnych, przybrudzonych kurzem dziesięcioleci schodach.

Ani Pajaka, ani biedaka Samplowanego nikt już nigdy nie widział.

3.

Banzaj

Banzaj, ciągle jeszcze ściskając rączkę Darcia, jak zaczarowany przesuwiał dłonią po napisie. Zeszli na pierwsze piętro, a potem jeszcze niżej, do samych trzewi podziemi i teraz stali przed masywnymi drzwiami, całkowicie zamalowanymi tajemniczymi znakami, które przez setki tysięcy lat służyły za archaiczne pismo niewiarygodnym rasom i cywilizacjom.

Czerwonym atramentem wykaligrafowano coś na kształt zaproszenia na egzekucję:

**'Ktaflagn Yog-Sothothynpla`Ajar`i-l`geb
SPRAWCZY ROBAK, CO BIEDE WYWOŁUJE**

pod napisem znajdowała się dziwna pieczęć: podkówka. Do jej ramion domalowano po kółeczku.

- To pisał Korij, ta? - zainteresowała się Darcia.

Banzaj wzruszył ramionami. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Darcia najpierw się zapała, ale po sekundzie podążyła za swoją ręką.

Banzaj powiedział:

- To niemożliwe. Coś takiego się nie zdarza. Bo coś takiego jest niemożliwe...

Jurko stał w drzwiach, wyczuwając za plecami Darcie, jej otwartą buzię i oczy wypełnione zdziwieniem. Spoglądał w głąb tunelu. To, co otworzyło się przed nimi, nie przypominało śmierdzącej skwaśniałymi onucami paszczy podziemi-pryszniców, gdzie dziesiątki lat temu myły się dziewczęta.

- To nie może tu być. Tu się po prostu coś takiego nie zmieści...

Bo przed nimi rozciągał się długi korytarz, prawie dokładna kopia tych korytarzy, które znajdowały się na górze; długa horyzontalna sztolnia, z pojedynczymi słabymi lampkami, rzucającymi na ziemię żółte wysepki światła. Żarówki pozwalały przyjrzeć się tylko tym bladym owalom w granicach wiązki światła u szczytu żelaznych plafonów. Cała reszta tonęła w ciemności.

Banzaj zrobił jeszcze kilka kroków do przodu.

Dół był nawet całkiem prawdziwy, tak jak światło i lampy. Tylko ciemność poza granicami jasnych plam była apoteozą całej ziemskiej ciemności, skupioną pod koledżem i zagęszczoną aż do konsystencji smoły. Banzaj zupełnie nie miał ochoty przyznawać się przed sobą do własnych strachów. Najbardziej obawiał się, że okażą się niebezpieczne.

Wyglądało na to, że za ciemnością nie było już nic. Absolutnie.

- Banzaj, patrz tam! Na końcu! - Darcia pokazała palcem olbrzymie wrota czy raczej Wrota na końcu tunelu. Co najmniej pięć metrów wysokości, okute na krzyż metalowymi sztabami, zapylone i nadzwyczajnie stare. Przełknął ślinę. Do diabła, one nie były stare, one były *pradawne*.

Na drzwiach wisiało wielkie koło, grubo obrobione i ciężkie. „A-A-A-Aby dopukać się do zmarłych” - przyszło mu na myśl.

Ciągle jeszcze nie wypuszczając ręki swojej towarzyszki,

(przede wszystkim nie zapominać, że takie rzeczy się nie zdarzają, bo coś takiego nie może się zdarzyć)

Banzaj podążał korytarzem. Rozglądał się na wszystkie strony, próbując dojrzeć jakieś ślady materii w mroku. Przechodzili z jednej wyspy na drugą, powoli zbliżając się do drzwi. Za nimi, za tymi Drzwiami, było to, czego szukali.

Raptem głowę Banzaja przeciął domysł, jak styczniowy sopel. Zatrzymał się i potarł gorące czoło ręką: takie rzeczy się nie zdarzają, ale coś takiego się stało. Naprawdę, żaden korytarz nie istnieje, nie ma też Wrót na końcu tunelu. To wszystko - całkiem wszystko wokół - to tylko wskrzeszone przez Korij a metafory. Zmusił swoją chorą wyobraźnię do wrzucenia w realność tych wyobrażonych, ale jednocześnie przerażających rzeczywistych form.

Ale wrota tak czy inaczej muszą coś odgradzać. I tak czy inaczej za Wrotami znajdował się cel ich wycieczki do podziemi.

-Już raczej wracamy, co? No chodź już - cicho powiedziała Darcia. Ale Banzaj w ogóle nie zareagował: trzeba było iść, dopóki nic nie stało na przeszkodzie.

- Czujesz, że to miejsce jest teraz puste? Korija tu nie ma. Darcia rozejrzała się wokół. Była tylko pustą skorupą żółwika, uwolnioną od swego nienormalnego mieszkańca.

-Tu w ogóle nic oprócz tych drzwi nie istnieje! - huknęła. -Idziemy, obiecałeś, no proszę. Czy ty nie czujesz, że za chwilę ktoś przyjdzie? - Wszystko to z każdą sekundą coraz mniej się Darci podobało. Czowała, że lada moment, już za chwileczkę, zdarzy się coś bardzo niedobrego. Ciągle szarpała Banzaja za rękę, który odwróciwszy się, próbował ją uspokoić, przytulając do siebie w żółtych promieniach. Nieprzytulnie. Piekielnie nieprzytulnie się czuł pod tym samotnym światłem w nieprzeniknionej ciemności.

-Jeszcze sekundka, pozwoliłaś na trzy minuty, Darcie. Nie martw się, zaraz idziemy do mnie...

Darcia spojrzała na niego (w oczach miała łzy), chciała coś powiedzieć, coś ważnego, coś, co zmusiłoby Jurka do tego, żeby szybko zabierał się z tego przytłaczającego miejsca, które

naprawdę w ogóle nie istnieje w rzeczywistości, tylko gdzieś w bezczasie... i wtedy głośno zatrzasnęły się drzwi. Te, którymi tu weszli.

W ciemności stała samotna figura.

- Doskonale - przemówiła. - Można zaczynać.

4.

Aliska

Dyrektor, jak uosobienie sartrowskiej figury Saturna, bielejący i umazany krwią, wystawiwszy przed siebie cyrkiel, skoczył na Aliskę, która jeszcze raz zapiszczała i rzuciła się w przeciwny kąt. Jeśli dotrze do sąsiedniego pokoju, będzie uratowana. W drzwiach tkwił godny zaufania (Aliska bardzo chciała w to wierzyć) zamek, w pokoju znajdował się telefon. A telefon - to synonim słowa „ratunek”.

- Odcze-e-e-e-p się!!!! - znowu krzyknęła, zalewając się łzami. Dyrektor podszedł ostrożnie, żeby nie przestraszyć ofiary przedwcześnie. Krew na oku trochę przeszkadzała, ale to głupstwo dla prawdziwego mężczyzny.

Aliska skuliła się w kącie. Była gotowa na śmierć, ale jakiś głos, bardzo głęboki i silny, z wnętrza świadomości wrzasnął

(Teraz! Biegnij! Teraz albo nigdy),

żeby się ruszyła. Aliska zerwała się jak sprężyna. Wyprostowała nogi, celując obcasami w pachwinę napastnika. Trafiła w kolano. Dyrektor krzyknął, zaklął i machnął na oślep cyrklem. Dziewczyna głośno zawyla z bólu - niewymierzone uderzenie trafiło w jej twarz. Ostrze przebiło policzek, doszło do dziąseł i wyrwało całkiem spory kawałek mięsa. Na lewym policzku utworzyła się rana typu szarpanego o nierównych, jaskrawoczerwonych brzegach.

Pan Andrij wydał z siebie zwycięski ryk i rzucił się w pogoń. Wyjść, Aliska jak kula rzuciła się w kierunku pokoju, z rozmachem próbując zatrzasnąć drzwi. Dogonił uciekinierkę przy samych drzwiach, okrutnie raniąc cyrklem w lewy bok. Aliska z krzykiem upadła na parkiet, a pan Andrij jeszcze raz dźgnął ją w ranę. Ostatkiem sił machnęła nogą, tym razem trafiając dyrektora w jaja. Wskoczyła do gabinetu i zatrzasnęła drzwi, które trafiły na rękę pana Andrija. Aliska naparła na nie. Słyszała, jak pod naporem drewna trzeszczy kość promienista. Pan Andrij wrzasnął po kobiecemu, w momencie gdy Aliska usłyszała głośne chrupnięcie. Żył na ręce dyrektora nadeły się jak niebieskie pijawki. Padlina za drzwiami ciągle jeszcze mocno trzymała cyrkiel, na którego igle wisiał płatek jej skóry. Aliska podparła drzwi

ramieniem, czując, że jeszcze chwila i przeciwnik ją przeważy. Mimo strasznego bólu, zdołała wczepić się paznokciami w rozdęte żyły i mocno je ścisnąć.

Cyrkiel upadł na ziemię, spod paznokci Aliski trysnęła fontanna świeżej krwi. A pan Andrij zawył z nową siłą i szarpnął rękę do siebie.

Cztery lakierowane paznokcie Aliski oderwały się od poduszek palców z nieprzyjemnym cmoknięciem. Teraz trzymały się już tylko dzięki mięsnym niteczkom.

Zatrzasnęła drzwi i przekreśliła zamek.

Opadła na podłogę. Rękę z oderwanymi paznokciami włożyła do buzi, a tę drugą przytuliła do rozdartego policzka. Aliska, nie przestając płakać, cicho wyła z bólu. Za ścianą tłukł się wściekły wariat.

(najpierw przemyć rany... NIE, NAJPIERW TELEFON, potem rany)

Za jakiś czas Aliska uniosła się na kolana i popęzła do telefonu. Ze zgrzytem zębów wstała (aparat znajdował się na wysokiej szafeczce) i głośno jęknęła.

Telefon zamienił się w pstrą kupę metalu, kolorowych drucików i odłamków korpusu w kolorze karczocha. Na szafeczce koło stosiku leżała karteczka:

Proszę wybaczyć spowodowanie zniszczeń. Naprawdę żałuję, że zachowałem się w tak podły i niski sposób wobec Pani telefonu. Nie mogłem dodzwonić się na międzymiastową i wpadłem w szal. Rezultaty ma Pani przed oczyma. Pieniądze na nowy aparat położyłem na stoliku pod wazonem - proszę kupić nowy, lepszy, z automatyczną sekretarką, bo ten okazał się gównem wart.

Jeszcze raz proszę o wybaczenie.

Roman

Alisce pociemniało w oczach. Odchodziła w mroczne, chociaż ciepłe, waciane światy, gdzie jest miękko i przytulnie.

Buhaj za drzwiami znowu głośno zaryczał. Ale jego krzyk był coraz słabszy, póki całkiem nie ucichł.

„Nie poddawaj się, dziecińo, on cię wywabia. Nie daj sobie na-pluć w kaszę" - przemówił w jej głowie głos dziadka.

Mózg wierciło jej jedno pytanie: dlaczego? Dlaczego nie pozwolili jej dokończyć gazetki ściennęj? Dlaczego przerwali taki spokojny podwieczorek? Czy była grzesznicą, że Bóg tak straszliwie ją karze? Tylko dlatego, że zakochała się w kobiecie? Dlaczego, kto jej to wyjaśni?

Niewymowna złość oładnęła całą jej istotą. Złość na tego tępego byka, który postawił krzyżyk na spokojnych nocach, na spokojnym życiu w zgodzie ze sobą i ze światem. Złapała pierwsze, co jej wpadło w ręce - cyrkiel lepki od krwi. Aliska wytarła jego ostrze o swój niegdyś biały fartuszek, rozmazując farsz z krwi i tkanek swojego policzka po wyłogu rękawa. Jej twarz wyglądała jak wysmagana cierniem - ból przedzierał się przez otępienie. Jakby w uszy napchano higroskopijnej waty.

(wszystko przez tego niegodziwca, dziecko, wszystko przez niego jednego)

Tak, właśnie tak, wszystko przez to bydlę, z nabrzmiałym penisem zamiast głowy! To wszystko jego robota. Złość nadchodziła z głębin kości nosowej jak dziwne świerzbiecie. Nie, cyrkiel tu się nie przyda.

Aliska wsłuchiwała się w odgłosy za drzwiami.

Ktoś tam cicho płakał, pociągając nosem.

„Wywabia cię”.

Wnosząc z dźwięku, dyrektor znajdował się nieco po lewej stronie. Cudownie. Aliska wzięła ciężki wazon na kwiaty (pod nim znajdowało się siedemset hrywien w fioletowych dziesiątkach) i rzuciła nim o ścianę, ręką osłaniając się przed odłamkami. Potem wybrała lancetowaty odłamek o nierównych, ostrych krańcach. Jak najciszej przekręciła zamek w drzwiach i ledwie--ledwie je uchyliła.

W szparze zobaczyła pogrążony w mroku pokój i odwróconą plecami, klęczącą postać, która cicho płakała.

Aliska szybko otworzyła drzwi na oścież, przyskoczyła z odłamkiem w ręku do napastnika i wbiła ostrze na jedną trzecią długości w porośłą czarnymi włosami szyję.

Człowiek głośno krzyknął, ale jakoś inaczej niż wcześniej. Uniósł rękę do odłamka, próbując go wyciągnąć. Ale nie dał rady i ciężko upadł na to coś, nad czym tak ciężko płakał. Spod przezroczystego szkła już uchodziła czarna krew.

Aliska poczuła coś niedobrego. Pokuśtykała do przełącznika, żeby włączyć światło.

I ciężko osunęła się na kolana, przyciskając ranę w boku (palcami wyczuwała, jak odbywa się perystaltyka. Bebechy były mokre i nadzwyczaj gorące). Pociemniało jej w oczach. Może z powodu utraty krwi, a może z powodu zakrwawionego śrubokręta z pomarańczową rączką, sterczącego z prawego oka pana Andrija. Zadzwońło jej w uszach i Aliska legła plackiem na podłodze. Za kilkanaście minut krwawa kałuża, zaczynająca się u jej lewego boku, rozlała się tak, że przemalowała jej jasne drobne loczki na różowo, potem na czerwono, ale Alisce nic już po nich.

Po półgodzinie krew przestała płynąć; w pokoju zapanował absolutny spokój: trzy ciała, i wszystkie trzy martwe.

5.

Korij

Korij siedział, niby czarna wdowa, w górnym kącie gabinetu punktu medycznego. Był niewidoczny dla niewprawnego oka, sam zaś ze szczerym zadowoleniem śledził dziki bieg wydarzeń. To dopiero był dramat, no nie?

Jasne, że od czasu do czasu trzeba było się wtrącić - a to na przykład otworzyć zamknięte na klucz przez Andrija Jarosławowicza drzwi (jak inaczej nieszczęsny Myrko, przepełniony niewzruszonym postanowieniem, by przegnać jastrzębia z rodzinnego gniazda, mógł się dorwać do tego i tak poranionego ptaszka?), czy np. wyprzedzić chyżą małą i skorzystać z jej telefonu. A czasem po prostu niepostrzeżenie skierować myśl na właściwy nurt... Czasami jego podopieczni bywają tacy uparci. Zresztą jest nie tylko widzem, ale także reżyserem. Wszystkie niedoskonałości trzeba usuwać odpowiednio wcześniej.

W najciekawszym momencie, gdy poraniona i w żalonym stanie dziewczyna zamachnęła się odłamkiem wazonu na Mirka, Korij poczuł, że nadszedł czas na coś bardziej globalnego i ciekawszego. Jego leże nawiedzili młodzi, ale uparci poskromiciele zła. Zresztą ta mała larweczka Darcia go nie interesowała. Była przypadkową figurą, bez żadnego znaczenia w tym pojedynku. Zamykający i Otwierający - to nie są proste słowa. Nie unikniesz tego, jakkolwiek byś kręcił. Korij rozumiał, że to nie jest jałowe odtwarzanie bezsensownych tradycji. Było w tym coś o wiele głębszego, to w ogóle był węgielny kamień Wieczności.

Ale Banzaj miał wszelkie zadatki na kiepskiego Zamykającego. Najprawdopodobniej te stare pierdziele, nazywające siebie Bogami Zamierzchłej Przeszłości, już do cna skretyniały. Cóż, za błędy, tym bardziej takie świeże, trzeba płacić.

Zapłacą, Korij to wiedział. Wszystkie próby - na atolu Uwea, rafie Diabła, czy w Dunwich albo w Innsmucie to były dziecięce igraszki w porównaniu z obecnymi działaniami. Wolter go ostrzegał, wiele razem przeszli; Wolter nie był jednak na tej odległej, przeklętej wygasłej gwiazdzie. Nie był tam, gdzie mieszka Sprawczy Robak, co Biedę Wywołuje, to co on może mówić o Yog-Sothocie? Dobrze zrobił, że posłuchał swojego mentora, a teraz już po prostu kolegi. Bo Wolter teraz starzeje się bez krzty siły w przeklętym miejscu, a on rozkoszuje się władzą, która nawet nie śniła się tym potwornym ostrożnym kapłanom z Uwea.

Korij po pajęczemu przelazł przez ścianę z gabinetu na zewnątrz i zeskoczył na podłogę. Mógł błyskawicznie przenieść się do Korytarza, zresztą przezeń zbudowanego na kawałku własnego snu, ale chciał delektować się swą mocą. Bez wątpienia były to najszcześniejsze i najprzyjemniejsze chwile jego życia. Korij był z siebie bardzo dumny. W żadnej z ksiąg, które przestudiował przez ostatnie ćwierćwiecze, nie napisano, że najkrótszy szlak dla Wielkich Pradawnych wiedzie przez śnienie. On sam wyciągnął taki wniosek i hur-ra! - nie pomylił się!

Korij biegł po splątanych korytarzach (to nie korytarze, a marzenie - we wszystkich filmach o więzieniach były takie; spodziewał się, że Banzaj doceni jego robotę, tam pod koledżem). Spod jego wojskowych butów jak ziarno tryskały snopy błękitnych iskier. Żarówki, obok których przebiegał, wybuchały ze szklanym trzaskiem. Jakby niósł ciemność. Bez żarówek, korytarze rozpląwały się i traciły wcześniejszą formę.

Jelenia Skóra spadała w mrok na rozdrożu światów, a Romko Korij czuł się jak w siódmym niebie.

6.

Samplowany i Małajatom/błota Htachaata

- Stary, gdzie my teraz jesteśmy? - słabym głosem zapytał Samplowany. Sekundę temu stali przed drzwiami do piwnicy wymalowanymi w ornamenty i arabskie węzłki, a teraz znaleźli się tu - w dzikim, bezkresnym miejscu, gdzie niebo miało kolor krwi, a powietrze było nieruchome jak przed burzą, poza tym zatęchłe, ciepłe i śmierdzące. Otaczające ich zewsząd błota cuchnęły padliną. Gdzie sięgał wzrok, przebijając się przez dziwne mgliste miraży, wszędzie wokół było błoto, czarne, grzaskie i z nieznanego im jeszcze powodu - dziwne. Przyjaciele stali na dość suchym brzegu, który jednak był zalany cuchnącą cieczą. Nie mogła to być woda, biorąc pod uwagę gęstość, przypominała raczej naftę. Chociaż i do nafty nie było to zbyt podobne. Zawiesista, czarna oliwa.

Zatem pod nogami mieli błoto, takie jak wszędzie, z tą tylko różnicą, że jakieś bardziej zawiesiste. Za nimi rosło drzewo - nikłe, zgniłe setki lat temu, martwe. A jeśli było inaczej, to istniało ono tylko swoim niezrozumiałym dla żywych życiem. Skarlałe, nagie drzewo bez kory.

W powietrzu czuć było dziwne napięcie - może wysokie ciśnienie tak przygniatająco wpływało na psychikę. Samplowany nawet nie próbował sprzeczać się ze swoją intuicją, która w panice szeptała, że już samo miejsce wypromieniowuje przerażenie. Albo to, co

mieszka na tych bezludnych błotach. Sampel spojrzał na czarną maź pod nogami. Ruszała się. Miała motorykę materaca wypchanego glistami. Błoto kręciło się, jakby żyło szczególnym, martwym, nieorganicznym życiem.

Z nadmiaru napięcia chciało się krzyczeć. Krzyczeć, póki cały lęk tego miejsca nie sześźnie.

- No, co teraz, CO TERAŻ? - w przerażeniu zabełkotał Sampel.

Zęby Pajaka ze strachu nie mogły na siebie trafić. Włosy wierciły się na głowie, przez skórę czuł, że tu mieszka zło. Powietrze elektryzowało się coraz bardziej, unosząc wszystkie włoski na skórze. Pajak spojrzał na swój tani, chiński zegarek.

- Sam, chodź zobacz! To trąba!!!??

Samplowany rzucił okiem na zegarek i mróz pogłaskał go po plecach ciernistą ręką. Cyfry na ciekłokrystalicznym cyferblacie zmieniały się z:

16:07 09

na

16:07 08, a jeszcze za kilkanaście sekund

16:06 54.

Samplowanemu opadła szczeka. Na krótką chwilę zapomniał nawet o okolicy, w której się znajdował. Co to, do licha, za miejsce, gdzie ziemia przeklęta jest czarnym bagniskiem, a czas biegnie do tyłu?

W powietrzu pojawiło się coś nowego - dziwny dźwięk, infraniska wibracja, wyczuwalna kością czołową i lekkim zawrotem powietrza w małżowinie usznej, od której zaczynają ćmić chore zęby.

- Sam, co się dzieje? Sam?

Sam jak zakłęty patrzył w przeciwną niż Pajak stronę. We mgle pod brązowym niebem coś wydostawało się na światło. Gęste masy błota rozstępowały się, robiąc miejsce potwornemu płodowi tego przeklętego miejsca. Ukazywało się coś, co nie było po prostu ogromne. To coś miało naprawdę nadtytaniczne rozmiary. Coś wylazło i niewiele myśląc, połknęło ich.

7.

Darcia

Drzwi zamknęły się z hukiem i dlatego przerażona Darcia krzyknęła. Nerwy miała napięte jak cienkie struny i bardzo niewiele brakowało tym strunom do pęknięcia.

Postać powoli zbliżała się do nich, mówiąc:

- Aj-ja-ja-ja-jaj! Co wyście tu zgubili? Nie znaleźliście lepszego miejsca do całowania niż podziemia?

„Nie bój się - wyszeptał jej do ucha Jurko. - Wszystko będzie dobrze. Nic złego się nie stanie”.

Ale Darcia, wyraźniej niż kiedykolwiek, odczuwała natarczywą bliskość katastrofy. Nie widziała najmniejszej szansy na powstrzymanie jej. To było ponad czyjekolwiek siły. Przycisnęła się do Banzaja, tracąc resztki swej i tak marnej odwagi.

-Widział to kto? - pełnym sarkazmu głosem Korij wskazał z daleka na Darcie, która coraz mocniej obejmowała Banzaja, nie chcąc wcale, wcale, wcale wierzyć w realność wszystkich zdarzeń.

- Jakie sentymenty! - ciągnął Korij, zbliżając się. Odczuła, że Banzaj opiekuńczo też przytulił ją do siebie mocniej. - Jakie emocje! Dajcie mi chusteczkę, bo coś szczypie w oczy!

(nie wierzę w ciebie, nie wierzę. Dlaczego nie znikasz? Ty nie istniejesz. Śpię u Banzaja w domu, razem z nim na jednym łóżku. To najstraszniejszy sen w moim życiu)

- Słyszysz, Banzaj?! Twoje kurczątko mówi, że śpi! Ze ja nie istnieję!... Dziecko, ja JESTEM bardziej niż ktokolwiek na Ziemi! A teraz nie przeszkadzaj starszym wujkom w rozwiązywaniu swoich spraw... Chcesz spać, to śpij, DZIECINO! - huknął zjadliwie i Darcia poczuła, jak ześlizguje się w ciemność. Obraz ciemnego złowrogiego Korija

8.

Darcia/śnienie

raptem zmienia się na całkiem inny - zaśnieżona ulica T. Tzary, dom nr 47. Od razu za starym budynkiem - kraniec miasta i las.

Darcia w tym momencie zrozumiała, że została oszukana. I błyskawicznie domyśliła się, czym to pachnie.

BanzA-A-A-A-Aj!!! - wrzasnęła na całe gardło, tak głośno, jak tylko mogła. BanzA-A-A-A-Aj!!! Jurko!!! BanzA-A-A-A-Aj!!!

Darcia zadarła głowę w kierunku szarego, wieczornego nieba, skąd sypały szare śnieżynki.

- BanzA-A-A-A-Aj!!! BanzA-A-A-A-Aj!!!

Po twarzy ciekły jej łzy. Wiedziała, że przytrafi się coś takiego, czuła to.

Było jej zimno, przecież miała na sobie tylko dzinsy i cienki, robiony na drutach sweter na gołe ciało. Zmierzchało, wiało śniegiem i dął chłodny, ostry jak brzytwa, rozwiewający włosy wiatr. Wszystko sprawiało wrażenie absolutnie beznadziejnej sytuacji.

Darcia, otuliwszy się rękami,

(*Drzwi w głowie*)

poszła uliczką do góry. Musiała się zorientować, jak dojść do koledżu. Warto byłoby zamknąć oczy, by przed wewnętrznym wzrokiem pojawiły się drzwi, które prawie nie różniły się od tych z podziemi. Drzwi, po co tu one?

Wyszła na skraj ulicy. Dalej powinien znajdować się most, ale go nie było. Dalej w ogóle niczego nie było. Miasto po postu urywało się na tej granicy. Za domem nr 47, na ulicy T. Tzary nie było niczego, oprócz bezkształtności próżni. Nawet tkaniny rzeczywistości zdaje się tam nie było.

Darcia zatrzymała się na kilka minut, bezsilnie studiując mrok. Spojrzała pod nogi. Znajdowała się akurat na granicy miasta i Niczego, pod nogami dawało się dojrzeć tylko ciemność, która była jak wszechobciekająca smoła. Darcia strąciła z twarzy łzy, dalej chlipiąc już tylko chlipami piersiowymi. Pomieszała ręką w tym Niczym, które bardziej przypominało powietrze niż włóknistą ciecz.

Znała te złe krajobrazy, tę zdradliwą grawitację aż nazbyt dobrze. Ten *kaziol*, zwichnięty kapłan, znowu wrzucił ją do swojego śnienia. Tym razem całkowicie, łącznie z fizycznym ciałem

Łkając i ocierając łzy, które ciągle i ciągle wyścielały oczy,

(*Drzwi w głowie*)

ruszyła do Banzaja. Zanurzyła się w najgłębsze, do tej pory niespenetrowane obszary desperacji, bez wyjścia, pozbawiona nadziei, jeszcze ciut-ciut, także zdrowego rozsądku.

(*Drzwi, po co tu te cholerne Drzwi, siedzące w mojej głowie?*)

W głowie z każdą minutą uwyrażniał się obraz *Drzwi*, które mimo wszystko różniły się od tych podziemnych. Ale dla Darci nie miało to żadnego znaczenia. Może spędzić w *śnieniu* takiego złego geniusza jak Korij dziesiątki wieczności. I nie ma na to rady. Raptem w głowie pojawił się głos.

9.

Banzaj

„No i proszę, nadeszła ta chwila, a ja ciągle nie wiem, co mam robić! Podpowiedźcie, hej, wy! No, gdzie jesteście?!!” - Banzaj był w skrajnej panice. Głos z transcendencji nakazywał czekać, czekać i być uważnym, bo wtedy wszystko sam zrozumie, ale już za późno na czekanie! Już nastała ta godzina, Godzina Magii, prawdziwej Magii. Wszystkie zakłady już

przyjęte. Figury na Polach Wszechmogącego już są gotowe do wykonania swoich ruchów, A ON CIĄGLE JESZCZE NIE WIE, JAK MA POKONAĆ KORIJĄ!

Korij wypowiedział swoją sakralną klątwę i Darcia znikła. Znikła pomimo jego objęć, nie ustrzegł, nie ustrzegł, nie ustrzegł jej, chociaż obiecał...

-No co, Banzaj - spytał Korij, zbliżając się prawie na styk do Jurka. - Jesteś gotowy? Gotowy, żeby zobaczyć mojego pana?

Nie zdążył nawet otworzyć ust, bo Korij błyskawicznie, niczym rakietą, pokonał ostatnie dwa metry. Jednym ruchem przecząc całemu kartezyjańsko-newtonowskiemu modelowi Wszechświata. Silnie pchnął Banzaja, ale nie fizycznie, tylko na jakimś bardziej subtelnym poziomie. (dzikie jęki wiatru)

Banzaj/Azagthoth

Wokół nich rozpościerał się chaos, ruchliwy, dynamiczny chaos, który przeciekał przez pory do centrum mózgu i rujnował wszelkie wyobrażenia o porządku. Banzaj wrzasnął z całej siły, bo chaos rozrywał go na atomy, negując istnienie jakiejkolwiek struktury wewnętrznej.

[no, jak tam, Banzaj? Podoba się? Zaraz będzie jeszcze lepiej!]

(Ph'nglui, mglw'nafh Yog-Sothoth! War gar Yog-Sothoth j^Kayngacg! Chi-lgeb!!! WacKh-hñlach Yog-Sothoth hebl-yh! Aja ngaa htachaatohtchdaifnhahnh-aij)

Diabelski nosowe zapiewy pradawnych zaklęć-litanii miażdżyły go. Te dźwięki w dziwny sposób władały Siłą. Jurko czuł, że wywołują wokół niego realne zmiany.

Znienacka odbyło się COŚ - jak uderzenie dielektryka*. Azagthoth wyciągnął się w trąbę słonia, ale wyciągnąć się w trąbę, to tylko taka metafora, bo naprawdę wyciągnął się nie w trójwymiarowej przestrzeni, a *przez* rzeczywistość, *pod* rzeczywistością i połączył mostem Oko Chaosu i nowy, nieznany świat.

Jurko poczuł, jak coś

(Korij)

złapało go w ciasne kleszcze i powlokło w głąb trąby. Od kolosalnej energii pulsującej w pokręconym wymiarze omal nie stracił rozumu. Energia przeciekała do świadomości i chciała rozerwać go na kawałeczki.

(no, gdzie jesteście przyjaciele? CO MAM, DO DIABŁA, ROBIĆ?)

CktałfwYog-Sothoth htjahi!Hifjahi!Hyjahi!!!) Wystrzelono go jak pocisk w obcy świat, gdzie mieszkał Wielki Robak Yog-Sothoth.

Banzaj/błota Htacha'ata

[jesteś na błotach Htacha'ata, Banzaj! Ciesz się, bo ujrysz mego pana!]

Banzaj ciągle krzyczał i krzyczał. Strach spętał całe jego *ka*, był najczystsza, najbardziej wyrafinowaną emocją spośród tych, które kiedykolwiek go wypełniały. To chore, niewłaściwe i przegniłe miejsce, te błota Htacha *ata* były rozmoczone w kwintesencji strachu. I Banzaj pozbawiony ciała, będąc czystą świadomością, odczuwał to dziesiątki tysięcy razy mocniej. Ale oprócz tego wariował z przerażenia, nie miał pojęcia, co powinien robić, jak przetrwać ten proces, ów Bój między Otwierającym i Zamykającym, skoro przeciwko niemu występuje taki zwariowany magik. Leciał nad niekończącymi się przestrzeniami błot, włączony przez Siłę Korij a,

(stań się czarodziejem, zostań nim, i będziesz mógł stawiać mu opór)

leciał pod purpurowym niebem, niebem, na którym nie było ani gwiazd, ani Słońca, ani żadnego innego ciała niebieskiego, nic oprócz zabójczej czerwieni, przypominającej kolorem świeżo zdartą skórę. W dole ciemniały złe błota z ruszającym się mulem. Powietrze w tym świetle przenikał niski stukot, a jednocześnie wysoki pisk, jak solo na gitarze elektrycznej.
(nhan na a chfro^hn haa)

Tytaniczne pchnięcie w jednej chwili rzuciło go z czerwonych niebios do parującej mazi ruchomego bagna. Banzaj znenacka poczuł znajome rozdwojenie, przypomniał sobie, że już tak kiedyś leżał, tonął w tym mule, ale uratował go człowiek w wojskowym mundurze Sił Pokojowych.

Teraz nie było żadnego człowieka. Świadomość wyła ze strachu, z niemożności znalezienia wyjścia. Jeśli chcesz stawiać Korijowi opór, stań się czarodziejem, uwierz w to wszystko. Dla Jurka były to tylko rozpaczliwe krzyki agonii rozumu.

(podnieś się)

Nakazał sobie wstać, i coś oderwało go od lepkiego błota. Wisiał w powietrzu, spowity w błotne gluty. Czuł zapach zwierzęcia, wielkiego drapieżnika na polowaniu. Korij śmigał gdzieś wokoło, a Banzaj nakazał sobie

(mogę latać zgodnie z własnym życzeniem, gdzie *chaczu*, tam *Meczu*)

lecieć

[gdzie jesteś? Wyjdź, Korij!]

[otwórz oczy, kretynie! Możesz mnie zobaczyć!]

Jurko natężył świadomość (okazało się to bardzo trudne -dźwięki rozpraszały uwagę, przynosiły strach i paraliż), wyobraził sobie, że ma w głowie mięsień, który może się napiąć. I naprawdę przed jego oczyma ukazał się w migotliwym locie Korij, niby wypuszczony z podziemi demon.

Dźwięk narastał, a błoto pulsowało.

10.

Darcia/marzenie senne

[Darcu, powinnaś otworzyć *Drzwi* w świadomości. Widzisz je, natęż się - i otwórz]

[kim jesteś, dlaczego mam ci wierzyć?]

[jestem przyjacielem, uwierz mi na słowo, już się spotkaliśmy tysiące lat temu]

[jak mam trafić do koledżu? Muszę pomóc Banzajowi] [to śnienie, a ty umiesz władać snami. Zawładnij nim]

Darcia napięła świadomość, zbierając w garść całą swoją siłę woli; wyobraziła sobie tak dokładnie, jak tylko mogła, wejściowe drzwi do Skóry Jelenia.

[a teraz idź tam]

Obraz przed zamkniętymi oczami robił się wyraźniejszy, nabierał kolorów i ostrości. Darcia otworzyła oczy, i przed jej nosem był dokładnie ten obrazek, co przed jej wewnętrznym wzrokiem.

(*Drzwi*, dalej *Drzwi* w głowie)

-BanzA-A-A-A-Aj!!! BanzA-A-A-A-Aj!!! - wrzasnęła, wbiegając do koledżu.

11.

Banzaj/błota Htacha'ata

Banzaj poczuł, jak przeskoczył na wyższy poziom świadomości, w hiperprzestrzeń, podrzeczywistość błot Htacha'ata. Czuł, że tonie bez odpowiedzi, panika zalewała mu gardło. Korij uderzył go, sprawiając, że percepcja wróciła do zwykłego poziomu. Krążyli w powietrzu, próbując się do siebie dobierać, Korij mając w duszy zwycięstwo, Banzaj - cały struchlały.

Korij uderzył go raz jeszcze, co sprawiło, że Banzaj wpadł na kilka sekund w nieprzeniknioną ciemność.

Błoto pod nim zadrżało i wypłuło ze swego brzucha Potwora.

Ocknąwszy się po uderzeniu, Banzaj poczuł, że dusi go fala nieprzeniknionego lęku. Korij swoimi nieprzerwanymi atakami (każde uderzenie dźwięczało w świadomości, jak huk gromu, bardzo boleśnie i wyczerpująco) nie dawał mu możliwości, żeby przynajmniej wyteńczyć wzrok i się rozejrzeć. Aż niespodziewanie stary znikł.

Jurko obejrzał się. Niemiłosiernie nim telepało. Powietrze było naelektryzowane w niewiarygodnym stopniu. Potężne wyładowania przeskakiwały między niebem a błotem, pozostając błękitne i nieme. Powietrze ciemniało. To nie sklepienie nieba po zachodzie słońca (którego tu nie było), a właśnie powietrze, stając się cięższe, gęściejsze, bardziej napięte, ciemniało.

Banzaj spojrzał do tyłu i dziko wrzasnął z przerażenia.

Z błota wyłaził sam Yog-Sothoth, Tkacz Cieni, Wielki Sprawczy Robak, co Biedę Wywołuje. Nie mógł ujrzyć potwora, bo forma wyslizgiwała się pojęciu. Jego ludzka świadomość, która interpretowała każdą rzecz, przemieniając ją na coś zrozumiałego i bardziej dostępnego, po raz pierwszy zetknęła się z takim problemem i od razu położyła uszy po sobie. Czuł, że widzi tylko wierzchołek KOŁOSALNEGO, co być może zajmuje całą gwiazdę, a może miliard razy więcej, a może samo jest całą rzeczywistością jednocześnie.

Mózg oszalał, ponieważ widział ogromnego, bladego robaka, nieskończonego w czasie i przestrzeni, żywą koszmarną wieczność, blado-przezroczystego, pokrytego szczecinką potwora-robala, przedstawiciela odrębnej cywilizacji, rasy tak dalece obcej człowiekowi i wszystkiemu w ogóle żywemu, jak to tylko możliwe.

Banzaj odczuwał ŚWIADOMOŚĆ, ROZUM tej istoty, o wiele wyższej, pradańszej, która sama w sobie była bogiem, wiecznością i zarodkiem Zła. Krzyczał, krzyczał, KRZYCZAŁ, nie zważając na nic, dlatego że już sam wygląd tego pożeracza wymiarów spychał rozum na niebezpieczną krawędź przepaści szaleństwa.

(corobićcorobić NO CO JA MAM ROBIĆ JUŻ ZE MNĄ KONIEC NIE SPRAWDZIŁEM SIĘ NIE ZROZUMIAŁEM CO MAM ROBIĆ NO RATUJCIE MNIE!!!)

Paraliżowała go egzaltacja strachu, nieziemską, religijną ekstazą przed tym potwornym, niezmierzonym i niewiarygodnym bogiem.

Yog-Sothoth spłynął,

(jakiż on ogromny!!!)

i Banzaj był pewien, że to tylko wierzchołek megagóry lodowej, która jest tu uwięziona na wygnaniu.

Korij raptem go związał, a sam dalej wyhukiwał swe pradawne zaklęcia. Banzaj próbował się wyrwać, ale nadaremnie

(NO CO JA MAM ROBIĆ???)

Niespodziewanie Jurko poczuł dziwne stukanie w głowie, bardzo głośne i prawdziwe. Jakby by do tej pory próbował czytać książkę w całkowitych ciemnościach, a teraz ktoś przycisnął włącznik i zapaliło się światło. Zrozumiał.

Yog-Sothoth rzucił się na spętaną ofiarę, przytrzymywaną dla wygody przez kapłana. Zaraz przełknął Zamykającego i wejdzie do nowego świata.

Parę sekund przed tym jak Wielki Robak zżarł Jurka Banzaja, ten w oświeceniu i z dziwną ulgą zrozumiał: to nie miał być on, to nie jemu sędzono być Zamykającym, z pewnością nie jemu. Zamykającym był....

Ale Yog-Sothoth pokawałkował i zżarł jego *ka*.

12.

Korij/błota Htachaata

Szalał z dzikiej radości, i nawet fluidy trwogi, które były od jego pana, nie mogły zaszkodzić tej wesołości. Banzaj jest martwy. Nikt i nic nie przeszkodzi Wielkiemu Robakowi Yog-Sothothowi wleźć w codzienną, trywialną rzeczywistość i przyprawić ją szczyptą przerażenia. Korij próbował nie patrzeć w stronę pana (*od tego zdarzały mu się psychozy*), ale usłyszał jego głos, całkowite przeciwieństwo

(i jakie pokrewieństwo!)

tego głosu, który zdarzało się słyszeć różnym prorokom. *[TO NIE BYŁ ON!!! TO NIE ON!!! NIE ON, KRETYNIE!!! TO NIE BYŁ ZAMYKAJĄCY!!!]* Co?

Radość Korij a jak nożem uciął. Zadarł głowę do krwawych niebios i wrzasnął

-TE PADALCE GRAŁY NIEUCZCIWIE! ONI PODSTAWILI NIE TEGO! SZACHROWALI, NIEGODZIWCY!

„Kto zatem?” - pomyślał Korij.

No oczywiście, kurczątko!

Zostawił otwarte wejście do Azagthothu dla pana, pozostawało tylko uchylić Drzwi w podziemiach, w wyobrażonym korytarzu poza przestrzenią i nic już nie zatrzyma Yog-Sothotha.

Korij zły jak diabli („*Nikt, tym bardziej takie stare pierdziele, nie śmie mnie OSZUKIWAĆ!*”), obrósł w iskierki błękitnych wyładowań, zmienił się w żywą kometa, rozdarł tkaninę rzeczywistości i zakrzywiając przestrzeń między błotami Htacha *ata* i Azag-thothtem, co sił pomknął w poszukiwaniu Darci.

13.

Darcia/śnienie

[nie mogliśmy do ostatniej chwili powiedzieć, kto będzie Zamykającym, dlatego udawaliśmy, że będzie to twój towarzysz] [co się z nim teraz dzieje? Gdzie on jest?]

Jednak głos zamilkł, tylko Drzwi w głowie, jakoby się rozděły, stawały się bardziej rzeczywiste, żywe.

Darcia czuła nieszczęście, ogromne nieszczęście i znowu rozmazywała po policzkach łzy. Nie było ważne to, czy znajduje się realnym życiu, czy we śnie. Ten korytarz, który widzieli, istniał, niezależnie od koledżu, w po-zaczasie. Biegła korytarzami, dokładnie tak jak Korij, nie uświadamiając sobie tego. Zostawiała po sobie tylko rozbite żarówki. Okna wybuchały na zewnątrz i osypywały się szklanym deszczem w miejscach, gdzie przed chwilą uderzyła jej stopa. Zahukana i zastraszona, biegła z jedną myślą, gdzieś tam musi zastać swojego Banzaja. Darcia wbiegła do dziewczęcego internatu i skierowała się do piwnicy.

Korytarz tam był, oczywiście, powinien tam być. Korytarz między wszechświatem i Okiem Chaosu. Azagthothem, gdzie właśnie teraz przeciskał się Yog-Sothoth.

Darcia dobiegła i nie wiadomo było - na czas, czy za późno. Ogromne drzwi w końcu korytarza były otwarte na oścież - ożyła metafora, przez którą przełaziły tłuste szypuły Yog-Sothotha.

Wrzasnęła z przerażenia, bo z wrót sterczały tłuste macki, pokryte wielkimi przyssawkami; w szczelinę między wrotami i mackami zaglądało wielkie, mętne, szare oko.

Darcia rzuciła się do tyłu, do wyjścia i trafiła prościuteńko w łapy starego Korija.

Rozdział 2

1.

Darcia/śnienie

Korij złapał ją za ręce i podrzucił. Darcia migiem przeniosła się o piętro wyżej, do korytarza dziewczęcego internatu.

- No i tak, kurczątko! Tak umierają kurki! - złowieszczo wykrzyknął Korij, przytknąwszy swój palec do ciała Darcia. Przeskoczyła na nią błękitna iskierka i dziewczynę odrzuciło aż na koniec korytarza. Jęknęła przeszywająco, bo w odróżnieniu od Korija była z ciała i z krwi.

[Darciu, uchyl Drzwi w głowie, chociaż troszkę]

Uwierzyła głosowi i w myślach odrobinę-odrobinieczkę ruszyła drzwi. Przez szczelinę zaczęło wyciekać białe światło. Darcia wyobraziła sobie, że mocno trzyma Korija długimi rękami. Przenieśli się piętro wyżej. I jeszcze jedno,

[co ty próbujesz zrobić, kurczątko moje? Tatko zaraz złamie ci kark]

Kolejnym poziomem okazał się dach. Ścisnęła Korija wyimaginowanymi rękami tak mocno, jak tylko mogła. We śnie tak samo srożyła się szalona burza, ukwiecając wszystko na biało. Plac przed koledżem został nieźle przewiany, i cały śnieg zmiotło pod ściany, odsłaniając scementowaną ziemię.

Darcia zamknęła oczy i uchyliła Drzwi jeszcze na pół palca.

Zrobiło się jej niedobrze, zbyt dużo energii wychodziło zza Drzwi. Korij szarpał się, bulgocąc prądawne słowa.

(hebl hhchech nhaja Yog-Sothoth nhnhaja hijja nchofl)

Wyzwolił się z pęt i ruszył ku niej.

W szalonym, rozwlekłym skoku oderwał się od ziemi, mając zamiar dorwać się do jej piersi i wyrwać serce. *[teraz bawimy się w moje gry!]* Ześliznęli się w *Śnienie/ głębiej*

sen Korija, trzymany przez niego w pogotowiu. Te same Miedziane Buki, ten sam koledż, ale nic więcej. Dookoła starego budynku była nieprzebyta ciemność próżni.

[no jak? Przykro mi, ale umrzesz młodo, moje ty kurczątko!] Stary skoczył na nią, ale nie doleciał, rozpląnąwszy się w powietrzu.

Przeżrana Darcia obejrzała się. Czuła jego obecność, gdzieś tu, koło niej, przyciął się, niewidoczny dla zwykłego oka.

Niespodzianie Korij wyleciał z próżni cały zakutany w czarną pelerynę, jak w sutannę, i rzucił się na nią. Darcia zapiszczała i na sekundę, nie dłużej *Drzwi* w jej głowie otworzyły się na oścież. Marzenie senne Korija rozplynęło się a

Darcia/śnienie

on sam bezradnie utknął na oddalonej połaci dachu.

Dziwne białe światło w głowie działało na Darcie w sposób szczególny. Wydawało się, że wreszcie otworzyła ogromną wypchaną dobrem komorę, do której w żaden sposób nie mogła dopasować klucza. Światło pomagało odnaleźć właściwy klucz. Darcia rozplynęła się w powietrzu, zjawiając się od razu za plecami Korija. Cała zajęła się białym światłem, niwecząc ciemność i zawieję dookoła.

Tańczyli na szczycie dachu wśród doskonałej asymetrii śnieżynek. Od świetlistej powłoki Darcie odrywały się niewielkie błyskawiczki, które raziły Korija w głowę. Darcia natężyła się mocniej i wszystko wokół zadrżało i stopiło się jak świecowe kredki.

Korij zakrzyczał w agonii. Spojrzał na Darcie, spopielaając ją wzrokiem. Jej światło zgasło, jednak

2.

Darcia/koledź

dookoła było już nie *śnienie* Korija, tylko zwykła rzeczywistość. Korij też obrósł mięśniami i skórą. Żyłki i włókna nerwowe przerosły mięso jak korzenie perzu. Dziad zmuszony był podporządkować się stojącej za dziewczyną niepowstrzymanej sile, która rwała się do niego z Zewnątrz.

Sprężyscie rzucił się na Darcie, ale ta w myśli otworzyła *Drzwi* gdzieś na mniej więcej jedną czwartą i śnieżnobiała sfera wybuchła dookoła dziewczyny niemym błyskiem, oślepiając Korija. Kapłan skoczył w jej kierunku, ale czyjeś niewidzialne ręce złapały go i wystrzeliły do przodu, jak z armaty, za granice dachu, na wyziębione, betonowe podwórko.

Całkowicie wyczerpana Darcia upadła na kolana i resztkami sił odwróciła

3.

Darcia/śnienie

śnienie. Opuściła się na samo dno - do tunelu.

Zajrzała do korytarza Korijsa. To, co zobaczyła, przeszło jej skórę mrozem: wrota dla Yog-Sothotha wyrosły do niesłychanych rozmiarów. Stały się wysokie i szerokie jak wielopiętrowy budynek.

Wielki Robak przeciskał się przez nie, rozsiewając wokół skryzalizowany strach, wymachując bladymi włochatymi mackami. Już wypełniał dwie trzecie korytarza i przełaził dalej. I dalej. I DALEJ.

Darcia, zmęczone, pozbawione sił dziewczę w sweterku mokrym od śniegu mocno zamknęło oczy i porządnie-porządnie przyjrzało się *Drzwiom*.

A potem jednym ruchem myśli otworzyło je na oścież.

Wybuchowa fala białego światła początkowo zmieliła całą jej świadomość, a potem przebiła się na zewnątrz przez oczy, usta, nozdrza i każdy por ciała.

Darcia ujrzała, jak rzeczywistość osypuje się na kształt rozbitego lustra, które opada po kawałeczku, znikając w wieczności. Przenieśli się w przestrzeń poza wszelkimi realnościami, do miejsca, gdzie odbywają się Gry na Polach Wszechmogącego, do

4.

Bitwa/makrokosm makrokosm.

Darcia była postronnym widzem, a dokładniej - DRZWIAMI, które wpuściły do makrokosm niezbadaną siłę, mieszkającą w białym świetle.

W przestrzeni poza wszelkimi ścianami i drzwiami, w przestrzeni w Nie-Bycie zeszły się dwie siły. Widziała energie (straciła poczucie jakichkolwiek granic, granic między wewnętrznym a zewnętrznym, sobą a Nimi, tymi wszechpotężnymi siłami), przeciwstawne odwiecznie wrogie energie, które po raz kolejny spotkały się w pojedynku.

Widziała Yog-Sothotha, Wielkiego Robaka, widziała jego ostateczną formę bezkresności, bladego, nieskończonego szczeciniastego Robaka, Tkacza Rzeczywistości i Włodarza Cieni.

I jeszcze Darcia widziała Dudziarza przy wrotach Gwiazdy, widziała także jego prawdziwą formę, zrozumiała to, co stanowiło przeciwieństwo Jego energii.

Odbywała się bitwa sił, i Darcia widziała, jak w szalonym wirze unoszą się wokół nich galaktyki, mgławice, Wszechświaty i Rzeczywistości, cały byt obracał się wokół tej bitwy, jakby wokół jedynie istniejącej Osi we wszystkich czasach i wymiarach.

A potem potok śnieżnobiałego światła wezbrał, rozrywając Dardę swoją kolosalną mocą i Dudziarz przy Wrotach Świtania rozpoczął swój pradawny taniec,

Taniec Stworzenia Świata i białe światło wybuchło, rujnując, zmywając i oczyszczając wszyściutko, dając początek narodzinom nowej gwiazdy i nowego świata.

I Darcia widziała Go, w wirze anielskich dźwięków chóru, potężniejącym w przeczuciu Dziwu,

widziała Dudziarza przy Wrotach Gwiazdy.

5.

Darcia/koledź

Była całkiem wyczerpana, leżała na zimnej, mokrej cementowej posadzce nieczynnego prysznica dla dziewcząt w podziemiach. Odnalazła ciało Banzaja. Białka jego oczu były czarne od potrzaskanych żyłek, krew ciekła z uszu, z nosa i z ust. Darcia położyła się obok Jurka, objawwszy się jego zimną ręką, udając, że to on ją przytula. Głośno płakała, zanosila się jak małe dziecko, garnąc się do Banzaja, jednak nie odwzajemniał pieczyoty. Darcia całowała go w usta, ale te poszarzały, stały się suche i zimne, tak jak dłonie.

6.

Korij

Romko Korij bardzo powoli wracał do świadomości. Podniósł głowę (szalony ból przestrzelił szyję na wskroś, rykoszetem uderzając w piersi), ocalałą ręką zmiótł z ubrania śnieg i próbował się podnieść.

Zasyczał z bólu, ale mimo wszystko stanął na równe nogi. Cały podbródek miał zalany teraz już zaschniętą krwią; Korij nie czuł ciała, tylko gorące impulsy bólu, a to z ręki, a to z pleców czy karku. Włosy (które posiwiały jak jesienny dym) zlepiły się razem z zamrożonym śniegiem w ciężką lodową korę.

(Darcia)

Tak, trzeba za wszelką cenę odnaleźć Darcie, to kurczątko, któremu już najwyższy czas skrócić kark. Siła go opuściła, odeszła w ziemię, kiedy leżał na tym chłodnym betonie. Wmarzła, rozlewając się w postaci krwi po jego szarej powierzchni. Jego *własna krew*, niech to diabli wezmą.

Ruszył do wnętrza koledzu. Było już późno, pierwsza w nocy, nie wcześniej. Wszyscy pouciekali, dowiedziawszy się o kwarantannie, nikt nie będzie przeszkadzał. Funta kłaków nie wart ten, co nie może zakończyć rozpoczętego.

7.

koledź

Około wpół do drugiej w nocy Darcia ciągle jeszcze leżała obok Jurka, przytuliwszy się ustami do jego policzka; Korij właśnie spełzał (nie udało mu się jednak normalnie iść) po schodach do piwnicy. Na posadzkę pomieszczeń prysznic posypały się stiukowe zdobienia, a za nimi runęło całe lewe skrzydło, ciągnąc za sobą dziewczęcy internat i chowając pod chłodnym kamieniem swoich mieszkańców o wątpliwej reputacji.

Posłowie

Darcia otworzyła oczy, ale zamiast ponurych sklepień piwnicznego sufitu zobaczyła niebo. Niebieskie, całe w pierzastych chmureczkach, głębokie niebo koloru wytartego džinsu. Jak jej spodnie. Słońca brakowało, ale nie było żadnych wątpliwości, iż po prostu schowało się za pieluszką chmur.

Darcia wstała z piasku i otrzepała się. Tkwiła pośrodku pustyni.

Obejrzała się: jak daleko sięgał rozpalony łzami wzrok, otaczała ją idealnie równa, zaścielona piaskiem powierzchnia. Piasek i niebo na horyzoncie ktoś zespawał w gorący migotliwy miraż. Na granicy widzialności ciemniało coś niezrozumiałego. Darcia otrząsnęła ze spodni i cienkiego sweterka robionego na drutach odrobinki kwarcu i łupka (była bosa) i ruszyła po przyjemnym dla stóp piasku do ciemnego na horyzoncie.

Przypiekało. Powietrze było nieruchome jak w wielkim zamkniętym hangarze. Jak przed burzą. Darcia zbliżyła się do ciemnej cętki na tyle blisko, żeby zbadać ją wzrokiem.

Na szarym piasku stała kanapa o wyszukanych, giętkich, drewnianych nóżkach i ramie, obitej krwawym aksamitem. Na kanapie w swobodnej, niewymuszonej pozie siedział, założywszy nogę na nogę, dziwny pan, ubrany w lekki trzyczęściowy czarny garnitur: czarne spodnie i wolno puszczoną marynarkę, czarną koszulę, czarną kamizelkę i czarny krawat. Pan miał długie czarne przetykane siwizną włosy, pociągłą bladą twarz, zasłonięte czarnymi okularami oczy i ruchliwe, czarno-siwe brwi, które często wyskakiwały zza cienia okularów.

Na kolanach jegomościa swojsko i wygodnie spoczywała gitara elektryczna. Od gitary, jeśli dobrze widziała, nie odchodził żaden drut.

Jegomość w czerni skrzywił usta w lekkim grymasie i przebiegł palcami-pająkami po błyszczących strunach.

Wydawało się, że dźwięk zatopił całą pustynię, był taki czysty, przezroczysty i krystalicznie-niespotykany, jakby pochodził z kosmosu.

Z zaskoczenia Darcia schowała głowę w ramionach. Zdziwiona rozpoznała riff z „Fire” Jimiego Hendriksa.

Wreszcie stanęła twarzą w twarz z człowiekiem w czerni. Ten uśmiechnął się i rzucił:

- Nareszcie.

(kropla, wpadająca do wody)

- Gdzie jestem? - zainteresowała się Darcia. Nieraz słyszała ten głos, całkiem niedawno (a może i nie ten) przemawiał w jej głowie.

Czarne brwi w zdziwieniu wypełzły z cienia okularów. Uśmiech.

- Gdzie jesteś? - pauza. A po niej: - Naprawdę jesteś dziwna. Dziwna dziewczynka, powiem Ci. Najdziwniejsza spośród wszystkich, którzy tu przychodzili. *Szczególna* dziewczynka. Jeśli chcesz wiedzieć, *szczególna* dziewczynko - w sali dla gości tranzytowych.

Darcia zasepiła się:

- A gdzie jest Jurko Banzaj?

Pauza.

- Gdzie Banzaj? Banzaj jest tam, gdzie powinien być. A co, tęsknisz?

Darcia milczała.

- A ty kim jesteś? Dudziarzem?

Pauza. Pan z gitarą musnął struny i uderzył ze dwa, trzy akordy. Też wydały się znajome: coś z „Led Zeppelin”, a może - „Creedence Clearwater Revival”.

-Jeden mój stary kolega niedawno tędy przechodził... Nazywa mnie Satyrem. Rozumiesz? Jestem starym mądrym Satyrem--Gitarzystą i możesz być pewna, że nie jestem Dudziarzem. A jednak., ja, można powiedzieć, jestem mu maksymalnie bliski. Pochodzę z jego najbliższego otoczenia. Coś na kształt rodziny.

Darcia znowu posmutniała, ale jednak niezauważalnie pokiwała głową.

-Ten człowiek, Król-Jaszczurka, superkoleś... Zresztą, tak jak Hendrix. Chłopak poprosił, żeby zaśpiewać odę do jego członka. Poryw wiatru.

Darcia rozciera gęsią skórę na rękach.

- O, wygląda na to, że już wkrótce będziesz musiała iść - powiedział Satyr, patrząc na gitarę. Darcia spojrzała przez ramię i zobaczyła za sobą słup, którego wcześniej chyba nie było. Na słupie na słowie honoru trzymała się stara, pordzewiała dziurawa tabliczka:

UTOPIA 30 km

Darcia niespodzianie zaskomlała:

- Ja chcę z powrotem! Zawróć mnie z powrotem, dobrze?

- Nie, no naprawdę dziwaczysz. Ale ponieważ jesteś szczególna - jeśli chcesz, możesz wrócić... Ale będziesz żałować, wierz mi na słowo.

- Nie-nie, nie będę żałować, wszystko fajnie, prawda, nie będę żałować! - Darcia zapewniała jegomością.

- No, to idź.

IDŹ!!!

!!!!!!!!!!!!

zerwała się ze szpitalnego łóżka, ale silna dłoń przewróciła ją na poduszkę. Białe kolor, przenikliwy ból, przestrzenny i ćmiący, jak rozrzedzony ultradźwięk i zapach szpitala. Darcia nie mogła skupić wzroku. Dwoiło jej się w oczach. Ból i ruchy, spętane gipsem oraz bandażami.

-Cicho, cicho! Leż! Lenka, obudziła się! Promedol! Dwie ampułki! No, Lenka! Rusz się!!!
Zastryk. Waciana ciemność.

!!!!!!!!!!!!

Darcia oprzytomniała, wiedząc już, że podczas operacji amputowano jej obydwie ręce i lewą stopę, które do szczętu zmiażdżył betonowy odłamek

krzyczała aż do ochrypnięcia. Pielęgniarka Lenka zdenerwowała się i wkuła jej trzysta mililitrów promedolu.

Darcia poczuła zaduch, parność i błogosławioną ciszę sali tranzytowej. Ciśnienie spadło nieomal do zera

odczucie lotu

(slajd: strumyk w kamiennym górskim korycie)

lece? (wiosna)

- Cześć.

Stary mądry Satyr-Gitarzysta ciągle tak samo obejmował gitarę, jak młodą delikatną kochankę.

Zamyślona i smutna Darcia patrzyła na Satyra. -Jesteś niezła, wiesz? Naprawdę! Darcia obojętnie wzruszyła ramionami. -A teraz idź. Czekają na ciebie.

Darcia już się odwróciła, żeby podążać zgodnie z drogowskazem, ale zatrzymała się i po raz ostatni spojrzała na gitarzystę.

- Dziękuję - powiedziała. Uśmiech.

- Idź. Nie zatrzymuj się tu. I przekaz pozdrowienia Banzajowi - powinien mnie pamiętać!

Darcia odwróciła się i poszła. Satyr znowu zaczął przebierać palcami na strunach kochanki, teraz już (slajd: tabun koni)

„Dom wschodzącego słońca”. Smutno-lekkie i bluesowe.

(slajd: kropla pada do wody)

Ona poszła w kierunku drogowskazu,

UTOPIA 30 km

(argument reinkarnacja)

oddalając się od kanapy z Satyrem, kanapy pośród

(slajd: mgła nad jeziorem)

bezgranicznego Nigdzie.

(Boże idę do ciebie twoja Darcia Borges)

(amen)

sierpień 2000 - styczeń 2001